

Annie Solomon

Mroczna tożsamość

Wczoraj z mojej ręki zginął człowiek.

Nóż przeciął białą skórę na gardle, która pokryła się szkarłatem krwi.

Walczył o życie, dyszał ciężko. Nogi, do niedawna silne, ugięły się pod jego ciężarem. Osunął się na ziemię.

Patrzył na mnie z podłogi; w jego oczach malowała się makabryczna wiedza. Umierał na moich oczach.

Księżyc spowijał alejkę perłową poświatą. Mężczyzna zerknął na zegarek i wyjrzał zza kępy drzew. Zacisnął dłoń na gałęzi, nie odrywając wzroku od wąskiej dróżki.

Przyjdzie. Zapewniano go o tym.

A kiedy się pojawi, będzie tuż za nią.

Odruchowo dotknął noża na udzie. Wyczuł rękojeść pod materiałem szortów.

Pod ręką. Łatwo dostępny. Wkrótce nadejdzie.

Obudził ją krzyk. Gwałtownie uniosła powieki. Zobaczyła cienie w rogu sufitu. Ciemność.

Pot. Poci się. Coś ją obudziło.

Hałas? W jej uszach pulsowała krew. O to chodzi? Przypomniała sobie urywki snu. Ciemność traciła głębię. Pojawiały się rozmazane twarze. Ludzie? Nie, jedna osoba. Czy ktoś krzyczał?

Wyteżyła słuch. Cisza.

Przez okno wpadał blask latami. Omiatała wzrokiem meble widoczne w półmroku: toaletka, lustro, bujany fotel w kącie. Ubrania na poręczy. Jej. Oczywiście, że jej. Jest w domu. W swoim pokoju. Ale... Czy to na pewno jej pokój? Ciemno. Dlaczego tu jest tak ciemno?

Zapaliła światło – przeszło jej mózg bolesnym ostrzem. Zgasła je od razu, opadła na poduszki, wbiła wzrok w sufit. W jej głowie rozszalał się młot pneumatyczny. Rzadko bolała ją głowa. Tak jej się przynajmniej wydaje. Skąd ta niepewność?

Usiadła z głośnym jękiem. Która to godzina? Zegarek na stoliku oznajmiał zielonymi cyframi, że minęła północ. Przyłożyła dłoń do czoła, przesunęła na skronie. Aspiryna. Musi zażyć aspirynę.

Opuściła nogi na podłogę, wstała. Zakręciło jej się w głowie, chwiejnym krokiem podeszła do krzesła, na którym leżał szlafrok. Obok dostrzegła szorty, koszulkę i buty do biegania, a w nich sportowe skarpety. Bieg. Świeże

powietrze. Potrzeba była nagła i silna. Nie zdołała się jej oprzeć – równie dobrze mogłaby próbować przestać oddychać. Zapomniała o aspirynie, ubrała się. Od razu poczuła ulgę.

Związała splecione włosy w niesforny kucyk, zbiegła ze schodów i wyszła frontowymi drzwiami. Noc otoczyła ją chłodnym powietrzem. Oddychała chciwie. Poczua się o wiele lepiej.

Ruszyła, najpierw powoli, potem coraz szybciej, aż poczuła przypływ siły w całym ciele. Na rogu skręciła. Zrobiła to automatycznie, bezmyślnie. Do rogu i skręt. Musiała tak postąpić. Tak miało być.

Trzy przecznice dalej dostrzegła park przyczajony po jej lewej stronie. Otwarta brama była jak paszcza, czekała, by ją wchłonać. Bez wahania zmierzała w tamtą stronę, oddychała spokojnie, biegła równym tempem. Park Dumbarton Oaks. W nocy zamknięty, ogłaszała tabliczka, ale minęła ją, nie mogłaby się zatrzymać, choćby chciała.

Władze miejskie gdzieś ustawiły latarnie, ale przeważnie parkowe alejki spowijała ciemność, rozjaśniana jedynie światłem księżyca. Jednak jej stopy bez wahania znajdowały drogę, czuła się tu jak w domu. Już tu była.

Na drugim skrzyżowaniu alejek skręciła w prawo i przeszył ją pierwszy dreszcz. Wyteżyła słuch. Słyszała jedynie swoje kroki.

Zwolniła, ale zaraz znów przyspieszyła. Muskały ją gałęzie, nagie i niesamowite, jak kości w świetle księżyca. Gdzieś daleko pohukiwała sowa. Ktoś ją śledzi?

Odwróciła się, ale nikogo nie dostrzegła, tylko mdły blask na ścieżce.

Biegła dalej, skręciła w ścieżkę wiodącą wzdłuż strumyka. Nie wiadomo skąd pojawiła się jego nazwa. Rock Creek.

Woda pluskała cicho, szumiała mroczną muzyką. Wzdrygnęła się, ale dzielnie przebiegła przez drewniany mostek. W momencie gdy jej stopy dotknęły ubitej ziemi, wyczuła jego obecność.

Odwróciła się, ale nikogo nie zobaczyła. Spojrzała przed siebie – był przed nią, pochylał się, tarasował drogę. Zobaczyła go za późno, potknęła się i upadła. On także.

Jęknęła po zderzeniu z ziemią, ale w ułamku sekundy zerwała się na równe nogi, skulona, gotowa. Jakaś część jej umysłu zastanawiała się, jak to zrobiła.

Reszta koncentrowała się na mężczyźnie. Wstał, kulejąc. Wyprostował się.

– Jezu. Wszystko w porządku. Jestem niegroźny. – Podniósł ręce do góry.

Puste. Bez broni. – Przepraszam. Wszystko przez te nowe buty. – Wskazał buty do biegania. Drugą rękę ciągle trzymał w górze. – Skręciłem sobie nogę.

Obserwowała go czujnie, bez ruchu.

– Ja... nie zauważyłem pani. – Uśmiechnął się nieśmiało. – Nie wiedziałem, że są też inni szaleńcy, którzy biegają o tej porze. Wszystko w porządku?

Wyprostowała się powoli, odprężyła.

– Tak.

– To dobrze. – Speszony przeczesał włosy palcami. – Ja... głupio mi o to prosić, ale mogłaby mi pani pomóc? Mój samochód stoi koło parku, na końcu tej alejki, ale trudno mi iść.

Był wysoki i silny, z szortów wyłaniały się długie muskularne nogi. Przewiązał koszulę w pasie tak, że widziała jego tors. Bez broni. Dlaczego w ogóle zwraca na to uwagę? Ważniejsze, że jest szczupły, umięśniony, przystojny – pewnie spędza dużo czasu na siłowni albo pracuje fizycznie. Ciemne krótkie włosy podkreślały kształt czaszki.

Wojskowy, przebiegło jej przez myśl i od razu poczuła się pewniej.

Niby dlaczego?

– Oczywiście – powiedziała, a głos w głowie podpowiadał: jeśli zajdzie taka potrzeba, dasz radę go załatwić.

Załatwić? Jak to? Po co?

Odwiązał koszulę, włożył i krzywiąc się, kuśtykał w jej stronę. Z wahaniem oparł się na jej ramieniu.

– Dzięki. – Ruszyli. Opierał się na niej i oszczędzał obolałą kostkę. –A tak przy okazji, jestem Jake Wise.

– Margo Scott. – Nazwisko nasunęło się samo. I co w tym dziwnego?

– Napędziłaś mi niezłego stracha, Margo. Przez moment bałem się, że wyłupisz mi oczy. Jesteś trenerką karate czy coś takiego?

Pytanie brzmiało jej w uszach i w pierwszej chwili nie wiedziała, co odpowiedzieć. A potem odpowiedź przyszła sama, jakby czekała na to od dawna:

– Prowadzę antykwariat na starówce. A ty?

– Prawnik – sapnął, bo potknął się o korzeń. – Tu, w Georgetown. A zatem nie budowlaniec i nie żołnierz. Zdziwiło ją to.

– Powinieneś trzymać się ścieżek.

– Też mi nowina. Kumpel powiedział mi o tym parku. Pracowałem dziś do późna i pomyślałem, że wypróbuję nowe buty. – Uśmiechnął się ponuro. – Miewałem w życiu lepsze pomysły.

Jego samochód stał tuż przy bramie. Pomogła mu podejść do drzwi od strony kierowcy. Wyjął kluczyki z kieszeni szortów, otworzył drzwi, oparł się o nie ciężko i odwrócił w jej stronę.

– Może cię dokądś podrzucić? Jestem twoim dłużnikiem.

– Nie trzeba. Mieszkam parę przecznic stąd. Wrócę pieszo. Wzruszył ramionami.

– Jak chcesz. – Wsiadł do wozu. – Dzięki za pomoc.

– Nie ma sprawy. Jedź powoli. A w domu przyłóż lód na nogę.

– Okej. – Zatrzasnął drzwi i otworzył okno. – Jeszcze raz wielkie dzięki.

Skinęła głową i odprowadzała go wzrokiem, gdy odjeżdżał. Ból głowy przeszedł bez śladu.

Margo Scott nikła Jake'owi z oczu. Najpierw malała, a potem, gdy skręcił w lewo, zniknęła zupełnie. Skręcił w prawo, w ulicę T, i zahamował.

Chyba nie będzie potrzebował noża przypiętego na udzie. W domach, stojących ciasno jeden obok drugiego, królowała ciemność. Mieszkańcy smacznie spali. Jake otworzył schowek przy kierownicy, wyjął telefon komórkowy i niewielkie urządzenie wielkości dłoni. Przypominało trochę gameboya. Wystukał numer na klawiaturze telefonu i otworzył urządzenie. Na małym ekranie pojawiła się mapa okolicy. Zielony pulsujący punkt oddalał się od parku. Po drugiej stronie ktoś podniósł słuchawkę. Głos mężczyzny, miękki i łagodny, był mu dobrze znany. Jake się nie przedstawił.

– Załatwione – powiedział tylko.

– To na pewno ona?

Wyobraził ją sobie. Wysoka, dobrze zbudowana, o umięśnionych nogach. Miała silne ramiona, bez trudu go podtrzymywała. Jej twarz przykuwała uwagę, bardziej oryginalna niż piękna. Duże, szerokie, ruchliwe usta, wystające kości policzkowe, kształtny nos, wielkie ciemne oczy. Nie była to twarz pospolita – interesująca.

– Co prawda nie prosiłem, żeby mi pokazała dowód osobisty, ale wyglądała zupełnie jak na zdjęciach. I przedstawiła się jako Margo Scott.

– Świetnie. W jakim jest stanie?

Jake od niechcienia obserwował zielony punkcik. Punkcik skręcił dwie przecznice dalej.

– Normalnym. Tak mi się wydaje.

– Brak orientacji, bełkot, zaburzenia równowagi? Przypomniał sobie jej głos, czysty i wyraźny, głęboki i nieprzenikniony jak noc.

– A co? Może tak być?

– Wiesz, że nie powinieneś pytać.

Owszem, to go nie powstrzyma, póki nie dowie się wszystkiego.

– Jest bystra i czujna. Myślałem, że mnie zabije.

– Ale zakładam, że jesteś cały – zauważył sucho rozmówca.

– Owszem, ale jakby kto pytał, skręciłem nogę.

– Co za oferta.

– Doznam cudownego ozdrowienia.

– I wtedy?

– Zgodnie z planem.

– Dobrze. Nie zgub jej.

Jake oderwał wzrok od monitora i spojrzał w ciemność za oknem. Była gęsta i nieprzenikniona jak prawda, którą rozmówca przed nim ukrywał.

– Kiedy mi powiesz, o co w tym wszystkim chodzi?

– Kiedy uznam, że można.

– No, rzeczywiście, bardzo uczciwy układ. Mężczyzna się roześmiał.

– Nigdy nie mówiłem, że tak będzie.

Jake wydał usta. Nie ma sensu dalej naciskać. Lepiej odczekać dzień, dwa i znowu spróbować.

– Ty tu rządzisz.

– Nigdy o tym nie zapominaj. – W tych słowach były komiczna powaga i cień sympatii.

Jake odpowiedział tym samym.

– Nawet nie śmiałbym.

– Więc do jutra.

– Do jutra.

Rozłączył się i przekręcił kluczyk w stacyjce. Myśl o kobiecie powróciła wraz z warkotem silnika, jak zapach z przeszłości. Danika.

Imię pojawiło się nie wiadomo skąd, stary ból, o którym rzadko myślał.

Powrócił nagle, z całą siłą, ostry, gwałtowny.

Kiedy znów mógł jasno myśleć, kiedy mógł normalnie oddychać, zastanawiał się, dlaczego akurat teraz. Od jej śmierci minęło siedem lat. Od pięciu nie był w żałobie.

No cóż, znowu pracuje dla Franka. Może o to chodzi.

Po raz kolejny zerknął na mały monitor z zielonym punktem pośrodku.

A może chodzi o tę kobietę o mrocznej interesującej twarzy? W niczym nie przypomina psotnej buzi Dani, a jednak jest w niej to samo... Co właściwie? Opanowanie? Przekonanie, że sama da sobie radę?

Boże drogi, oby nie.

Punkt na monitorze zatrzymał się na chwilę i ruszył dalej. Wcisnął guzik i na ekranie pojawił się adres. Uśmiechnął się pod nosem. Witaj w domu, Margo. Przez okno sypialni wpadały promienie słońca. Margo jęknęła. Jak mogła spać tak długo? Za kwadrans dwunasta, a ona ciągle w łóżku. To nie w jej stylu. A może?

Coś nie dawało jej spokoju. Co?

Szybka ocena sytuacji: nie jest oszołomiona, jak w nocy, nie boli ją głowa. Ale jest spragniona.

Poszła do łazienki, wypłukała usta, napiła się ze stulonych dłoni. I jeszcze raz. I jeszcze. Boże, ależ jej się chce pić.

Wzięła prysznic, ubrała się, wysuszyła włosy. Jak zwykle. Ale jednocześnie ospale, jakby była pod wodą. Patrzyła na pastę do zębów. Colgate. Jej marka, tak? Tubka zadrżała, rozmyła się i znowu wróciła w pole widzenia.

Hejże.

Zacisnęła palce na podłużnym kształcie. Spokojnie, wszystko w porządku. Nic jej nie jest. Jest bezpieczna. W domu. W domu, który zbudowała cioteczna babka Frances.

Wraz z imieniem powróciło wspomnienie, niejasne i rozmyte, jakby zatarły je mijające lata. Ciotka zmarła dziesięć lat temu i zostawiła Margo w spadku dom i antykwariat. Pamiętała jedynie jej wysoką postać i duży nos. Ile czasu upłynie, zanim i te wspomnienia się rozpląną?

Wycisnęła pastę na szczoteczkę, umyła zęby, wypłukała usta. Powinna zadzwonić do St. Louis. Niech jej siostra Barbara poszuka zdjęć w domu rodziców.

Na dole dom kusił staroświeckim czarem drewnianych mebli i bibelotów. Mieszkanie ciotki Frances to marzenie każdego antykwariusza. Wszędzie staroświeckie makatki, serwetki i chodniczki, których Margo nie miała serca wyrzucić, chociaż doprowadzały ją do szału.

Ruszyła przez kuchnię, wzięła torebkę i wyszła. Na dworze słońce rozpędziło wszelkie cienie. Dzień był piękny, ciepły, słoneczny, bez jednej chmurki na niebie. Z wrażenia zatrzymała się w pół kroku. Uderzyły ją liliowe kwiaty magnolii na podwórzu. Po drugiej stronie ulicy kwitnące wiśnie pyszniły się bielą i różem.

Świat nabrał barw w ciągu jednej nocy.

Jak to możliwe? Wczoraj gałęzie drzew były nagie i smutne, a dzisiaj...

Ogarnął ją niepokój, pierwsze rysy na gładkiej powierzchni. Ale dzień był tak piękny, tak spokojny. Dokoła tylko werandy, ganki, fotele i krzaki.

I kwiaty. Mnóstwo blad różowych kwiatów. Wczoraj ich nie było.

Ruszyła do autobusu, nie ufała sobie na tyle, by usiąść za kierownicą. Pod stopami miała martwe kwiaty.

Przeszył ją lodowaty dreszcz. Napięcie" rosło.

Nie dawało jej spokoju, gdy jechała autobusem do stacji metra Foggy Bortom i później, w kolejce. Czy ktoś ją obserwuje? Założyła okulary słoneczne i przyglądała się twarzom współpasażerów.

Mężczyzna w garniturze, z nosem w „USA Today”. Student z plecakiem i słuchawkami w uszach. Kobieta z dzieckiem. Nikt nie zwracał na nią uwagi.

A jednak dziwne uczucie towarzyszyło jej przez całą drogę do Alexandra i jej przystanku na starówce.

Zazwyczaj lubiła długi spacer między sklepikami i knajpkami przy King Street aż do rzeki. Dzisiaj jednak czuła się za bardzo obnażona, widoczna, pożałowała, że jednak nie wzięła samochodu.

Wstąpiła do Starbucksa na kawę. Już wychodziła, gdy zobaczyła gazetę, „Post”.

Nie wiadomo dlaczego serce zabiło jej szybciej. Wzięła egzemplarz do ręki.

Nagłówki tańczyły jej przed oczami. Patrzyła na nie, nie widząc słów, a po chwili jej uwagę przykuły inne gazety. Pod wpływem impulsu wzięła „City Paper”, „Business Journal”, „New York Timesa”, „Wall Street Journal” i „Times Daily” zapłaciła i wyszła.

Dreńczył ją niepokój. Coś w gazecie, coś, co musi odnaleźć.

Wyteżała pamięć, ale nie mogła sobie przypomnieć, o co chodzi, choć nieprzyjemne uczucie towarzyszyło jej aż do Prince Street. Wszędzie kręcili się turyści. Zaglądali do Silverfoil zaintrygowani biżuterią, wchodzili do Ben & Jerry's na lody. Z pizzerii Marghetti dolatywał zapach sera i oregano. Przeszła kolejną przecnicę do Strand.

Ponury musztardowy budynek sklepu z akcesoriami wojskowymi zasłaniał widok na rzekę. Po jej lewej stronie Waterfront zielenił się upstrzony turystami. Jedli lody, opalali się na nabrzeżu, spacerowali. Kątem oka dostrzegła kolejną

plamę rózu – znowu kwitnąca wiśnia. Coś nie dawało jej spokoju. Skreśliła za róg, przerażona nagłym nadejściem wiosny.

Podobnie jak większość starówki jej sklep powstał na początku minionego stulecia, choć cegły od frontu położono zaledwie kilka dni temu. Dawniej mieściła się tu firma sprowadzająca elementy do stoczni, dzisiaj przycupnęły trzy inne lokale: wegetariańska restauracja Oberżyna – stąd głęboki odcień okiennic – Retro, sklep z ekskluzywną używaną odzieżą, i jej antykwariat, Legacy Books.

Margo rzuciła plik gazet na podłogę, postawiła kawę na parapecie i zajęła się szukaniem kluczy w torebce.

Po prawej stronie jej uwagę zwrócił jakiś ruch.

Mniej więcej pół przecznicy dalej kobieta w kowbojkach zdawała się jej przyglądać.

Serce Margo zabiło szybciej, ale kobieta spojrzała na zegarek i odeszła.

Margo przełknęła ślinę. Naprawdę ktoś ją śledzi? A może dostaje manii prześladowczej?

Skąd pomysł, że ktoś ją obserwuje?

Zmusiła się, żeby spojrzeć na wystawę Retro. Manekin dumnie prezentował bawełnianą szmizjerkę. Wyglądałaby bosko na June Cleaver. I to jest rzeczywistość.

Paranoja. To zdecydowanie paranoja.

Nie chciała więcej o tym myśleć i znów skupiła się na szukaniu kluczy w torebce. Tymczasem z sąsiedniego sklepu wyszła Suzanne, właścicielka.

– Cześć, Margo! Jak podróż?

Suzanne miała dwadzieścia dwa lata, dziesięć mniej niż Margo. Rzuciła studia, a ponieważ miała solidny fundusz powierniczy, bardziej interesowała ją ciuchy niż obroty sklepu. Była sąsiadką Margo od trzech lat.

Miała platynowe blond włosy, sterczące i krótkie. Tego dnia włożyła sukienkę bardzo podobną do tej na wystawie. Ściągnęła ją szerokim czarnym paskiem.

Czarne szpilki dodawały jej wzrostu. Sukienka, obcisła powyżej talii, niżej lekko się rozszerzała. Suzanne rozpięła trzy górne guziki i postawiła kołnierzyk. Jej szyję otaczały białe kulki, zbyt idealnie okrągłe, by były to perły.

Nastroszone włosy i staroświecka sukienka sprawiały, że stanowiła dziwaczne połączenie przeszłości i przyszłości. June Cleaver i Jane Jetson w jednym.

To porównanie sprawiło, że Margo zapomniała o dziwnych uczuciach tego ranka. Uśmiechnęła się.

– Jak ty możesz na tym chodzić? – Wskazała głową jej obcasy. Suzanne wzruszyła ramionami.

– Czego się nie robi dla urody. Któregoś dnia kupię ci takie same. –

Uśmiechnęła się i zmierzyła Margo wzrokiem. Jej uwagi nie uszły wygodne buty, granatowe spodnie i luźny blezer. – Jakim słowem określiłabyś to, co masz na sobie?

– Ciuchy?

– Chyba do sprzątanía.

Margo się roześmiała. Stara śpiewka.

– Kiedy jest Halloween? Wtedy mnie przebierzesz.

– Masz to jak w banku. I nie myśl, że ci odpuszczę. Popatrz tylko, co ostatnio zdobyłam. Super, co? – Szarpnęła za naszyjnik i rozpiął się z głośnym trzaskiem.

Zachichotała i pokazała Margo koraliki. Szarpnęła ponownie.

– Cudowne, co? Wypatrzyłam cały worek na wyprzedaży garażowej. Można je skracać, wydłużać, można łączyć różne kolory. Dlaczego dzisiaj już nikt tego nie produkuje? – Założyła je z powrotem na szyję. – No dobra, to jak się masz, oczywiście poza fatalnym strojem? – Ściągnęła brwi. – Chwileczkę, zdawało mi się, że miałaś wrócić dopiero w przyszłym tygodniu?

Margo nadal szukała kluczy w torebce.

– W przyszłym tygodniu?

– No tak... tak mi się przynajmniej zdaje... zresztą, sama nie wiem. – Z jej głosu znikła poprzednia pewność siebie. – Może coś źle zrozumiałam. No więc.... – Znacząco zawiesiła głos. Znowu się uśmiechała. – Jak było?

Zaskoczona Margo podniosła wzrok znad torebki. Gdzie się podziały te cholerne kluczyki?

– Jak było... co?

– No wiesz... – Suzanne dramatycznie zamachała rękami. – Wielka europejska wyprawa handlowa. Tajemniczy Don Kichot, Cyganie, flamenco. Fantastyczni faceci. No, dalej... opowiadaj!

Margo zmarszczyła brwi. O co jej chodzi?

– No tak, kochana, jeszcze nie piłaś kawy, wszystko jasne! – Suzanne porwała kawę z parapetu i zaciągnęła Margo do swojego sklepu. – Co ty wyprawiasz? – zapytała, gdy zauważyła plik gazet. – Otwierasz bibliotekę czy co?

Margo niespokojnie spojrzała na dzienniki. Czemu właściwie je kupiła?

– Ja...

– Proszę, siadaj. – Suzanne pchnęła ją na stołek koło szkatułki z broszkami z brylantami i szmaragdami tak wielkimi, że na pewno nie były prawdziwe. Zdjęła wieczko z kubka z kawą. – Pij – poleciła.

Margo przewróciła oczami. Suzanne przysunęła kubek bliżej.

– Pij – powtórzyła stanowczo, podparła głowę na rękę i pochyliła się w jej stronę. – A potem wszystko mi opowiesz.

– Chyba to tobie przyda się kawa. Ja nigdzie nie wyjeżdżałam. Suzanne przyglądała jej się zdumiona.

– Naprawdę? Nie pojechałaś do Hiszpanii? – Spochmuriała. – To co się stało? Gdzie byłaś przez ostatni miesiąc?

Margo patrzyła na nią uważnie.

– Jak to?

– Jak to: jak to? Skoro nie pojechałaś do Hiszpanii, to gdzie byłaś? – Suzanne przechyliła głowę. – Wszystko w porządku?

– Jak najbardziej. Tylko że... – Pokręciła głową. – Byłam tutaj. Cały czas.
– Margo – Suzanne mówiła do niej jak do dziecka – antykwariat był zamknięty. Nie wiem, gdzie byłaś, ale na pewno nie tutaj.
Serce Margo biło coraz szybciej. Poranne wspomnienia powróciły z całą ostrością. Pragnienie. Drzewa. Niewidzialny prześladowca.
– Wczoraj byliśmy na lunchu. Jadłyśmy sałatkę grecką w Tabouli. Suzanne zmarszczyła brwi i pokręciła głową.
– Ostatnio byliśmy razem na lunchu dzień przed twoim wyjazdem.
Serce Margo biło coraz mocniej.
– No dobra, świetny dowcip, nabrałaś mnie.
– Wcale nie chcę....
– Ależ owszem. – Nagle Margo zapragnęła za wszelką cenę stąd wyjść, ale musi znaleźć te cholerne klucze. – Chcesz doprowadzić mnie do szału. I wiesz co? Dobrze ci idzie. – Znowu zaczęła grzebać w torebce. Telefon, blackberry, długopis... Zdenerwowana, wysypała całą zawartość torebki na ladę.
– Wyluzuj, dziewczyno. – Suzanne przez chwilę obserwowała te histeryczne poszukiwania. – Margo, czego ty właściwie szukasz?
– Kluczy. – W jej głosie była rozpacz i bardzo chciała ją ukryć. – Bez nich nie otworzę sklepu.
– Możesz przejść tymi drzwiami. – Suzanne wskazała drzwi na zachodniej ścianie, między wieszakami z ciuchami. – Albo... – Nacisnęła klawisz na staroświeckiej kasie i urządzenie otworzyło się z cichym brzękiem. – Możesz wejść od frontu, otwierając drzwi tym... – Podniosła pęk kluczy i uśmiechnęła się szeroko. – Nie pamiętasz? Zostawiałaś je u mnie, zanim... – przełknęła ślinę – wyjechałaś.
W głowie Margo rozszalał się puls. Powrócił ból głowy. Nie zwracała na niego uwagi. Zabrała klucze, podziękowała Suzanne i upchała wszystko z powrotem do torebki.
Suzanne położyła jej rękę na ramieniu.
– Jesteś pewna, że wszystko w porządku? Może zrób sobie jeszcze jeden wolny dzień.
Margo uśmiechnęła się z trudem i zabrała gazety i kawę.
– Tak, kofeina postawi mnie na nogi. – Ruszyła do drzwi.
– Dzisiaj idę do Puccio! – zawołała za nią Suzanne. – Jeśli chcesz, przyniosę ci calzone.
– Dzięki, dam znać.
Wybiegła na dwór, otworzyła drzwi i odetchnęła spokojniej dopiero, gdy usiadła za staroświeckim biurkiem ciotki Frances.
Wstrzymywała oddech, chcąc opanować oszalałe bicie serca. Zaciśnęła dłonie na krawędzi obitego skórą biurka. Winorośl wytłoczona na jego skraju dawała jej oparcie. Skoncentrowała się na sklepie.
Antykwariat był wąski i mały. Biurko na środku dzieliło go na dwie części. Regały sięgające od podłogi do sufitu uginały się pod ciężarem książek,

głównie używanych. Niektóre, choć nieliczne, były rzadkie. Znakomitą większość stanowiła beletrystyka.

Prawdziwy skarb antykwariatu to rzadkie pierwsze wydania. Te jedyne w swoim rodzaju perełki spoczywały w przeszklonym sekretarzyku zamykanym na dwa zamki dwoma różnymi kluczami. Oba dyndały na breloku, który zwróciła jej Suzanne. Czułe spojrzała na gablotkę. Opowieść wigilijna z 1843 roku, w płóciennej oprawie, z ręcznie kolorowanymi ilustracjami. Pierwsze wydanie Chatki Puchatka z autografem autora. Pierwsze wydanie Madeline. No i oczywiście książki z ilustracjami Arthura Rackhama: Baśnie Andersena, Burza Szekspira, Podróże Guliwera Swifta.

Gdy tak patrzyła na półki i wdychała zapach starego papieru i płótna, świat wrócił na swoje miejsce. Suzanne się pomyliła i tyle.

Margo doskonale pamiętała, jak wczoraj zamykała sklep. Pamiętała, jak wracała do domu. Pamiętała, jak w nocy obudziła się z potwornym bólem głowy. I poszła biegać.

W środku nocy. Dziwaczne, nie ma co.

Przełknęła ślinę. Czyżby Suzanne miała rację?

Szybko znalazła w pęku kluczy właściwy, który otwierał szufladę w biurku, i wyjęła wielką staroświecką księgę, w której zapisywała transakcje. Kiedyś trzeba będzie przenieść wszystko do komputera, ale jakoś nie mogła się do tego zabrać.

Otworzyła księgę na ostatniej stronie i kamień spadł jej z serca. Pamiętała ostatnią transakcję. Sprzedała egzemplarz Dumy i uprzedzenia turyście, który wziął jej sklep za sieciową księgarnię. Spojrzała na datę i sięgnęła po gazetę. Jej ręce zaczęły drżeć. Różnica między wpisem w księdze a datą na gazecie wynosiła, zgodnie z tym, co mówiła Suzanne, cały miesiąc.

Gończkowo sprawdziła w pozostałych gazetach. To samo.

Książki nagle wydały się groźne, półki zdawały się ją przytłaczać. Powróciły wizje: niewyraźne twarze, krzyki, strzał.

Ostatnia noc. Sen. To, co ją obudziło.

Wstrzymała oddech. Pędem rzuciła się do drzwi – tym razem tylnych, żeby znowu nie wpaść na Suzanne. Oparła się o ceglany mur i ciężko dyszała. Coś jest nie tak, i to bardzo.

Od ulicy oddzielał ją wąski zaułek i niebieski kontener na śmieci. Tu, na zapleczu, zapachy narastały. Odór gnijących warzyw i owoców z restauracji i kontenera dławił, ale jej to nie obchodziło. Nie była w stanie się ruszyć.

Co się z nią dzieje?

Zamknęła oczy i stała bez ruchu, próbując się uspokoić. Nagle rozległ się hałas. Dobiegł ze sklepu. Z jej antykwariatu. Znieruchomiała, nagle spięta i czujna. Dlaczego? Czego się boi?

Szukała w pamięci, ale bez skutku. Dyszała ciężko, a jej skóra pokryła się potem. Niemal czuła w ustach smak strachu. I znowu ten sam odgłos, tym razem bliżej. Kroki? Czy to klient?

Ale do jej sklepu rzadko trafiali ludzie z ulicy, większość klientów umawiała się wcześniej.

Drzwi. Ktoś się skrada do tylnych drzwi.

Czy klient przeszedłby przez cały sklep i zmierzał do tylnych drzwi? Przywarła plecami do ściany, na prawo od drzwi. Bezszelestnie zdjęła blezer. Część jej umysłu zaklinała, że przesadza i wpada w paranoję.

Druga część kazała się przygotować, zająć odpowiednią pozycję. Powoli uniosła ręce i rozsunęła palce. Była gotowa.

Co ona wyprawia? Nie miała pojęcia, a jednak wydawało się to właściwe.

Właściwe i... bezpieczne.

Zmusiła się, by oddychać powoli. Głęboko. Spokojnie.

Czekała na odpowiednią chwilę.

W drzwiach stanął mężczyzna.

W ułamku sekundy złapała go, obróciła i pchnęła twarzą na mur. Jedną ręką unieruchomiła mu ręce na plecach, drugą dociskała jego głowę do cegieł.

– Kim jesteś i co tu robisz? Chrząknął.

– To ja. – Mówił niewyraźnie, bo przyciskała mu twarz do muru. – Jake Wise... z parku... z nocy.

Mózg Margo szybko łączył fakty. Prawnik. Kostka. Ulżyło jej. Od razu go puściła.

– Ja... bardzo przepraszam.

Odwrócił się powoli, niechętnie, wytarł dłonie w spodnie. Był w stroju służbowym, a teraz grafitowy garnitur, grantową koszulę i krawat w kolorze burgunda pokrywał pył. Otrzeptał się i spojrzał na nią z podziwem i strachem jednocześnie.

– Niebezpieczna z ciebie kobieta.

Przełknęła ślinę. Zaatakowała człowieka. I to nie byle jak. Zrobiła to fachowo, zręcznie.

Nagle ugięły się pod nią kolana. Zachwiała się.

– Ejże! – Podtrzymał ją. – Wydawało mi się, że to ja jestem ranny.

Podprowadził ją do kontenera na śmieci. Oparła się o niego. Była spocona.

Wise przyglądał jej się uważnie.

– Wszystko w porządku?

Przyłożyła dłoń do piersi – bała się, że rozszalałe serce zaraz ją rozerwie.

– Chyba tak. – Uśmiechnęła się blado. – Więc nie jestem taka groźna.

– Może wejdziemy do środka?

Podniosła blezer i pozwoliła, by wprowadził ją do antykwariatu. Na tyłach była mała łazienka. Weszła tam, zmoczyła papierowy ręcznik i przemyła rozpalony kark i twarz zimną wodą.

Jake stał w progu i ją obserwował. W kącikach jego niebieskich oczu dostrzegła drobne zmarszczki. Od śmiechu czy mrużenia? Widziała je nawet teraz, chociaż nie mrużył oczu.

– Lepiej? Skinęła głową.

– Proszę. – Podał jej kubek z wodą ze zbiornika w holu.

– Dzięki. – Wypiła wszystko. Zaintrygowało ją, czemu ludzie uważają wodę za rozwiązanie wszelkich problemów. Zrobiła z siebie idiotkę i było jej wstyd.

– Proszę posłuchać, naprawdę bardzo mi przykro – zaczęła, gdy stanęli koło jej biurka. Jake skrzyżował ręce na piersi i oparł się o regał z książkami.

– A co, myślałaś, że chcę obrabować śmietnik? Szukała wyjaśnienia, które wyda się sensowne i jej, i jemu. Niczego nie wymyśliła, więc improwizowała:

– Ja... ostatnio było tu w okolicy kilka włamań. Obawiałam się...

– Że jestem złodziejem.

Wzruszyła ramionami. Bardzo mało wiarygodna historyjka.

– Przepraszam.

Uśmiechnął się i znowu zobaczyła zmarszczki w kącikach jego oczu.

– W sumie... z kostką już lepiej, więc trzeba było mnie trochę uszkodzić.

– O nie! – Przeżrana opuściła wzrok. – Czyja... Roześmiał się.

– Spokojnie, żartuję. Żadnych złamań, choć należy ci się medal za oryginalność.

Po raz pierwszy zaatakowała mnie kobieta, którą zaprosiłem na lunch.

Czy ona dobrze słyszała?

– Na lunch?

– A właściwie... jeszcze nawet nie zaprosiłem. – Lekko przechylił głowę. –

Więc jak?

– Z czym? Zerknął na zegarek.

Jest środek dnia. Większość ludzi o tej porze je. – Zawahał się. Ale też

większość ludzi nie rusza do ataku bez powodu, Znowu się zarumieniała.

Już cię przeprosiłam... Podniósł rękę.

Wiem, wiem, jestem okropny, że ciągle do tego wracam. To jak? Spojrzał na nią pytająco. Odpowiedziała pustym wzrokiem.

– Lunch? – przypomniał.

– Och. — Na samą myśl o jedzeniu zrobiło jej się niedobrze.

– W ten sposób chciałem ci podziękować. Za to, że w nocy mi pomogłaś.

Pokręciła głową.

– Nie musisz.

– Ale teraz uważam, że w ten sposób możesz mi się zrewanżować za to, co się tam stało. – Wskazał zaplecze i drzwi wychodzące na alejkę.

– Ale to nie... ja nie...

– Ej, Mar... – Suzanne znieruchomiała w progu. – Och, przepraszam. Nie wiedziałam, że masz klienta.

Margo chciało się wrzeszczeć. Nagle panował u niej ruch jak na głównej ulicy w godzinach szczytu.

– Proszę, wejź. To nie klient.

Suzanne posłała Jake'owi szeroki uśmiech.

– Nie?

– Nie, nie jestem klientem – zapewnił. – My...

– Przyjaciel? – podsunęła Suzanne.

– Znajomy – ucięła sucho Margo. Rozpoznała drapieżny błysk swatki w oczach Suzanne.

– Doprawdy? – Suzanne wodziła zachęcającym wzrokiem od jednego do drugiego. – Do tej pory nie poznałam żadnych... znajomych Margo.

Margo machnęła ręką.

– Suzanne DeForrest, Jake Wise. Jake uśmiechnął się szeroko.

– Widzisz, Suzanne... próbuję namówić Margo, żeby poszła ze mną na lunch.

Jak myślisz, może?

– Ależ oczywiście – zapewniła Suzanne. – Jest słodki – powiedziała bezgłośnie za jego plecami.

Margo opadła na krzesło za biurkiem, jakby nagle straciła wszystkie siły, mimo że tak długo spała. – Chciałam sobie dzisiaj darować lunch, nie jestem głodna.

– A co jadłaś? – zainteresował się Jake.

– Nic, ale....

– Mało brakowało, a byś zemdląła.

– Naprawdę? – Suzanne ściągnęła brwi.

– Powinnaś coś zjeść – nalegał Jake.

– Mówiłam ci, żebyś wracała do domu. – Suzanne była wyraźnie przejęta. – Od razu wiedziałam, że coś jest nie w porządku.

– Wszystko jest w porządku – zapewniła Margo sucho. No cóż, bujda roku.

– Wiecie co? – Jake znowu uśmiechał się promienie. – Zapraszam was obie.

Suzanne energicznie pokręciła głową.

– O nie. Idź z Margo. Nie mogę wyjść ze sklepu na dłużej niż dziesięć minut.

Dzisiaj wezmę coś na wynos. – Już szła do drzwi, ale zatrzymała się, bo w progu stanął nowy przybysz. – Przepraszam – mruknęła, gdy mała na niego nie wpadła.

Jake z uśmiechem obserwował, jak drobna blondynka i wysoki ciemnoskóry mężczyzna o zmęczonych oczach wykonują w drzwiach taniec wzajemnego przepuszczania się. Był to potężny facet, przy którym Suzanne wydawała się jeszcze mniejsza. Niespiesznie odsunął się na bok. Poruszał się powoli, jak ktoś, kto ma środek ciężkości blisko ziemi.

W końcu przestali się przepychać.

– Margo Scott? – zapytał.

– Nie, ja jestem Suzanne, ze sklepu obok. Margo to... – Wskazała głową Margo siedzącą za biurkiem.

Margo wstała.

– Margo Scott to ja.

Suzanne pomachała jej na pożegnanie i wyszła. Margo spojrzała na nowo przybyłego.

– Czym mogę służyć?

– Detektyw Samuel Brewster. – Wszedł do antykwiariatu i machnął odznaką. – Chciałbym z panią porozmawiać.

– Akurat wychodziliśmy na lunch – zauważył Jake. Jego zdaniem wydarzenia toczyły się w niewłaściwym kierunku. Najpierw przespała pół dnia, przez co nudził się jak mops. Potem akcja nabrała rumieńców, ale to on zebrał cięgi. A teraz jeszcze to. Westchnął w myślach. Przecież wcale nie chciał tak dużo. Tylko nawiązać z nią kontakt.

I zrozumieć, dlaczego ma ją obserwować. Detektyw skinął głową.

– Ja też. Nie zajmę państwu dużo czasu.

– Czym mogę panu służyć? – powtórzyła Margo. Naprawdę miała wyjątkowy głos. Niski, głęboki, niemal męski. W świetle dziennym zmarszczki dokoła jej oczu były bardziej widoczne. Zdradzały, że widziała na tym świecie niejedno i nie zawsze był to przyjemny widok. W tej chwili wyraźnie walczyła ze sobą by zachować cierpliwość. Cierpliwość i coś jeszcze. Właściwie dlaczego go zaatakowała?

– Chciałbym zadać pani kilka pytań. – Brewster usadowił się wygodnie na krześle, a Jake powstrzymał jęk. Czego tu właściwie szuka gliniarz z Alexandrii?

– Chodzi o Franka Temple'a.

Jake się wyprostował i już nie był zły. To była ostatnia rzecz, jaką spodziewał się usłyszeć. Margo była zbита z tropu.

– Franka...?

– Temple'a, tak. – Brewster nie odrywał od niej wzroku. – Nie zna go pani? Pokręciła głową.

– Chyba nie. Nie znam tego nazwiska. A dlaczego? Kto to jest? Kłamie? Jake obserwował ją uważnie. Jeśli tak, jest w tym świetna.

– Niech pani mi powie. – Policjant wyjął zdjęcie z kieszeni i pokazał jej. – Rozpoznaje go pani?

Margo spojrzała na fotografię, a Jake podszedł bliżej, żeby się upewnić, że nie mówią o jakimś innym Franku Temple'u. Na zdjęciu widniała jednak znajoma surowa twarz z wielkim nosem.

Pokręciła głową i oddała policjantowi fotografię.

– Przykro mi, nie.

– Jest pani pewna? Może to klient? Miał w gabinecie dużo książek.

– Miał? – zapytał Jake ostro. Brewster westchnął.

– I tak będzie o tym w popołudniowych gazetach. Zginął wczoraj w nocy. Jake nonszalancko oparł się o biurko i zacisnął dłonie na krawędzi tak mocno, aż pobielaly mu kłykcie.

– Wypadek?

– Raczej nie. – Brewster patrzył na Margo. – Na pewno go pani nie rozpoznaje?

– Znów podsunął jej fotografię.

Zerknęła na nią i zaraz uciekła wzrokiem w inną stronę.

– Nie... na pewno nie. Ale chętnie sprawdzę, czy czegoś u mnie nie kupił. Nie zawsze zapamiętuję nazwiska i twarze, zwłaszcza jeśli klient pojawił się u mnie raz i to dawno. Wstała. Brewster poszedł za nią.

Jake został. Nie był pewien, czy da radę iść.

Z oddali docierał do niego zgrzyt wysuwanych szuflad i stłumiony głos Margo.

Frank Tempie nie żyje. To niemożliwe. Przeszyło go ukłucie żalu i paniki.

Frank to jeden z tych tytanów, którzy nie umierają i nie przechodzą na emeryturę, w każdym razie nie z własnej woli. Wspomnienie pojawiło się nie wiadomo skąd. Frank krzyżuje długie nogi, błękitne cypryjskie niebo odcina się od bieli domu, w oddali migocze morze, równie boleśnie błękitne jak niebo. Za jego plecami grupa mężczyzn pomagała matce się spakować, a Jake usiłował uporać się z tragedią, która tydzień wcześniej wywróciła jego życie do góry nogami.

I wtedy Frank, w oczach trzynastoletniego Jake'a wyższy niż drzewa, spojrzał na niego ciepło.

– Mama mówiła, że chciałeś się ze mną widzieć. Jakiem targały strach i gniew.

– Chcę znać prawdę, ale nikt mi niczego nie mówi.

– Prawda... to trudna sprawa, synu.

– Nie jestem pańskim synem – zachnął się. Frank odpowiadał spokojnie, łagodnie.

– To prawda, nie jesteś.

– Więc dosyć tych bzdur. Kto zabił mojego ojca?

Spodziewał się tego samego steku bzdur, którym karmili go wszyscy dorośli, odkąd zapłakana matka powiedziała mu o zbombardowaniu ambasady w Bejrucie. Ale Frank Tempie przyjrzał się swoim długim, wąskim palcom i przeniósł wzrok na chłopca. I nagle jego spojrzenie nie było już miękkie i ciepłe; stało się ostre, bezpośrednie, rzeczowe.

– Nie wiemy – odparł.

– Nie wiecie? To kto ma wiedzieć, jak nie wy, pieprzone CIA? Żadnych komentarzy na temat przekleństw, nie kazał mu mówić ciszej, nie potwierdził, ale i nie zaprzeczył związków z agencją.

– To był wielki wybuch, Jake. Szyby powypadały z okien w promieniu wielu kilometrów. Wiesz, co to jest USS „Guadalcanal”?

Wzruszył ramionami.

– Statek.

– Lotniskowiec. Cumuje o pięć mil od wybrzeża libańskiego. Cały się zatrzęsł po wybuchu. Więc tu nie chodzi o kapiszony, Jake, ale o potężną eksplozję. Z ambasady nic nie zostało.

Jake przełknął ślinę i zacisnął usta. Nie będzie płakał.

– Słyszałem, jak mama rozmawiała przez telefon. Wysłali FBI.

– I pracują tam. Ale nie sposób zebrać dowodów tam, gdzie niczego nie ma. Samochód i kierowca doszczętnie spłonęli. Nie zostało nic z detonatora.

– Zawsze coś zostaje.

– Nie, jeśli twórca bomby umieszcza ładunek wybuchowy w samym zapalniku właśnie po to, by go zniszczyć. Nie udało nam się nawet stwierdzić, co to był za materiał wybuchowy. Do tej pory do zamachu przyznały się trzy ugrupowania, ale ani wywiad libański, ani my nie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy naprawdę istnieją. Wiemy jedno: ten, kto dokonał zamachu, znał się na rzeczy. Straciliśmy wielu dobrych ludzi, między innymi twojego ojca. Nie zawsze udaje się złapać morderców.

To była pierwsza lekcja rzeczywistości, jakiej udzielił mu Frank Tempie, ale nie ostatnia.

Odepchnął wspomnienia, zacisnął dłonie na biurku. Margo i policjant wracają. Musi udawać, że wszystko w porządku. I tak się czuł, mimo przepaści, która się w nim otworzyła.

– Bardzo mi przykro – mówiła Margo – naprawdę go nie znam.

– No trudno. Musimy sprawdzać wszystkie szczegóły.

Nagle wszystko, najmniejszy okrucieństwo informacji, zaczęło nabierać kolosalnego znaczenia. Zwłaszcza wszystko, co łączyło Franka z tą kobietą.

– A co za szczegół łączy panią Scott z tym... – zająknął się – z tym Frankiem Temple'em?

Brewster posłał mu chłodne spojrzenie.

– A pan to....

Nie chcąc, by Brewster skrył się za murem autorytetu, Jake szybko wyciągnął rękę.

– Jake Wise, adwokat pani Scott. Brewster uniósł brwi i spojrzał na Margo.

– Oczekiwała mnie pani?

Margo już otwierała usta – zapewne by zdemaskować jego kłamstwo – ale Jake posłał jej ostrzegawcze spojrzenie. Musi się dowiedzieć najwięcej, jak to możliwe.

– Zabierałem klientkę na lunch, panie Brewster, i tyle. Ale skoro już tu jestem, chciałbym się dowiedzieć, co łączy ofiarę z panią Scott.

Brewster poruszył się niespokojnie, wydał usta i zwrócił się do Margo:

– Była pani kiedyś w Warner Park?

– A co to ma wspólnego z panem Temple'em? – zapytał Jake. Cały czas miał w uszach słowa policjanta. „Frank Tempie. Nie żyje”.

Brewster nie zwracał na niego uwagi, skupiał się na Margo.

– Warner Park, panno Scott. Była tam pani kiedyś?

– Ja... nie, chyba nie. Gdzie to jest?

Wyjął kopertę z wewnętrznej kieszeni marynarki, a z niej złożoną kartkę.

Delikatnie położył ją na biurku. Była niemal całkiem czarna, jak kserokopia, gdy płyta urządzenia jest pusta. Tylko na środku widniał mały biały prostokąt.

– Czy to pani wizytówka?

Najwyraźniej. Jej nazwisko i nazwa sklepu były doskonale widoczne.

– Tak, a co?

Wyjął z koperty kolejną kartkę, rozłożył tak samo jak pierwszą pokazał jej. Ten sam biały prostokąt pośrodku, tyle że bez jej danych, natomiast przeczytała odręczną notatkę: Warner Park, 2.15.

– To pani pismo? – zapytał.

Wodziła wzrokiem od niego do kartki i z powrotem.

– Nie wiem, może...

– Gdzie to znaleźliście? – zainteresował się Jake.

– W portfelu pana Temple'a. – Brewster zwrócił się do Margo. – I nadal pani twierdzi, że go nie zna?

– Bo nie znam – zapewniła.

– Miał pani wizytówkę.

– I co z tego? – włączył się Jake. – Może ktoś inny mu ją dał. Ten, kto się z nim umówił w Warner Park. To nie znaczy, że panna Scott miała z nim cokolwiek wspólnego. – Tylko że miała. Bo niby dlaczego Frank kazał mu ją obserwować? Nasuwa się tylko pytanie: co takiego ich łączyło?

Brewster się zamyślił.

– Pewnie ma pan rację – stwierdził ze zmęczonym uśmiechem. Znow spojrzał na Margo. – Pewnie nie ma pani broni?

– Dlaczego pan pyta? Zastrzelono go? – dopytywał się Jake. Jakim cudem ktoś zdołał podkraść się do Franka? A co dopiero go zastrzelić? – Gdzie go znaleziono?

Brewster nie odrywał oczu od Margo.

– Ma pani?

Patrzyła na niego wielkimi oczami.

– Broń palną?

– Tak – powtórzył spokojnie. Pokręciła głową.

– Nie, nie mam broni.

– Na pewno?

– Na pewno – zachnęła się. – Chyba wiedziałabym, gdyby było inaczej.

Prowadzę antykwariat, a nie sklep rusznikarski. Przykro mi, że nie mogę panu pomóc. I przykro mi, że Frank Tempie nie żyje, chociaż nie mam pojęcia, kto to był.

Brewster składał swoje papiery.

– No dobrze. Dziękuję za pomoc. Mam nadzieję, że mogę się do pani zwrócić, gdybym miał jeszcze jakieś pytania? – Złożył kserokopię i wsunął jej ołówek w dłoń. – Mogłaby mi pani zapisać swój numer? Mam ten do antykwariatu, ale chciałbym mieć też pani domowy i numer komórki. W mojej branży nigdy nie wiadomo, kiedy trzeba się z kimś skontaktować.

Jake już miał powiedzieć, żeby niczego nie pisała, ale się rozmyślił. Zanotowała oba numery i podała kartkę Brewsterowi.

– Przepraszam bardzo, a kim był ten Tempie?

Brewster uważnie składał kartkę, jakby szukał odpowiednich słów. Powoli wsunął arkusik do koperty.

– Waszyngtońska gruba ryba. Zastępca dyrektora TCF, Terrorism Control Force, Wydziału do Walki z Terroryzmem. – Wsunął kopertę do kieszeni i westchnął. – Czeka mnie dziś długi dzień. – Skinął im głową niby serdecznie, ale jednocześnie chłodno, co zdradzało, że wizyta nie spełniła jego oczekiwań. – Smacznego.

Margo poczekała, aż Brewster zniknie za drzwiami, po czym osunęła się na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

– Możesz już iść – szepnęła do Jake'a.

– Niepotrzebnie dałaś mu numer telefonu. Gwałtownie opuściła rękę.

– Dlaczego?

– Dałaś mu próbkę pisma.

– I co z tego? Nie mam nic do ukrycia.

Posłał jej badawcze spojrzenie, jakby nie wierzył w ani jedno słowo.

– Ten Tempie... – zaczął z innej beczki. – Naprawdę go nie znałaś? Jego niewypowiedziane podejrzenia działały na nią jak płachta na byka.

– Słuchaj, nie wiem, o co ci chodziło, kiedy podałeś się za mojego adwokata. W każdym razie nim nie jesteś. Mam dużo pracy... – Znacząco spojrzała na drzwi. Zrozumiał aluzję.

– No cóż... nie ma sprawy. – Zasalutował żartobliwie. – Jeszcze się zobaczymy.

–I wyszedł.

Dzięki Bogu.

Zamknęła za nim drzwi i opuściła żaluzję. Nie chciała widzieć nikogo więcej.

Zmusiła się, by zachować spokój, usiadła za biurkiem i przeanalizowała cały dzień, od rana: obudziła się, wstała, wzięła prysznic, ubrała się, przyszła do pracy, pogadała z Suzanne, dowiedziała się, że wypadł jej miesiąc z życiorysu, zaatakowała faceta, którego prawie nie zna, i odpowiadała na pytania policjanta w sprawie zabójstwa człowieka, o którym w życiu nie słyszała.

No, bomba, kiedy to wszystko przemyślała, oczywiście do razu poczuła się lepiej.

Wyobraziła sobie twarz zamordowanego, powtarzała w głowie jego nazwisko. „Frank Tempie. Frank Tempie”.

– Cholera! Nic.

Zacząła od początku. Pobudka, prysznic, ubieranie się, praca... nie, chwileczkę. Wstąpiła do Starbucksa. Kupiła...

Spojrzała na biurko i zobaczyła stertę gazet. Dlaczego kupiła aż tyle?

I znowu to niepokojące uczucie. Czyżby szukała w nich czegoś konkretnego? Rozłożyła je na biurku, przebiegła wzrokiem pierwsze strony. Czekala, aż coś zaskoczy. Nic. Stopy procentowe, skandale polityczne, kłótnie, walka z terroryzmem, morderstwa, repertuar kin...

Nic.

Więc dlaczego kupiła ich aż tyle, do cholery? Miała uczucie, że musi coś przeczytać, coś powiedzieć...

Wściekła i bezradna jednym ruchem zrzuciła gazety z biurka.

Ukryła twarz w dłoniach i stłumiła kolejny krzyk.

Ślepy zaułek. Gazety to ślepy zaułek. A co z Suzanne i jej rewelacją?
Suzanne.

Błyskawicznie zamknęła antykwariat, porwała torebkę i wpadła przez wewnętrzne drzwi do Retro.

W sklepie nie było nikogo. Margo bez wahania szarpnęła za zasłonę oddzielającą zaplecze od frontu.

– Suzanne?

– Już idę! – Suzanne wyjrzała zza zasłony. Otaczał ją zapach kukurydzy prażonej w mikrofalówce.

Margo zrobiło się niedobrze. Błysk przed oczami. Ciemnowłosa uśmiechnięta kobieta. Przeszyła ją panika, nagła, przerażająca. Obraz zaraz się rozplynął, ale strach pozostał.

– Co jest? – zapytała Suzanne. Margo podeszła do drzwi.

– Możemy wyjść na zewnątrz? Na chwilę. Muszę z tobą porozmawiać.

– A nie możemy tutaj? Przełknęła z trudem.

– Popcorn...

– Chcesz trochę?

– Nie!

– No dobrze, dobrze. I tak bym ci nie dała. – Uśmiechnęła się i posłała Margo spojrzenie zdające się mówić: dziwnie się zachowujesz. Margo nie mogła temu zaprzeczyć.

Na dworze łąpczywie wdychała powietrze i spaliny, szczęśliwa, że niknął zapach popcornu.

– Co jest? – Suzanne wskazała sklep. – Boisz się, że zainstalowali nam podsłuch? Że mam pluskwy w broszkach?

– Bardzo zabawne.

– Więc?

Margo wycelowwała w nią oskarżycielsko palec.

– Powiedziałaś, że pojechałam do Hiszpanii.

Suzanne spojrzała na palec i przeniosła wzrok na twarz Margo.

– No tak. Sama tak mówiłaś.

– A wiesz, po co?

– Wiesz co, to naprawdę bardzo dziwny dzień. – Uważnie przyglądała się Margo. – A ty nie wiesz?

Margo uniosła głowę obronnym gestem.

– Chcę wiedzieć, co ci powiedziałam.

– Co mi... – Suzanne skrzyżowała ręce na piersi, co było oznaką zniecierpliwienia. – Wiesz co? Masz szczęście, że się przyjaźnimy. No dobra.

Chodziło o książkę. Taką jakiego lubisz. Starą zakurzoną... Wartą miliony dolarów. – Lekko przechyliła głowę. – Wiesz co, będzie lepiej, jeśli tylko... – Postawiła kołnierzyk blezera Margo i cofnęła się, żeby podziwiać efekt.

Margo nie zwracała na to uwagi.

– Wybierałam się do Hiszpanii po książkę?

– Chyba Don Kichota. Tak przynajmniej mówiłaś. Zresztą zawsze wyjeżdżasz po książki, prawda?

Coś kliknęło w głowie Margo. Spokojnie. Kawalek układanki trafił na miejsce.

– Tak, dlatego zawsze wyjeżdżam.

Suzanne skinęła głową i podciągnęła jej rękawy.

– Po książki. – Przyjrzała się swojemu dziełu i z zadowoleniem skinęła głową. – O wiele lepiej. A co z przystojniakiem i lunchem?

Margo zamruwała szybko.

– No, ten facet – powtórzyła Suzanne jak do dziecka. – Jak on się nazywał?

Jake jakiś tam. Nie poszliście na lunch?

– Nie byłam głodna – odparła Margo. Opuściła rękawy. Jakim cudem zawędrowały aż na łokcie? – Muszę lecieć. – Nie czekała na słowa pożegnania.

– Dobrze się czujesz?! – zawołała za nią Suzanne.

– Świetnie!

Zostawiła Suzanne samą przed sklepem i na oślep ruszyła przed siebie. Ludzie pojawiali się i znikali z jej pola widzenia, dokoła huczały odgłosy miasta.

Klaksony, hamulce, śmiech.

Nagle, nie wiadomo skąd, jej uszy przeszył krzyk dziecka. Odwróciła się gwałtownie, chcąc zlokalizować jego źródło. Niedaleko niej jechał facet na rowerze, z restauracji wegetariańskiej wyszły dwie kobiety pogrążone w rozmowie, inna pchała dziecinnie wózek w stronę parku. Czyżby to dziecko krzychało? Nie, smacznie spało.

Wrzask się nasilał, była w nim panika. Margo pobiegła za róg, na King Street.

Czuła serce w gardle, miała spocone ręce. Potknęła się, wpadła na kogoś, ledwie burknęła „przepraszam”. Nic. Żadnych wrzeszczących dzieci.

Traci rozum, i to całkowicie. Dysząc ciężko, oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Już raz słyszała ten krzyk. W nocy. We śnie. Czy coś jej się stało? Ale co?

Pojechała do Hiszpanii po książkę.

Błąd. Miała pojechać do Hiszpanii po książkę. Nie pojechała. Więc gdzie spędziła miniony miesiąc?

To pytanie nie dawało jej spokoju i nagle zapragnęła znaleźć się w spokojnym, bezpiecznym miejscu. Bez pytań. W domu. Chciała do domu.

Przyspieszyła kroku, puściła się biegiem. Minęła wyciągnięte ręce, ojca z synkiem na barkach. Tłum gęstniał, wybiegła na jezdnię, omijała samochody.

Minęła centrum informacji turystycznej i tawernę, sklep Gap i Banana Republic, i wiele innych, które sprawiły, że King Street niczym się nie różniła od innych ulic. Zahamowała, żeby nie wpaść na dwójkę nastolatków wychodzących z McDonalda, i biegła dalej. Na zachód, na zachód. Do domu.

W końcu wpadła na peron metra.

Jazda kolejką była jedną zamgloną smugą ruchu, pociąg był czystą bielą.

Zamknęła oczy, chcąc wtopić się w tłum. Ale słowa powracały niechciane.

Pojechała do Hiszpanii po książkę.

Pojechała do Hiszpanii po książkę.

Wysiadła na swojej stacji, złapała autobus do Georgetown, przetrwała krótką jazdę i znowu biegła. Przez chwilę mocowała się z kluczami, wpadła do domu, zatrzasnęła za sobą drzwi i oparła się o nie, jakby chciała zatarasować własnym ciałem dostęp wszystkim złym myślom.

Ociekała potem. Wytarła czoło. Drżała.

W jej głowie znowu rozległ się dziecięcy krzyk, ale go stłumiła.

Barb. Zadzwoń do Barb. Siostra będzie wiedziała, co robić. Czyż nie od tego są siostry?

Pobiegła do kuchni, złapała słuchawkę i podniosła rękę, żeby wybrać numer.

Numer.

Jaki jest telefon do siostry?

Znieruchomiała, zaciskając dłoń na słuchawce tak mocno, aż pobieleły jej kłykcie.

Nie pamięta telefonu do własnej siostry.

Krew dudniła jej w uszach. Musi się uspokoić, to najważniejsze. A teraz...

Teraz odłóż słuchawkę, o tak.

Będzie oddychała. Spokojnie. Wdech – wydech. Ludzie stale zapominają numery telefonów. To nic takiego. Od tego ma się notesy. Ona też ma, prawda?

Wcześniej rzuciła torebkę na podłogę. Teraz poszła jej szukać. Wysypała zawartość. Znalazła blackberry, uruchomiła, otworzyła właściwą zakładkę.

W książce telefonicznej nie było Barbary Scott. Czując narastającą panikę, sprawdziła wszystkie wpisy. Nic.

Ani jednego nazwiska. Pusto.

Ale to niemożliwe. Każdy ma przyjaciół, znajomych. Pamięta przecież...

Co niby? Co pamięta?

Pojechała do Hiszpanii po książkę. Osunęła się na podłogę, oparła o drzwi.

Gdzie spędziła ostatni miesiąc? Co się z nią dzieje?

Jake ochoczo posłuchał, gdy Margo kazała mu wyjść. Jego umysł pracował jak oszalały. To na pewno jakaś pomyłka. Niemożliwe, żeby Frank...

Matka zaprowadziła go do kanapy w salonie. Dopiero co wrócił ze szkoły.

Pamiętał, jak strasznie wyglądała, była potargana i blada jak śmierć. Od razu wiedział, że stało się coś strasznego.

– Doszło do strasznej tragedii – zaczęła. – Wybuchła bomba. Twój ojciec... – Te słowa nie chciały przejść jej przez gardło, musiała na chwilę zamilknąć. – Twój ojciec nie żyje. – Objęła go i zaniósła się płaczem, tuliła go do siebie, chcąc dodać mu otuchy. W rzeczywistości pozbawiała go tchu. I siedział tam sztywny, nieruchomy, starał się zrozumieć, co powiedziała.

Od tego czasu widział wiele śmierci. Ale teraz czuł się, jakby znowu miał trzydzieści lat i świat mu się zawalił.

Odnalazł swój samochód, czarnego expeditiona, między minivanem a lexusem. Zniecierpliwiony, chcąc jak najszybciej się wydostać, szarpał kierownicą, wycofując się z ciasnej przestrzeni.

– Cholerni cywile... – W końcu się uwolnił.

Od razu pojechał do Duke. Przeklinał każde czerwone światło. Siedziba TCF mieściła się w niczym nie wyróżniającym się budynku niedaleko Urzędu Patentowego. Żadna tabliczka nie informowała, co tu się mieści, ale uzbrojeni strażnicy przy wjeździe na podziemny parking zdradzali, że to nietypowy gmach. Jake pokazał odznakę, zaparkował, wystukał kod i wszedł do windy. Frank kazał mu trzymać się z daleka, a Jake złamał ten nakaz, wchodząc do tego gmachu. Nie chciał bardziej komplikować sprawy, zapowiadając swoje przybycie. Wysiadł na szóstym piętrze i skręcił w prawo. Kierował się zapachem, aż dotarł do kantyny i otoczył go aromat jedzenia.

W jasno oświetlonym pomieszczeniu królowały stoiska z daniami z trzech stron, bar sałatkowy pośrodku i stoliki rozsypane po całej sali. Dochodziła druga i tłum się przerzedził, ale nadal było tu sporo ludzi. Jeśli wydarzyło się coś poważnego, będą o tym rozmawiali.

Wziął tacę, machinalnie sięgnął po sztućce i szklankę i jednocześnie ukradkiem szukał znajomych twarzy. Na wszelki wypadek miał gotową wymówkę, jakąś bzdurę o spotkaniu roboczym, ale wolałby nikogo nie spotkać.

– Dorsz z grilla czy stek?

Skupił się na daniach za szybą. Wskazał coś, co z grubsza przypominało mięso, podziękował za przygotowane brokuły, zlekceważył sałatki i desery.

Zapłacił za, jak miał nadzieję, dość jedzenia, by wyglądało na lunch, i wypatrzył idealne miejsce. Usiadł przy długim stole. Na jego krańcu siedziały trzy kobiety. Kończyły jeść.

Usiadł kilka miejsc dalej od chudej sześćdziesięciolatki. Nienaturalnie czarne włosy piętrzyły się na czubku głowy, intensywny makijaż zalegał w zmarszczkach na twarzy. Otworzyła pudericzkę i poprawiła szminką zarys ust.

– Jeśli szybko tego nie skończą będę musiała korzystać z kserokopiarki na drugim piętrze, a ona się ciągle psuje. – Zacisnęła usta i przejrzała się w lusterku.

– I nie zszywa – sapnęła niska pulchna blondynka.

– Szkoda, że nic nam nie mówią. – Brunetka zamknęła pudericzkę.

– Nie nam o tym decydować – zauważyła trzecia, starsza, bardziej pospolita, z okularami na łańcuszku na szyi.

– Ojej, po prostu wolałabym, żeby nas tak nie dręczyli, trzymając w niepewności – wyjaśniła brunetka.

– Nas? – Okularnica podniosła wzrok. – A co z biedną Dottie? – Zniżyła głos. – Przecież to ona go znalazła. Wyobrażacie sobie? Z samego rana. Biedaczka. Podobno odesłali ją do domu.

Zapadła ponura cisza. Jake wbił widelec w mięso i bezmyślnie grzebał w talerzu. Zaszło mu w ustach. Sekretarka Franka miała na imię Dottie.

– Nie pojmuję, jak mogło do tego dojść – mówiła blondynka. – I to tutaj, przy takiej ochronie...

– Boże – sapnęła najstarsza. – Przecież Frank Tempie to żywa legenda.

– Już teraz martwa – poprawiła ją blondynka.

Jake'a przeszył dreszcz. Stracił czucie w palcach i widelec z brzękiem upadł na talerz. Podniósł go szybko, włożył kawałek mięsa do ust i przełknął, nie czując smaku.

Boże drogi.

Kobiety wstawały po kolei, odnosiły tace i wychodziły. Jake odczekał chwilę i zrobił to samo. Pojechał windą na dziesiąte piętro, ale przy drzwiach stał policjant z odznaką wydziału w Alexandrii.

– Przykro mi, to piętro jest nieczynne.

Jake spojrzał ponad jego ramieniem. Policjanci i technicy uwijali się na korytarzu.

– A wiadomo, kiedy skończycie?

– Nie.

Jake spojrzał na policjanta, potężnego Słowianina o kwadratowej twarzy z cieniem zarostu, i napotkał twarde spojrzenie ciemnych oczu.

Powinien teraz siedzieć cicho, klótnia tylko zwróci na niego uwagę. Wycofał się, zjechał do garażu, wsiadł do samochodu i zadzwonił do informacji.

Wkrótce wiedział wszystko, czego potrzebował.

Dottie MacKay mieszkała dwie przecznice od Mt Vernon Avenue, w Del Ray, tak samo jak podczas szkolenia Jake'a w TCF. Osiedle na północy Alexandrii, zbudowane dla robotników kolejowych, przechodziło transformację – od upadku ku odnowie. Obskurne sklepy i malutkie knajpki walczyły o miejsce z eleganckimi kawiarniami i delikatesami. Nowe domy wyrastały jak grzyby po deszczu, a kościół baptystów, sądząc po wyglądzie, przeżywał istne oblężenie wiernych.

Wśród ciasnych krętych uliczek stały domy – niektóre stare i brzydkie, inne odnowione z wielkim nakładem miłości i pieniędzy. Domek Dottie nie należał do żadnej z tych kategorii. Jako jedyny przy tej ulicy zbudowano go z cegły i kamienia. Jak sama Dottie był solidny i porządny. Zadbany i czysty. Od frontu przybysza witały ołowiany dach i wykusze nad oknami.

Jake zadzwonił do drzwi. Miał nadzieję, że plotki okażą się prawdziwe i policjanci odesłali ją do domu, a jeśli tak, nie leży nieprzytomna po środkach nasennych. Dottie MacKay, którą znał, to twarda sztuka, ale od ich ostatniego spotkania minęło sześć lat.

Sama otworzyła drzwi – starsza pani o prostych plecach i siwym koku.

Zmarszczki na brązowej twarzy były głębsze, niż zapamiętał. Nie wiedział, czy pogłębił je czas, czy zmartwienia. Sam także czuł, że jego twarz się zmieni po dzisiejszych rewelacjach. Znał Franka od dwudziestu lat, Dottie pracowała u niego niemal tak samo długo.

– Tak? – Jej ciepły głos był głęboki i melodyjny i wrócił do Jake'a jak stare wspomnienie. Zanim zdążył wytłumaczyć, dlaczego przyszedł, otworzyła szeroko przekrwione oczy i przyłożyła dłoń do pełnej piersi.

– Jake? Jake Wise? Skinął głową i zapytał cicho:

– Jesteś sama?

– Dobry Boże, nie wierzę. – Cofnęła się, żeby mógł wejść. – Jakim cudem dotarłeś tu tak szybko? Przecież to się dopiero stało! – Jej oczy napęły się łzami. Wytarła je chusteczką ścisną w dłoni.

Zawahał się – nie miał pojęcia, ile Dottie wie, o ile w ogóle wie cokolwiek. Ale czasami trzeba coś dać, żeby coś dostać.

– Od kilku dni. Frank prosił mnie o przysługę. Coś błysnęło w jej oczach. Zamknęła za nim drzwi.

– Wiedziałaś? – zapytał. Pokręciła głową.

– Nie miałam pojęcia. Ale w zeszłym tygodniu mówił o tobie. Zupełnie bez powodu, tak wtedy myślałam.

Jake odczuł dumę i niepokój.

– Tak? A co mówił?

– Wspominał twój trening i pierwsze zadanie.

Jake się zaczerwienił, a Dottie uśmiechnęła przez łzy.

– Czy naprawdę przyniosłeś mu...

– Kapsułkę z sarinem? Oczywiście – odparł dumnie. Roześmiała się, gardłowo i miękko.

– Mówił, że przyniosłeś nie tylko kapsułkę, ale także opakowanie. Jake poczuł, jak wspomnienia ścisną go za gardło. Frank ukrył kapsułkę w krowim placku. Minął dzień, zanim Jake trafił na właściwe pastwisko, i dwa kolejne, zanim znalazł właściwy placek. Zdawał sobie sprawę, że zamysłem Franka było, by ubrudził sobie ręce, grzebiąc w każdym kawałku krowiego gówna na polu, i musiał to zrobić. Ale kiedy w końcu znalazł kapsułkę, która udawała sarin, wetknął ją z powrotem w krowi placek, włożył wszystko do specjalnej kasetki i wywalił całą zawartość na biurko Franka.

Dottie otarła Izy.

– Zawsze miał do ciebie słabość, Jake.

Jake skinął głową choć wcale nie był o tym przekonany.

– Ja też go lubiłem.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Chyba żadne nie wiedziało, co powiedzieć. Oczy Dottie znowu zaszły łzami.

– Lepiej usiądź. – Podprowadził ją do fotela w salonie. – Nie powinnaś być teraz sama.

Zbyła jego obiekcje machnięciem ręki, w której trzymała chusteczkę.

– Po pracy przyjdzie moja córka. Uczy w szkole, zaraz tu będzie. Nic mi nie jest. Naprawdę. – Oparła się wygodniej i westchnęła. – Po prostu nie mieści mi się w głowie...

– Co się właściwie stało? – zapytał cicho. Pociągnęła nosem.

– Nie wiem. Weszłam tam rano, a on leżał. Po prostu leżał. – Wzdrygnęła się. – Jeszcze nigdy nie widziałam tyle krwi.

– Zastrzelony?

Znowu pokręciła głową. W jej oczach błysnęły łzy.

– Jego gardło... – Przesunęła dłoń pod podbródkiem.

Zrobiło mu się niedobrze. Wbił wzrok w przestrzeń, tracił ostrość widzenia.

Jezu Chryste...

Coś dławiło go w gardle. Odchrząknął.

– Powiesz mi, nad czym ostatnio pracował? Posłała mu karcące nauczycielskie spojrzenie.

– Przecież wiesz, że nie mogę.

– No dobra, ale... coś ci się rzuciło w oczy? Coś nietypowego? Kłótnie?

Spięcia?

Roześmiała się.

– Chyba żartujesz. Przecież nie było dnia bez kłótni, zwłaszcza po 11 września.

Wszystkie agencje znalazły się pod ogromną presją, TCF także. Wszyscy szuka ją kozła ofiarnego. Frank pracował tam od pół wieku. Stanowił łatwy cel.

Mówiła dosłownie. Czyżby doszło do eskalacji biurowych potyczek?

– Słuchaj, Dottie. Wiem, że od lat dotrzymywałaś tajemnicy, ale Frank mnie o coś prosił. Muszę wiedzieć, czy to ma związek z jego śmiercią.

Wzruszyła ramionami.

– Powiem ci, ile będę mogła, ale zasady to zasady.

– Rozumiem. – Spojrzał na swoje dłonie i próbował zdecydować, jak to rozegrać, ale właściwie po co ma owijać w bawełnę? Powiedział więc prosto z mostu: – Czy kiedykolwiek mówił o Margo Scott?

Brązowa skóra na jej czole się zmarszczyła.

– Margo Scott? – Zamyśliła się. – Nie przypominam sobie. – Przeczący ruch głową. – A dlaczego? Ma coś wspólnego z tym, co robiłeś dla Franka?

Uśmiechnął się ironicznie.

– Przecież wiesz, że nie mogę... Prychnęła i czule poklepała go po udzie.

– Uważaj na siebie, Jake.

Na zewnątrz trzasnęły drzwi samochodu. Dottie wstała i podeszła do okna.

– To moja córka.

– Dobra. Jeszcze tylko jedno i już mnie nie ma. Spojrzała na niego pytająco.

– Klucz od jego domu. Wiem, że go masz.

– Chcesz się wpakować w kłopoty?

– Właśnie nie.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, a potem westchnęła, wyszła z pokoju i wróciła z małym złotym kluczykiem na żyłce.

– Do drzwi kuchennych. – Podała mu go z poważną miną. – Uważaj na siebie.

– Dobrze. I jeszcze jedno... Dottie...

– Tak?

– Dzięki. – Pochylił się i pocałował ją w policzek. Miękka skóra pachniała talkiem. – Uważaj na siebie.

Wyszedł tylnymi drzwiami, wsiadł do samochodu i odjechał, a w uszach cały czas słyszał głos Franka Temple'a.

Po teście z sarinem Frank długo nie mógł przestać się śmiać.

– Podoba ci się gówno, Jake? – Wyszedł zza biurka i przysiadł na jego skraju. Skrzyżował długie ramiona na wąskiej klatce piersiowej, założył nogę na nogę.

– Tak, proszę pana. – Choć Jake nie był już w wojsku, stanął na baczność.

Kąciaki ust Franka uniosły się lekko, w oku pojawił się błysk.

– Jeśli będziesz u mnie pracował, utkwisz w gównie po uszy.

– Jeśli tak trzeba, sir...

Frank znowu się roześmiał i uściśnął mu dłoń.

– Ojciec byłby z ciebie dumny, synu. Bardzo dumny. Witaj na pokładzie.

Teraz, w samochodzie, po wizycie u Dottie MacKay, Jake wyglądał przez okno i niczego nie widział. Nigdy nie ustalono, kto dokonał zamachu na ambasadę w Bejrucie. Nikogo nie osądzono i nie skazano za zabójstwo jego ojca.

Jake zacisnął zęby. Ale nie tym razem. Tym razem znajdzie odpowiedni kawałek gówna.

Za wszelką cenę.

Jake wiedział, gdzie stoi dom Franka. Podczas szkolenia nocował tam dwa razy, spał w małym pokoju, który służył Frankowi za gabinet. Ponury i zdesperowany Jake pojechał w tamtą stronę, ale na miejscu okazało się, że w domu Franka aż się roi od policjantów i agentów federalnych. Jake powoli przejechał koło posesji, wyciągając szyję jak każdy wścibski przechodzień. Wiedział, jak dostać się niepostrzeżenie do środka nawet w dzień, ale wątpliwe, by udało mu się tam pozostać niezauważonym.

Opanował irytację, zawrócił i wyjechał z dzielnicy.

Pół godziny później był już w Georgetown, w północnym zakątku, nie tak gęsto zabudowanym i nie tak drogim. Skręcił w Foxhall, minął dom Margo, skręcił w prawo i jeszcze raz w prawo i znalazł się w wąskim zaułku za jej domem.

Expedition z trudem się tu mieścił. Zwolnił, by wyminąć kilka pojemników na śmieci. Zaparkował w szopie, która wyglądała, jakby przetrwała kilka wojen światowych, ale błyskawicznie reagowała na sygnał pilota. Nieco dalej stała równie obskurna komórka na tyłach posesji Margo.

Strategicznie posadzone krzaki zasłaniały ją od strony domu, natomiast od strony zaułka była doskonale widoczna. Odgarnął gałęzie zasłaniające bezpiecznik, otworzył drzwiczki, wystukał kod na panelu i drzwi otworzyły się bezszelestnie. Znalazł się w małym korytarzyku. Schody prowadziły w dół. Drzwi zamknęły się za nim. Zbiegł po schodach, myślami cały czas będąc w domu Franka. Czy policjanci coś tam znajdują? Co?

Rozpiął górne guziki koszuli, ściągnął krawat i wepchnął go do kieszeni marynarki. Pokonał tunel prowadzący na tył domu Margo, wszedł do pokoju obserwacyjnego i zapalił światła. Blask żarówek ujawnił szereg monitorów,

stanowisko nagrywania dźwięku, słuchawki, komputery i tablicę rozdzielczą z mnóstwem przycisków. Pod ścianą stało łóżko polowe, koło niego otwarta torba.

Powiesił marynarkę na wieszaku przy drzwiach, podwinął rękawy, przysunął sobie jedno z dwóch krzeseł, usiadł na nim okrakiem i spojrzał na monitory. Środkowy pokazywał hol.

Margo siedziała na podłodze, przywierała plecami do drzwi jak zwierzę w pułapce. Była blada i spięta, wielkie oczy bezmyślnie patrzyły w przestrzeń. Obok niej leżała pusta torebka – jej zawartość poniewierała się po podłodze. No właśnie. Margo. Mroczna, tajemnicza Margo. Gdzie jest jej miejsce w tej układance?

Przyglądał jej się uważnie, nie zwracając uwagi na chłód na jej twarzy. Odepchnął się od podłogi, przyjechał na krześle na drugi koniec pomieszczenia, znalazł odpowiedni przycisk, ustawił datę i godzinę, i czekał, aż wyświetlą się nowe obrazy.

Monitor pokazywał teraz minioną noc. Margo weszła do kuchni w sportowym stroju. Poszła na górę i zniknęła mu z oczu. Sprawdził obraz z innej kamery i zobaczył, jak wchodzi do sypialni. Trzecia i czwarta pokazały, jak idzie do łazienki i z powrotem do sypialni.

Obojętnie obserwował, jak się rozbiera i kładzie. Nie umknęło jego uwagi, że nie mylił się co do jej ciała – była smukła i silna, miała pełne piersi i kobiece kształty – ale nie myślał o tym. To nie kobieta tylko obiekt.

I być może morderczyni.

Z drugiej strony może nie ma nic wspólnego ze śmiercią Franka. Tempie prowadził wiele spraw, a każda mogła się skończyć podejrzeniem gardła. Kątem oka dostrzegł ruch na głównym monitorze. Margo zmieniła pozycję. Jednym okiem obserwował przeszłość, drugim teraźniejszość. Na jednym ekranie obraz się nie zmieniał – Margo spała. Na drugim uklękała i odszukała na podłodze telefon komórkowy.

Wrócił na poprzednie miejsce, włączył dźwięk i czekał.

– St. Louis – rozległ się jej głęboki, niemal męski głos. – Barbara Scott.

W innych okolicznościach zapisałby nazwisko i podczas wieczornej rozmowy przekazał Frankowi. Teraz właściwie nie wiedział, co ma robić. Kontynuować? Dać sobie spokój?

Czy to Margo zabiła Franka? Czy prosił Jake'a, żeby ją obserwował, bo jest niebezpieczna?

Jeśli tak, Jake nawalił na całej linii i Frank nie żyje przez niego.

Ta myśl ciążyła mu jak kamień. Zacisnął pięść i walnął w stół. Na jego zmianie. To się stało na jego zmianie.

Nie miał jednak wrażenia, że Margo stanowi zagrożenie, w każdym razie nie wyczuł tego podczas rozmów z Frankiem.

Ale podczas rozmów z Frankiem nie wyczuwał niczego.

Zaklął, znalazł notes i na wszelki wypadek zapisał nazwisko, które powtarzała Margo.

– Nie, nie znam adresu – mówiła, spięta i zdenerwowana. Barbara Scott. Krewna?

Oddałby dużo, żeby wiedzieć o niej coś więcej, ale Frank celowo milczał. Poprosił o przysługę, a Jake nigdy nie odmawiał, jeśli był coś komuś winien. Zresztą i tak by to zrobił. Z nudów i dla samej przyjemności pracy z Frankiem. Ale chciał też spłacić dług. On sam nieraz potrzebował pomocy i zawsze mógł liczyć na Franka.

Tak więc wziął długo odkładany urlop i przyjechał do Waszyngtonu z Manhattanu, gdzie stacjonował.

– To tylko kilka dni – mówił Frank. – Najwyżej tydzień. Póki czegoś nie załatwię.

Załatwił? A może to ten ktoś załatwił jego?

Tymczasem na monitorze Margo gorączkowo szukała czegoś do pisania.

– Chwileczkę – rzuciła do słuchawki i wybiegła z kadru.

Cholera. Przejechał całe pomieszczenie, szukał jej na każdym monitorze, aż znalazł w kuchni. Włączył dźwięk i zerknął na obraz z nocy. Za kwadrans druga, a ona nadal śpi.

– Proszę mówić, słucham. – Pisała na ręczniku kuchennym. – Dziękuję. – Rozłączyła się i natychmiast wybrała jeden z zapisanych numerów.

– Barbara?

Oglądał wczorajszą noc na przyspieszeniu, wsłuchany w jej głos dobiegający z kuchni.

– To ja, Margo. – Chwila ciszy. – Twoja siostra. Nie, nie żartuję. To nie dowcip. Och, rozumiem. Ja... w takim razie to pomyłka. Przepraszam.

Jest. Nacisnął przycisk „stop”, cofnął, znowu zatrzymał. Jest.

– Barbara Scott? A nie wie pan, kiedy wróci? Proszę posłuchać, wiem, że to zabrzmiało idiotycznie, ale czy ona ma siostrę o imieniu Margo?

O 2.10 zobaczył błysk, a potem obraz znikł. Nie było niczego, ani Margo, ani sypialni. Cholera.

Nie po raz pierwszy zawiódł sprzęt podczas takiej akcji. Czasami winna była burza, czasami baterie albo krótkie spięcie. Nawet tu, w wielkich i potężnych Stanach Zjednoczonych Ameryki, taki drobiazg może wszystko schrzanić.

Sprawdził kable i przyciski, znalazł poluzowaną końcówkę, odkręcił ją.

Obejrzał dokładnie. Czy ktoś przy tym majstrował? Nie wydawało mu się, ale nie podobał mu się taki zbieg okoliczności.

Zapisał czas awarii i przewijał nagranie dalej. Margo tymczasem ciągle dzwoniła.

– Szukam mojej siostry, Barbary Scott.

– Chciałabym mówić z Barbarą Scott.

– Z Barbarą Scott proszę.

W końcu na monitorze znowu pojawiła się jej sypialnia. Zatrzymał nagranie i puścił je w normalnym tempie. Margo w łóżku, śpi. Zerknął na godzinę – ósma rano.

– A nie wie pani, czy ma siostrę? O imieniu Margo?

Zerknął do notatek. Dottie znalazła Franka zaraz po przyjściu do pracy, a więc zginał między ich rozmową w nocy a ósmą trzydzieści tego ranka. A od drugiej do ósmej nie wiedział, co robiła Margo. Miała sześć godzin, wystarczająco dużo.

Żeby co? Poderżnąć Frankowi gardło?

Wściekłość dusiła go w gardle i musiał chwilę odczekać, aż się opanował. Patrzył na kobietę w kuchni. Ukryła twarz w dłoniach i wyglądała, jakby chciała wyrwać sobie wszystkie włosy z głowy.

Żeby poderżnąć komuś gardło, trzeba siły i nienawiści. Albo całkowitej obojętności. Ona nie wydawała się obojętna, przynajmniej nie w tej chwili. Ale nie zapomniał, jak poprzedniej nocy zareagowała w parku. Ani jak szybko się dzisiaj poruszała.

– Nie, nie ma sprawy – mówiła do słuchawki. – Bardzo dziękuję.

Pytanie tylko dlaczego. Dowiedziała się, że Frank kazał ją obserwować? Czy może sam Jake jakoś się zdradził? Na samą myśl o tym zrobiło mu się niedobrze.

Ale jeśli wie, dlaczego nadal tu jest? Pod okiem kamer?

A jeśli nie wie, czemu miałyby zabijać Franka?

W antykwariacie zdawała się mówić prawdę, gdy zapewniała Brewstera, że nie zna Franka Temple'a. Jake miał spore doświadczenie w przesłuchiowaniu, założyłby się o dużą stawkę, że mówiła prawdę.

A jednak, choć temu zaprzeczała, coś łączy ją z Frankiem. Ale co? I czy to coś ma coś wspólnego z jego śmiercią?

I jeszcze jedno pytanie, równie niepokojące: co się działo podczas brakujących sześciu godzin?

Margo wybiegła z kuchni i wpadła do saloniku. W rogu stało wąskie staroświeckie biurczko. Gwałtownie otworzyła wszystkie szuflady, ale znalazła tylko ołówek, wyschnięty długopis i kilka czystych kartek.

Biegała jak oszalała, szukała wszelkich możliwych skrytek. Zaglądała pod poduszki na kanapie, przewracała fotele. Jej uwagę przykuły półki z książkami. Sprawdzała je metodycznie, wyjmowała każdą książkę po kolei, wytrząsała spomiędzy kartek nieistniejące notatki.

I nic. Żadnej wskazówki.

Wróciła do kuchni i zaczęła szukać także tam. Czerwono-białe puszkę zup Campbella lądowały na paczkach makaronu. Na podłodze poniewierały się garnki i sztucce, plastikowe wieczko potoczyło się pod stół. Zdyszana zdjęła blezer i machinalnie cisnęła na ziemię. Przeszukała każdą szufladę, opróżniła każdą szafkę i półkę. Nadal nic.

Zostawiła cały bałagan, pobiegła na górę, przeskakując po dwa stopnie, i z nową energią zaatakowała łazienki i pokoje na piętrze.

Kiedy skończyła, otaczał ją chaos, ale nadal niczego nie znalazła. Żadnych zdjęć, notesów, pamiętników, pocztówek, kalendarzy.

Wyczerpana osunęła się na łóżko.

Może to tylko sen.

Może traci rozum.

Nazywa się Margo Scott. Jej rodzice to Tom i Eleanor Scott. Oboje nie żyją. Ma siostrę w St. Louis, Barbarę. Po śmierci matki zajęła się nimi ciotka Frances, a gdy umarła, zostawiła Margo dom i antykwariat. Jeździła po świecie i kupowała książki. Drogie. Rzadkie. Cenne.

Fakty przychodziły jej łatwo na myśl, a każdy stanowił kamień milowy.

Tylko dlaczego nie ma żadnych dowodów?

I co więcej, dlaczego w ogóle ich potrzebuje?

Gdzieś w oddali zadzwonił telefon. Zerwała się z łóżka, zbiegła ze schodów.

Może ten, kto dzwoni, ją zna. I wytłumaczy, dlaczego nie może odnaleźć siostry. Dlaczego nie pamięta, co robiła w zeszłym miesiącu. Dlaczego bez problemu kładzie mężczyznę na łopatki i skąd w ogóle przychodzi jej na myśl, by to zrobić. Telefon był w kuchni. Błyskawicznie złapała słuchawkę.

– Halo? Halo?

Przyciskała ją rozpaczliwie do ucha.

Jak ze wszystkim w jej życiu tego dziwnego dnia nie było odpowiedzi.

Jake wyszedł z pokoju obserwacyjnego, gdy monitory pokazywały Margo wpatrzoną w sufit. Z zainteresowaniem obserwował jej atak szału, ciekaw, czego tak szuka. Ponieważ niczego nie znalazła, oboje nie mieli pojęcia. Kiedy skończyła i jak przekłuty balon osunęła się na łóżko, przebrał się w spodnie od dresu i bluzę z długimi rękawami, wszystko czarne, żeby stać się mało widocznym. Sprawdził, czy wszystko dobrze działa, upewnił się, że rejestrowany jest zarówno obraz, jak i dźwięk. W lewym rękawie ukrył nóż, pistolet trafił za pasek spodni, na plecy.

Wyszedł tak samo, jak wszedł, przez szopę. Zakradł się do samochodu, wyjechał i ruszył w stronę mostu. Z powodu intensywnego ruchu na drogach jazda do MacLean trwała dziesięć minut dłużej, niż zakładał. Kiedy dotarł pod dom Franka, większość wozów policyjnych już odjechała. Przy wjeździe na długi podjazd nadal stała furgonetka CSU, więc pojechał dalej, poza dzielnicę mieszkalną, zaparkował niecały kilometr od domu Franka, przed bankiem, i czekał.

Wyobraził sobie dom Franka. Daleko od ulicy, na działce z potokiem rozsiadł się wiekowy farmerski dom, dokoła mnóstwo drzew. Zero chodników. Zero miejsc, gdzie można ukryć samochód.

Gdy więc zapadł zmrok, zostawił wóz przed bankiem i ruszył na piechotę, minął bank, ulicę i wrócił do dzielnicy wielkich willi. Przemykał się przez

rozległe posiadłości. Kątem oka widział nowe koszmarne domy, odcinające się od starych drzew, i starsze, mniejsze budowle.

Za domem Franka wznoszono nowy gmach. Nie wylano jeszcze fundamentów i plac budowy wyglądał jak otwarta rana w ziemi, ale łatwiej mu było się zakraść. Koparki, nieruchome jak martwe olbrzymy, zasłaniały go, gdy przekradał się między kontenerami i stertami drewna. Od posesji Franka dzielił go już tylko żywopłot. Prześliznął się zwinnie.

Omijał krzewy i zarośla, przeskoczył przez kamienny murek za domem, zbiegł ze wzgórza na wyłożone kamieniami patio z gazowym grillem, który chyba zarzewiał, i plastikowymi fotelami.

Jake uśmiechnął się mimo woli. Na tym patio wypili z Frankiem niejedno piwo. Frank zwierzył się kiedyś, że nigdy nie rozpałił grilla, po prostu kupił go z resztą wyposażenia domu. Skarżył się na wysokie koszty utrzymania i wyrzucał sobie, że skusił się na ten dom, bo rzadko w nim bywał, a miejsca tu było na małe plemie. Jake pamiętał, jak powiedział z właściwą sobie autoironią:

– Wystrzegaj się próżności, chłopcze. Każdego dopada.

Smutek ścisnął go za gardło. Walczył ze sobą, przypomniał sobie, co postanowił.

Przy tylnych drzwiach założył cienkie czarne rękawiczki i otwierając drzwi kluczem od Dottie, wszedł do domu. Nadal na klamce, na gałkach przy szufladach widniały ślady proszku do wykrywania odcisków palców. Nie zamknięto wszystkich szafek, jedna z nich była otwarta.

Przemieszczał się powoli i miał wrażenie sterylności i pustki. No tak, ale Frank, którego znał, praktycznie mieszkał w swoim gabinecie pełnym papierów, które zalegały na wszystkich półkach, szafkach i stolikach. Frank nie chciał biurka, wolał stolik pośrodku gabinetu. Lubił rozmawiać z młodymi agentami, a wewnątrz jego gabinetu sprzyjało długim pogawędkom. Ile godzin on, Jake, spędził w nim, omawiając z Frankiem swoje sprawy? Poczł ukłucie bólu. Za dużo. Za mało.

W przeciwieństwie do gabinetu, dom był przestronny, ale też Franka właściwie nigdy tu nie było. Wyłożony chodnikiem korytarz prowadził z salonu do pokoju, w którym przed laty Jake nocował, i tu widział Franka takiego, jakiego znał: sterty papierów, książek, gazet, a w tym wszystkim dyplomy, odznaczenia i zdjęcia w ramkach.

Wziął do ręki jedno z nich. Frank, uśmiechnięty w mundurze galowym, wysoki, szczupły facet, o głowę wyższy od dwóch towarzyszy.

Przez ponad godzinę przeglądał dokumenty. Znalazł niewiele rzeczy ważnych i nic tajnego. Lista na skrawku papieru zdradzała, że Frank chciał kupić tuńczyka, majonez i pastę do butów. Mnóstwo dokumentacji pracowników – raporty, oceny, czyli rzeczy, które spokojnie mógł zabierać do domu. Jake rozejrzał się z westchnieniem, żeby się upewnić, że niczego nie przeoczył.

Wyszedł z gabinetu i skierował się do sypialni Franka. Jedną ścianę zajmowała wielka szafa. Technicy nie zamknęli drzwi. Na wieszakach wisiały garnitury,

równie smętnie jak na chudym ciele Franka. Na dnie stał rząd czarnych półbutów – wąskich, wyczyszczonych, rozmiar trzynasty. Jake ze ściśniętym gardłem zamknął szafę. Czuł się, jakby opuszczał wieko trumny.

Jego wzrok podążył w stronę łóżka. Ktoś wyraźnie starał się je zaścielić, ale poduszka nadal była pognieciona, a kołdra leżała nierówno.

Na gałkach szuflad i drzwi osiadł biały proszek. Przyjrzał się fotografiom na nocnym stoliku. Uśmiechnięty Frank z prezydentem Bushem seniorem. Frank z innym oficjelem, Frank z dyplomem. Frank z kobietą, która stoi za nim i obejmuje go.

Jake zamrugał. Jeszcze nigdy nie widział Franka z kobietą. Wziął fotografię do ręki. Patrzył na nią i nie wierzył własnym oczom.

Nie dość, że z kobietą to z pieprzoną Margo Scott.

Margo oparła się o ścianę sypialni i patrzyła na pokój. Obraz nędzy i rozpacz, ale na samą myśl o sprzątanii robiło jej się niedobrze.

W jej gardle narastał dźwięk, w końcu krzyknęła gniewnie. Z wściekłością walnęła w ścianę, aż zaboląły ją kłykcie.

– Cholera! – Masowała obolałą dłoń i patrzyła na wgłębienie w gipsowej ścianie. Czuła się jak idiotka.

Musi się uspokoić. Musi tylko... się uspokoić. Ciuchy do biegania z wczorajszej nocy leżały na podłodze. Zdawały się ją wzywać.

Zdjęła przepoconą bluzkę i luźne spodnie, zastępując je szortami i koszulką.

O Boże, znowu może oddychać. Powietrze opływało nagą skórę, mięśnie domagały się wysiłku.

Zbiegła ze schodów, minęła poprzewracane krzesła w jadalni i stertę książek na podłodze.

Przy drzwiach wejściowych usłyszała sygnał – wiadomość na komórce.

Skręciła do kuchni, wzięła telefon.

Ołówek i kartka leżały tam, gdzie je zostawiła. Przewróciła kartkę na drugą stronę, zakrywając wszystkie numery Barbary Scott, i zapisała dane z wyświetlacza: Argyle Towers i numer telefonu. Odsłuchiwała wiadomość dwukrotnie. Za każdym razem kobieta mówiła to samo.

– Pani Scott, tu Dana z Argyle Towers. Mamy pewien problem, dlatego bardzo proszę o jak najszybszy kontakt. – Podawała ten sam numer telefonu, który Margo spisała z wyświetlacza.

Margo z bijącym sercem wpatrywała się w kartkę. Argyle Towers? Co to jest? I gdzie? I co ona ma z tym wspólnego? Wybrała numer z kartki, ale usłyszała tylko nagraną wiadomość, że biuro jest zamknięte i że ma zadzwonić jutro.

Rozejrzała się po kuchni i nigdzie nie zobaczyła książki telefonicznej.

Zapisała adres na serwetce, wepchnęła ją do kieszeni szortów i zabrała telefon.

W holu zgarnęła też torebkę i wybiegła jak więzień podczas ucieczki. Sport musi poczekać.

Pognała alejką za dom w poszukiwaniu samochodu. Przy krawężniku przycupnął granatowy taurus. Jej?

Oczywiście, że tak.

Przemknęło jej przez myśl, że powinna kazać zburzyć tę bezużyteczną szopę, ale jej uwagę zwróciła sąsiadka, która wyszła przed dom z workiem śmieci.

Margo pobiegła do niej.

Pulchna kobieta miała okrągłą twarz okoloną wianuszkami siwych włosów.

Spojrzała na Margo z uśmiechem.

– Tak? Słucham?

Margo się zawahała. O co właściwie chce ją zapytać? „Wie pani może, gdzie spędziłam ostatni miesiąc, boja nie mam pojęcia?”

Obojętna uprzejmość na twarzy kobiety stanowiła wystarczającą odpowiedź, ale Margo nie dawała za wygraną.

– Ja... nazywam się Margo Scott.

– Wiem, moja droga. Bardzo mi miło. Betty Halpern.

– Mieszkam tu obok.

– Wiem, widziałam cię. – Wrzuciła worek do kontenera i zerknęła na drzwi do domu. Najwyraźniej chciała wrócić do siebie.

– Czy... czy znała pani moją ciotkę Frances? – Margo wskazała dom. – Kiedyś tu mieszkała.

– Och nie, niestety, mieszkamy tu dopiero od kilku miesięcy. I raczej trzymamy się na uboczu.

– Więc... – Margo się zarumieniła. – Nie widziała mnie pani ostatnio?

– Ależ na pewno, kochanie. – Betty Halpern obeszła ją i ruszyła do drzwi. –

Przepraszam, że taka nietowarzyska ze mnie sąsiadka. – zniknęła za drzwiami.

– Nie ma sprawy – mruknęła Margo do siebie.

Odetchnęła głośno i spojrzała na pozostałe domy. Stały wzdłuż uliczki, obce, wrogie i zimne.

Wyobraziła sobie, jak puka do wszystkich drzwi: „Dzień dobry, znają mnie państwo? Zwariowałam. Widzieli to państwo może?”

– Pani Scott?

– Tak? – Odwróciła się na pięcie. Zbliżał się do niej policjant w mundurze.

A właściwie policjantka, niższa od Margo, o wąskiej twarzy i jasnych włosach upiętych w kok pod czapką. Identyfikator głosił, że nazywa się Scoffie.

Włączyła nadajnik na ramieniu.

– Mam ją, za domem. – Spojrzała na Margo. – Pójdzie pani ze mną?

Margo przyglądała jej się czujnie. Drobna, szczupła, mimo kamizelki pod koszulą – bez problemu położy ją na łopatkę. Od razu wiedziała, jak to zrobi.

Zanim podjęła decyzję, w alejce pojawił się wóz patrolowy i zatrzymał koło nich z piskiem opon. Scoffie wskazała samochód.

– Bardzo proszę.

Margo spojrzała na kierowcę. Mężczyzna, mniej więcej trzydzieści pięć lat. Błyskawicznie rozważyła możliwe uzbrojenie i prawdopodobieństwo, że go użyje wobec niej.

Nie reagowała, liczyła na więcej informacji.

– Ale dlaczego?

– Detektyw Brewster chciałby pani zadać kilka pytań. Brewster. Detektyw z antykwariatu. Miała wrażenie, że rozmawiała z nim w innym życiu.

– Chodzi o Franka Tempie'a?

– Przykro mi, nie wiem. – Policjantka poruszyła się, przeniosła ciężar ciała, prawa noga była teraz z tyłu, lewa z przodu. Tym sposobem ochraniała broń i była przygotowana na to, by nie stracić równowagi w razie walki. Margo nie wiedziała, dlaczego rozpoznała ten ruch.

– Proszę pani? – Jej dłoń pomknęła do pałki przy boku. Nie odrywała wzroku od Margo. – Możemy panią zmusić.

Kierowca wysiadł.

– Coś nie tak, Scoffie?

Wciąż patrzyła na Margo, choć odpowiadała koledze:

– Nie, Terillo, już idziemy. Prawda, pani Scott? – rzuciła do Margo.

Margo zmusiła się do uśmiechu.

– Owszem, jak pani sobie życzy. – Skoro policja ma pytania, może ma również odpowiedzi.

Jake wyszedł z domu Franka i wrócił do samochodu. Po pierwsze, sprawdził, gdzie jest Margo, w nadziei, że atak szalu zmęczył ją na tyle, iż nie będzie miała ochoty wychodzić.

Nic z tego. Odbiornik wyraźnie pokazywał, że jest gdzie indziej. Wcisnął odpowiedni przycisk, poczekał, aż wyszuka adres...

O cholera...

A więc gliniarze także przejrzeni jej kłamstwa.

Zamknął sprzęt i odjechał. Nie miał czasu, by się przebrać za prawnika, ale liczył, że wygląd go nie zdradzi. Zostawił nóż i pistolet w samochodzie na wypadek, gdyby na posterunku mieli wykrywacz metalu.

Siedziała już w pokoju przesłuchań. Brewster otworzył drzwi powoli i dokładnie – Jake zaczynał podejrzewać, że to dominujące cechy jego charakteru. Ten facet nie działa impulsywnie. Wszystko, co robi, jest przemyślane. Wy kalkulowane.

– Jest tu pani prawnik – zwrócił się do Margo. Jedyłą oznaką jej zdziwienia było nagle rozszerzenie źrenic, ale zaraz to opanowała. Jak na morderczynię imponowała spokojem.

– Najwyższy czas – mruknęła i jej ochrypy głos znów sprawił, że przeszył go dreszcz.

Przyjrzał się jej. Myślał, że wczorajsze nocne bieganie to jednorazowy numer, jakaś manipulacja Franka, ale widząc ją w stroju sportowym, zaczął się zastanawiać, czy to nie jej nawyk. Miała na sobie te same granatowe szorty i szarą koszulkę, która podkreślała kształt jej piersi. Skrzyżowała gołe nogi pod stołem, na nagich ramionach wyraźnie zarysowały się mięśnie. Piękna jak pantera. Mroczna. Groźna. Zwinna.

Brewster wodził wzrokiem od jednego do drugiego.

– Dzwoniła z samochodu? Jake zaryzykował.

– Tak. Przyjechałem, jak mogłem najszybciej.

Brewster mruknął coś pod nosem o żółtodziobach. Jake mu przerwał:

– Chciałbym porozmawiać z klientką w cztery oczy. Bez pana. Brewster posłał mu mordercze spojrzenie, ale zaprowadził ich do ciasnego pomieszczenia bez podsłuchu i wyszedł. Na stoliku pod ścianą stał dzbanek z kawą, plastikowe kubki, śmietanka w proszku, która była śmietanką tylko w teorii, a w rzeczywistości zostawiała na języku tłusty osad. Powietrze wypełniał zapach przypalonej kawy, ale Jake i tak nalał jej do dwóch kubków i podał jeden Margo. Patrzyła na kubek równie podejrzliwym wzrokiem, jak na niego.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Intuicja. – Upił łyk i mało brakowało, a zakrztusiłby się kwaśnym płynem.

Kawa stała tu chyba od tygodnia. – Co im powiedziałaś?

– Kim jesteście?

– Twoim nowym kumplem. Co im powiedziałaś?

– Nie jesteście prawnikiem, prawda, Jake?

– Jestem tym, kogo potrzebujesz. – Posłał jej znaczące spojrzenie i po raz trzeci powtórzył: – Co im powiedziałaś?

Wydęła usta i w końcu uległa:

– Prawdę.

– Czyli?

– Że nie znam Franka Temple'a i nie wiem, dlaczego miał w domu moje zdjęcie.

Czuł na sobie je wzrok. Patrzyła spokojnie, a z głosu przebijała prawda. Z drugiej strony musiała być dobra, żeby dotrzeć do Franka. Przecież widział zdjęcie.

– Twoje zdjęcie?

– Tak. Wymyślili sobie, że byłem jego kochanką i mnie zostawił. – Sądząc po jej minie, to bzdura, ale nie odczepi się tak łatwo.

– A byłaś?

– Nie był w moim typie.

– A jaki jest twój typ?

– W każdym razie to nie facet, który mógłby być moim dziadkiem. Zacisnął dłonie pod stołem. Najchętniej złapałby ją za gardło.

– Masz alibi? – Był ciekaw, jak się z tego wywinie.

– Nie, chyba że uznasz za takie moje łóżko. Spałam.
– Jesteś pewna?
Posłała mu mordercze spojrzenie.
– Co to ma znaczyć? Że zabiłam go przez sen? Nie zwracał uwagi na gromy, jakie ciskały jej oczy.
– Lunatykowałeś kiedyś?
– Nie – odpowiedziała krótko. Zmienił ton.
– Byłaś sama? – Znał odpowiedź, ale prawnik nie mógł tego wiedzieć, a to naturalne pytanie w takiej sytuacji.
– To nie twoja sprawa, ale tak, byłam sama.
– I nigdy nie byłaś u Franka Temple'a? Ani w domu, ani w biurze? Zacisnęła szczęki.
– Po raz tysięczny powtarzam, że do dzisiaj nie wiedziałam, kim jest. Musnęła palcem brzeg kubka. Jest dobra, bardzo dobra. Patrzyła na niego mrocznym wzrokiem.
Pojawiły się pierwsze wątpliwości. Niby dlaczego miałyby zabijać Franka? Znał go tyle lat i przez ten czas Frank nigdy nie był z nikim związany. Nie wyobrażał sobie, by zaczynał jakiś związek teraz.
Z drugiej strony nie wiadomo, co pochlebstwo i seks mogą zrobić z facetem w jego wieku.
Ale Frank to nie byle facet. Frank był na to za mądry. Był ponad to. Jasne. Wyczuł w sobie naiwną wiarę w idola. Któż nie uległby Mar-go – inteligencji i mrocznej urodzie w jednym?
Może dlatego Frank go tu ściągnął. Może chciał, żeby sprawdził jego kochankę.

Jake nie chciał, nie mógł w to uwierzyć. Więc dlaczego?
Odsunął krzesło. Sam już nie wiedział, co myśleć.

– Dobrze.

Poszedł do Brewstera.

Policjant siedział za biurkiem. Marynarka wisiała na oparciu krzesła, poluzowany krawat zwisał smętnie z szyi. Podwinął rękawy. Przeglądał jakieś papiery. Na widok Jake'a wstał i podszedł do niego.

– Sam pan się tym zajmuje? – zapytał Wise. – Gdzie federalni? Brewster z trudem pohamował irytację. Żaden gliniarz nie lubi, gdy inna agencja mówi mu, co ma robić.

– To ich sprawa. Chce pan z nimi pogadać?

– Chcę pogadać z tym, kto tu dowodzi. – Jake zauważył wygniecioną koszulę. Kolejny długi dzień w pracy.

Brewster zmarszczył brwi.

– Oni skupiają się na teoriach zawodowych, nam zostają miejscowi.

– Oskarży ją pan? – zapytał Jake.

– Może.

– Ale nie dzisiaj.

Brewster wzruszył ramionami i przyznał niechętnie:

– Ciągle się zastanawiam. Bzdura. Gra na zwłokę.

– Akurat. – Jake z uśmiechem oparł się o framugę. – Ma pan jakieś dowody? Odciski palców? Włosy? Ślady prochu na rękach?

Brewster pokręcił głową.

– Nie, ale minęło dużo czasu. Jest bystra. Pozbyła się śladów.

– A więc nie ma pan niczego.

– Próbką pisma się zgadza. Kolejna nić łącząca ją z Frankiem.

– To za mało. I wcale nie znaczy, że była na miejscu zbrodni.

– Mamy kulę.

Jake ukrył zdziwienie.

– Jaką kulę? – Dottie mówiła, że Frankowi poderżnięto gardło. – Zastrzelono go?

– Nie, ale znaleźliśmy łuskę. Nadal szukamy broni. Jeśli znajdziemy ją u pańskiej klientki...

– Powiedziała, że nie ma broni palnej.

– Powiedziała także, że nie zna denata. Po co kłamać, jeśli się nie ma nic do ukrycia?

Jake także się nad tym zastanawiał.

– Może po to, żeby uniknąć tych pytań.

– Morderca był praworęczny. Ona jest praworęczna.

– I dziewięćdziesiąt procent ludzi na świecie.

– Ma sześciocalowy nóż?

– Na pewno. Do warzyw. – Rozejrzał się. – Coś jeszcze?

– Nie – przyznał Brewster niechętnie. – Ale to nie znaczy, że niczego nie znajdziemy.

– Jasne. Ale nie dziś. Zabieram ją do domu. Brewster nic nie mógł na to poradzić, więc się zgodził.

– Proszę nie wyjeżdżać z miasta – rzucił do Margo na pożegnanie. – Żadnych wycieczek do Brazylii. Wydziału nie stać na to, żeby tam po panią jechał.

Nie powiedziałaś, że pismo się zgadza.

Margo uparcie patrzyła w okno. Ulice migały jej przed oczami.

– Nie pytałeś.

– Twarda z ciebie sztuka, wiesz o tym?

Nie zwracała uwagi na jego gorzki uśmiech. Koncentrowała się na faktach, w każdym razie takich, które znała.

– Nie znam Franka Temple'a.

– Jasne, nie znasz Franka Temple'a, ale w kieszeni miał twoją wizytówkę z twoim pismem, a u niego w domu znaleziono wasze wspólne zdjęcie. Zaraz się okaże, że kula wyleciała z lufy pistoletu, którego nie masz.

Margo zacisnęła zęby, ale właściwie Jake dobrze podsumował sytuację. Teraz jeszcze trzeba dodać do tego zapomniany miesiąc i zaginioną siostrę i cały bałagan będzie widoczny jak na dłoni.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, jak mnie znalazłeś. Wzruszył ramionami.
 - Radio policyjne. Usłyszałem twoje nazwisko i pomyślałem, że przyda ci się pomoc.
 - Co ty, polujesz na ofiary wypadków?
 - Prawdziwych przyjaciół poznajemy w...
 - Słuchaj, Jake, nie wiem, co ty sobie wyobrażasz, ale...
 - Chcę ci pomóc...
 - Jeśli liczysz na duże zyski i Bóg jeden wie, co jeszcze...
 - Co to miało znaczyć, do cholery?
 - Wiesz doskonale...
 - Wyciągam twój tyłek z opresji, a ty...
 - No dobra, już. – Odetchnęła głęboko, chcąc się uspokoić. – Posłuchaj, chcę tylko, żebyś się trzymał ode mnie z daleka. Moje życie stanęło na głowie. Uwierz mi, nie chcesz się w to pakować.
 - Dzięki za ostrzeżenie, ale jestem już dorosły i jednak zaryzykuję. Przygryzła wargi. I bez niego miała dość na głowie.
 - Możesz mnie tu wysadzić. Pojadę metrem. Nie zahamował.
 - Powiedziałem, że odwiozę cię do domu. Była zbyt zmęczona, żeby się kłócić.
 - Dobrze. Tu skreć w prawo.
- Powiedziała mu, jak do niej dojechać. Kwadrans później skręcili w jej uliczkę i minęli wóz patrolowy, crown vica, z mężczyzną za kierownicą który odwrócił głowę, gdy go mijali.
- Masz towarzystwo – zauważył Jake.
 - Owszem – mruknęła. Odwróciła się i spojrzała za siebie. Kierowca crown vica także. Odprowadzał ich wzrokiem.
- Najwyraźniej policja nie do końca wierzy w jej niewinność. A ona sama? Zdusiła nagły strach. Nie, nikogo nie zabiła. Ale krzyk dziecka, krew, upadek... Sen. To mógł być sen. Zaplotła dłonie w nadziei, że w ten sposób ukryje ich drżenie.
- Dwa domy dalej kazała Jake'owi się zatrzymać. Jechał wolno, więc spełnił polecenie od razu. Wysiadła.
- Dzięki, że mnie odwiozłeś.
 - Byłem ci to winien.
 - Więc teraz jesteśmy kwita.
 - Naprawdę nie chcesz, żebyśmy wszedł? – Skinął głową w stronę wozu patrolowego. – Choćby ze względu na sąsiadów.
 - Nie, dzięki.
 - Sama kopiesz sobie grób.
 - Oby nie.

Poczekala, az odjedzie, zanim wpadla do domu. Biegla na gore, przeskakujac po dwa stopnie.

Nie ma broni. Nie znala Franka Temple'a. Nikogo nie zabila. A jednak... Wpadla do zdemolowanej sypialni i zaczela grzebac w stercie ubrań lezacych na podlodze.

Gdzie, do cholery, podzialy sie jej dzinsy?

Przegladała ubrania w szafie i w szufladach. Wszędzie spodnie – szare, granatowe, czarne.

Z jękiem cisnela je na podloge. Nie potrafi sie nawet ubrac, nie wpadajac w histerie.

Daj sobie spokój. Nie masz na to czasu. Musisz cos zalatwic.

Wlozyla pierwsze lepsze spodnie, sciagnela koszulke, wlozyla na bluzke i zapinala ja w biegu. Wyszla tylnymi drzwiami.

Taurus nadal stal przy krawezniku. Wciaz czula sie dziwnie, patzac na niego. Poszukala w torebce, wyjela kluczyki do samochodu. Wsunela jeden z nich do zamka – pasowal. Ulzylo jej.

Wsiadla, przekrecila kluczyk w stacyjce, ruszyla. Skrecila w Foxhall Road i widziala, ze crown vic takze wlacza sie do ruchu.

Cholera.

Jechala ostroznie, nie spuszczajac oka z wozu policyjnego. Trzy przecznice dalej byly swiatla. Zmieniały sie wlasnie z zoltego na zielone. Szybkie spojrzzenie w lusterko. Ma dosc czasu? Szczescie jej sprzyjalo – droga az do swiateł byla wolna.

Wcisnela pedał gazu i z piskiem opon przejechała na pomarańczowym. Ogon chcial zrobic to samo, ale czerwone swiatlo go unieruchomilo.

Uśmiechnęła się. Wreszcie cos uklada sie po jej myśli.

Jadac do Argyle Towers, trafila na druga strone rzeki – przejechała przez most Key i znalazla sie w Rosslyn, w Pentagon City. Od wieczornego nieba odcinaly sie wysokie sylwetki apartamentowców i biurowców. Sklepy i restauracje przy Army Navy Driver kusily. Neony zdawaly sie krzyczec w ciemności.

Dwie minuty pozniej skrecila w spokojna uliczke w dzielnicy mieszkalnej: Arlington Ridge. Uliczka wspinala sie na strome wzgorze, na ktorym krolowal wysoki apartamentowiec, Argyle Towers, jak glosily czarne litery podswietlone reflektorami.

Za budynkiem bylo juz tylko zbocze i maly park, zadnych uliczek, zadnych alejek. Zaparkowala koło parku i rozejrzala sie.

Dwadziecia pieter, jedno wejście. W drodze minela wjazd do podziemnego garazu, na tyłach zbocza. A zatem drugie wejście z garazu.

I budynek, i park byly jasno oswietlone, ale wydawaly sie puste. Wsiadla.

To wzgorze nazywano Prospect Hill. Niegdyś miescila sie tu rezydencja producenta cegiel. Ze wzgorza rozciagal sie widok na trzy strony swiata.

Budynek gorowal nad autostrada międzystanowa I-395; samochody

przejeżdżały bezustannie, nasycaly noc wiecznym ruchem. W oddali krzyże i nagrobki cmentarza Arlington lśniły jak trupie czaszki w blasku księżyca. Po jej prawej stronie przysiadł potężny blok Pentagonu. W oddali, za rzeką, były inne dzielnice, niektóre jasne, inne spowite ciemnością. Blask bijący od pomnika Lincolna oświetlał ciemne kształty. Pewnie drzewa, domyśliła się.

Widok zapierał dech w piersiach. Oto ma przed sobą serce tego kraju. Zadrżała, sama nie wiedząc czemu. Nagle przytłoczył ją ciężar jakby zapomnianego obowiązku. Nie wiadomo skąd pojawiły się obrazy. Łodzie na wodzie, ładunek przykryty plandeką zapach ryb.

Serce zabiło jej szybciej. W ciemności nie widziała Potomacu, ale spojrzała tam, gdzie powinien być. Czy to tam spędziła miniony miesiąc? Na rzece? Dlaczego? Co tam robiła?

Szukała w pamięci choćby najmniejszej wskazówki, ale zniknęły nawet te krótkie przebłyki.

Przygryzła wargi, żeby nie krzyczeć. Co to wszystko ma z nią wspólnego? Czego nie pamięta?

Odwróciła się i spojrzała pytająco na budynek, ale nie dawał żadnych odpowiedzi.

Porzuciła i pytania, i widok, dobiegła do drzwi wejściowych – prowadziły do małego przedsionka, a tam – kolejne drzwi. Za nimi widniał hol spowity ciepłym przytulnym blaskiem. Na stolikach z ciemnego drewna stały piękne kompozycje kwiatowe. W głąb budynku prowadził wzorzysty dywan.

Kto tu mieszka? I dlaczego do niej dzwoni?

Nacisnęła klamkę. Zamknięte. Zobaczyła z boku wąski otwór przypominający terminal do kart kredytowych. Klucz cyfrowy. Musi mieć specjalną kartę, żeby tu wejść. Do garażu zapewne także.

Wróciła do taurusa, oparła głowę o zagłówek i zamknęła oczy. W biurze powiedzieli, że jest otwarte od ósmej. A więc czeka ją długa noc.

Jake zerknął na ekran odbiornika i ziewnął. Margo nadal była w tym samym miejscu co godzinę temu. Wciąż siedziała w samochodzie.

Sięgnął po noktowizor i obserwował ją przez chwilę. Z jego punktu obserwacyjnego wśród drzew na zboczu wyglądała, jakby spała. Głowa opadła jej do tyłu. Jęknął w duszy. Posłanie, jakiegokolwiek posłanie, nawet łóżko polowe w pokoju obserwacyjnym, byłoby lepsze niż to.

Owszem, jest zirytowany, ale trudno się temu dziwić, skoro śledzi ją przez całą noc.

No i najgorsze, że już znał to uczucie, i to aż za dobrze. Kłamstwa i pozorna twardość. Widział to już na twarzy innej kobiety. A teraz ona nie żyje. Jęknął. Nie chciał znowu myśleć o Dani. Co Margo właściwie robi w Arlington? Czeka na kogoś – to najlogiczniejsza odpowiedź, ale tkwi tu już od kilku godzin. Ten ktoś się spóźnia, i to bardzo. Ale dlaczego czeka niemal pośrodku ulicy?

Już miał odłożyć noktowizor, gdy się poruszyła. Błyskawicznie się skoncentrował. Nie, nie tylko się poruszyła, drgnęła, jakby niewidzialna ręka pociągała za sznurki. I jeszcze raz. I jeszcze.

Szybko omiótł wzrokiem okolicę. Nic, żadnych czujników laserowych ani nadajników. Czysto.

Dopiero wtedy zrozumiał: ona śni.

No cóż, po podejrzeniu komuś gardła każdy może mieć koszmary.

Patrzył, jak budzi się gwałtownie, oddycha ciężko. Drzwi do samochodu otworzyły się, wysiadła. Zaciskała dłoń na klamce, jakby bała się, że się przewróci. Rozejrzała się i po raz pierwszy zobaczył jej twarz. Oszalały wzrok, włosy przyklejone do czoła. Widział wcześniej, jak gorączkowo ściągała z siebie strój do biegania, a myślał, że do tej pory już się uspokoiła. Ale bluzka nadal była krzywo zapięta. I tylko do połowy.

Mimo spokoju, jaki okazywała w samochodzie, gdy wracali od Brewstera, teraz rozsypywała się na kawałki.

Co to oznacza? Że jest winna? Czy wręcz przeciwnie? Obserwował ją chłodnym wzrokiem zawodowca. Może warto wrzucić ją do Potomacu i poczekać, aż wypłynie.

Zatrzasnęła drzwi, oparła się o nie, opuściła głowę i skrzyżowała ręce na piersi. Tak jest, oddychaj, dziewczyno, oddychaj.

Otarła pot z czoła, przełknęła ślinę, wzięła się w garść, zerknęła na zegarek i wróciła do samochodu. Znów spojrzała na zegarek i odjechała.

Pojechał za nią do baru o nazwie Eastlake, kilka przecznic od apartamentowca. W oknach wisiały neony reklamujące piwo Miller Light, przez co cholernie trudno było zajrzeć do środka. Nie sądził, by uwierzyła w kolejne przypadkowe spotkanie, więc nie mógł wejść, ale przed jej mu kaktus na ręce wyrośnie, niż spędzi noc w samochodzie. Jeśli Margo się z kimś spotyka, musi wiedzieć z kim.

Obiegł budynek dokoła, zakradł się tylnymi drzwiami, przez kuchnię, zamkniętą o tej porze, i zobaczył Margo przy barze.

Usiadł w kącie, skąd doskonale ją widział. Kelnerka o zbyt mocnym makijażu i zmęczonych oczach przyjęła od niego zamówienie. Sączył piwo i patrzył.

Margo siedziała sama. Z nikim nie rozmawiała, nikt jej nie zagadywał.

Pochylona nad drinkiem – szkocka albo burbon, bez lodu – wsłuchiwała się w siebie. Przez moment widział jej bladą, spiętą twarz. Ciemne oczy były pełne cierpienia.

Często tu przychodzę? – zapytała, gdy barman postawił przed nią drinka, choć niczego nie zamówiła.

Uśmiechnąłby się, słysząc, jak przekreśliła najstarszy tekst świata, ale miała zbyt poważną minę. Zmierzył ją zaciekawionym spojrzeniem.

– Dostyc często.

– Wiesz, jak się nazywam?

Uniósł brwi, skrzyżował ręce na piersi.

– Co to ma być? Egzamin?

– Tak jest. – Upiła łyk drinka. Szkocka spływała do gardła, sprawiała, że mogła swobodniej oddychać. – Jeśli zaliczysz, dostaniesz złotą odznakę.

– No dobra – uśmiechnął się. – Wchodzę w to.

Zmierzyła go wzrokiem: po czterdziestce, kręcone szpakowate włosy, wyrazista irlandzka twarz. Czy to jego bar? Słyszała, jak ktoś nazywał go Pat.

– Po kolei – zaczął. – Masz na imię Margo. Nie wiem, jak dalej, bo się nie przedstawiasz. I dobrze, my tu nie wtykamy nosa w nie swoje sprawy. –

Wskazał jej szklanekę. – Pijesz szkocką, najczęściej glenlivet, a czasami, jeśli jesteś w dobrym humorze, może tuż po wypłacie, siedemnastoletniego macallana. Przez miesiąc, dwa pojawiaasz się raz albo dwa razy w tygodniu, potem znikasz i znowu wracasz. – Pochylił się nad kontuarem i szepnął: – Myślę, że podróżujesz. – Kolejny uśmiech. – Jak mi idzie?

Upiła łyk.

– Świetnie. Roześmiał się.

– My, barmani Jesteśmy najlepszymi obserwatorami na świecie.

– Widujesz mnie tu w czyimś towarzystwie? Zamyślił się i pokręcił głową.

– Kiedy o tym myślę... Nie. – Puścił do niej oko. – Ale jeśli chcesz, możemy to zmienić.

Posłała mu takie spojrzenie, że uniósł pojednawczo rękę.

– Tylko żartowałem. Proszę nie strzelać, pani władzo. – Spojrzał na jej szklanekę. – Daj znać, jeśli będziesz miała ochotę na dolewkę.

Oddalił się do innego klienta, a Margo pochyliła się nad szklaneką. Wysiadając z samochodu, nie wiedziała, że tu bywa. Zdała się na instynkt i teraz wiedziała dlaczego.

Znają. Poczują łzy pod powiekami. Dobry Boże, znają.

Co za cudowne uczucie odnaleźć kogoś, kto ją zna. Upewnić się, że nie jest duchem we własnym życiu.

Sączyła szkocką. Trzymała szklanekę drżącą ręką. Odstawiła.

Bywa tu regularnie, znika i wraca. Podróże czy luki w pamięci? Robi to zupełnie niewinne czy może to Trzy oblicza Ewy?

Dopiła whisky, zamówiła jeszcze jedną kolejkę, i jeszcze, i została aż do zamknięcia baru.

Wytoczyła się w noc, oparła o ścianę i oddychała głęboko w nadziei, że powietrze rozrzedzi mgłę. I zarazem miała nadzieję, że tak się nie stanie.

Chciała tej mgły, chciała zamroczenia. Alkoholem. Niewiedzą. Czymkolwiek, póki jej mózg nie działa.

Powinna wrócić do domu ciotki Frances. Przespać się. W łóżku.

Ale powrót oznaczał konfrontację z bałaganem, a bałagan przywodził na myśl pytania, na które nie знаła odpowiedzi. Nie. Noc i samochód są lepsze, na pytania i odpowiedzi przyjdzie czas rano.

Wgramoliła się do taurusa i siedziała, zmęczona, spragniona snu i zbyt przerażona, by temu ulec, ale ciało było osłabione, a szkocka mocna. Zasnęła.

Obudził ją klakson. Wnętrze samochodu spowijało blade słoneczne światło. Usiadła, przetarła zaspane oczy, spojrzała na zegarek. Kwadrans po ósmej. Sięgnęła po telefon, krzywiąc się przy każdym ruchu obolałego ciała. Co za idiotyczny pomysł spać w samochodzie!

Przesunęła językiem po zaschniętych wargach, zła, że nie ma ze sobą wody. Odchrząknęła. Trudno, woda poczeka.

Wyjęła z torebki pogniecioną serwetkę i wystukała zapisany na niej numer.

– Dzień dobry, tu Margo Scott. Dana do mnie dzwoniła.

– Och, tak, dzień dobry, pani Scott, Dana przy telefonie. – Wysoki głos z cieniem południowego akcentu. Margo wyobraziła sobie kobietę w średnim wieku w jasnoniebieskiej bluzce. – Dziękuję, że pani tak szybko oddzwania.

– Wspominała pani o problemie...

– No tak. – Dana roześmiała się z zakłopotaniem. – Chodzi o czynsz. Czynsz. Margo się skupiła, zeszywniała.

– My... No cóż, jeszcze go nie otrzymaliśmy – ciągnęła Dana. – Do tej pory nigdy nie było takich problemów i chciałam się upewnić, że nie ma jakichś opóźnień w banku.

Mózg Margo pracował intensywnie, po porannym zamroczeniu nie pozostał ślad.

– Nie było mnie w mieście, wydawało mi się, że wysłałam wam czek przed wyjazdem, ale w takim zamieszaniu...

– Och, wiem, jak to jest. – Dana znowu zachichotała.

– Może później go podrzucę osobiście?

– Nie ma sprawy.

– Proszę mi tylko przypomnieć, gdzie jest wasze biuro? Dana podała jej adres. Margo się rozłączyła.

Oparła się wygodnie, zamknęła oczy i szykowała się na nowy dzień. Zdaje się, że nie ma czasu na długie rozważania.

Wróciła pod budynek, za późno przypomniała sobie, że nie ma gdzie dyskretnie zaparkować, objechała więc wzgórze, znalazła normalną ulicę pełną samochodów i zostawiła tam taurusa. Ruszyła piechotą. Wśliznęła się od garażu na tyłach budynku.

Miała rację co do drugiego wejścia i ochrony. Stała koło samochodu i udawała, że szuka kluczyków. Co jakiś czas ktoś wychodził, w garniturze, do pracy.

Nikogo nie rozpoznała.

A powinna, skoro ma tu mieszkanie.

Zwilżyła usta językiem. Czy to nie dziwne, że Margo nie pamięta numeru swojego mieszkania? Dobra stara Dana? Na pewno. Margo z zaciętą miną zadzwoniła do elektrowni.

– Nazywam się Margo Scott – zaczęła, ledwie połączono ją z działem windykacji. – Ostatnio nie dostaję rachunków, chciałam się upewnić, że macie dobry adres.

– Numer abonenta?
– Nie znam, przykro mi, dzwonię z biura, a stare rachunki mam w domu.
– Proszę przeliterować nazwisko.
Margo to zrobiła i słuchała, jak na drugim końcu linii ktoś stuka w klawiaturę. Brzmiało to jak kroki insekta.
– Mam Scott, Margo, Arlington Ridge dziesięć dwadzieścia pięć.
– Tak jest. Numer mieszkania 10 C?
– Nie, 20 B.
– No tak, nic dziwnego, że nie dostaję rachunków. Mają iść do dziesięć C, dobrze?
Margo się rozłączyła. Spojrzała na drzwi. Jak się dostanie na najwyższe piętro? Kolejna przeszkoda. Karta wejściowa, a to oznacza wyprawę do biura i kolejną rozmowę z Daną. Nie miała ochoty na pogawędki. Swędziały ją palce, coś dusiło w piersi, nie mogła oddychać. Musi się tam dostać.
Wyszła kobieta na wysokich obcasach. Teraz, rano, dużo samochodów wjeżdżało do garażu i wyjeżdżało z niego.
Margo podeszła bliżej i stanęła koło szklanych drzwi ozdobionych złotym napisem „Argyle Towers”. Po kilku sekundach ktoś wyszedł, a ona wśliznęła się do środka.
Oczywiście drzwi do apartamentu 20 B były zamknięte, ale Margo miała klucze. Klucze, o których nie pamiętała, że zostawiła je Suzanne na przechowanie. Zaciskała na nich dłoń i wstrzymywała oddech, starając się opanować.
Na chwilę zamknęła oczy i zmusiła się, by otworzyć dłoń. Po kolei odkładała klucze na bok: do samochodu, do sklepu, do domu. Zostały trzy, jeden za mały, by pasował do zamka w drzwiach, i dwa mniej więcej podobne. Pierwszy nie pasował. Drugi – owszem.
Serce waliło jej jak młotem. Powoli pchnęła drzwi.
Na końcu korytarza trzasnęły drzwi. Drgnęła.
– Przepraszam. – W jej stronę szedł mężczyzna w garniturze z aktówką w ręku.
– O, to ty. Dawno cię nie widziałem.
Zamrugła szybko. Próbowwała się uśmiechnąć, ale usta stawiały opór.
– Ja... wyjeżdżałam służbowo. Dopiero co wróciłam.
– Witaj w domu.
Szedł dalej, uprzejmy i obojętny. Odprowadzała go wzrokiem. Rozpaczliwie chciała dowiedzieć się więcej.
– Chwileczkę! – Pobiegła za nim i dogoniła przy windzie. – Znasz mnie?
Wcisnął guzik i spojrzał na nią zdumiony.
– Jak to?
– No... znasz mnie? Widziałeś mnie tutaj?
– No... tak. Mieszkasz tutaj. – Poruszył się niespokojnie. – Wszystko w porządku? Wyglądasz trochę... – Patrzył na jej ubranie. Podążyła za jego wzrokiem. Jej bluzka była pognieciona i krzywo zapięta.

Skrzyżowała ramiona na piersi.

– Zdaję sobie sprawę, że to dziwne, ale... proszę, daj mi jeszcze chwilę. Czy my się... przyjaźnimy?

Pobladł i uniósł rękę, żeby nie mówiła więcej.

– Słuchaj, jesienią się żenię – powiedział nerwowo. – Marsha Mar-cy... Tak? Mieszkasz w 20 B, ja w D. Spotkamy się tu, w korytarzu, kiedy wynosimy śmieci...

– I tyle?

– No, tak. – Drzwi windy się otworzyły i mężczyzna wszedł do niej ochoczo. – Mam nadzieję, że... Hm... Poczujesz się lepiej.

Drzwi się zamknęły. Została sama.

To się nazywa anonimowość wielkiego miasta. Facet mieszka obok i nawet nie wie, jak jej na imię.

Zresztą ona też nie ma zielonego pojęcia, jak on się nazywa.

Wróciła myślami do Betty Halpem. Ona także jej nie знаła. A Pat z baru mówił, że zawsze przychodziła sama.

Rysował jej się pewien obraz i nie był to przyjemny widok.

Cofnęła się i wróciła do mieszkania. Głęboko zaczerpnęła tchu i zrobiła to, co musiała: weszła do środka.

Kremowy chodnik, fotel z czarnej skóry, kanapa ecru, czarne poduszki.

Chromowane lampy. I półki. Całe ściany półek. Okna za białą kotarą.

Nie jest to wnętrze przytulne i ciepłe, to pewne. Całkowite przeciwieństwo domu ciotki Frances. Pierwsze słowo, jakie przychodziło na myśl, to „oszczędne”. Oszczędne i proste. I bardzo, bardzo puste.

– Halo? Jest tu kto?

Odpowiedziała jej cisza.

Weszła dalej, jak żołnierz wdzierający się na terytorium nieprzyjaciela. W kuchni na szafce czekała butelka glenlivet, nietknięta. Lodówka była pusta, w zamrażarce tylko lód. Od dawna jej tu nie było. W szafkach stały puszki zupy, przyprawy, karton wafli. Chyba nie przepada za gotowaniem.

W jadalni zobaczyła stół ze szklanym blatem i cztery krzesła z kutego żelaza.

Na środku stał gliniany dzbanek. Odwróciła go do góry dnem. Hecho en España. Wyprodukowano w Hiszpanii.

Przeszył ją dreszcz.

Zebrała się w sobie, odepchnęła wszelkie implikacje i przeszła do holu. W szafkach były ręczniki i środki czystości. Między proszkiem do prania a stertą ścierek leżała starannie zapakowana paczka. Gotowa do wysłania, zaadresowana do Peggy Ballinger, Osiemnasta ulica.

Margo wzięła ją do ręki i patrzyła na nazwisko. Skoro to jej mieszkanie, to sama zaadresowała tę paczkę. A zatem zna Peggy Ballinger. A to oznacza... Jej serce podskoczyło z radości... że Peggy Ballinger znają.

Zaniosła paczkę do kuchni i nożem kuchennym przecięła taśmę klejącą. Papier rozsunał się i jej oczom ukazały się cztery... nie, pięć książek. Z obrazkami.

Ściągnęła brwi. Same książki dla dzieci.

Dlaczego wysyła Peggy Ballinger książki dla dzieci? Chwileczkę, przecież nimi handluje, może nie? Może Ballinger to klientka?

Albo może... i znowu poczuła cudowny dreszcz. Może to jej krewna i te książki to prezent. Jeśli tak, pozna ciotkę, kuzynkę, przyjaciółkę... kogoś, kto ją zna, kto jej powie, co tu się właściwie dzieje...

Złapała komórkę i szybko wybrała numer informacji.

Po chwili system przełączył ją do telefonistki. Usłyszała, że przy Osiemnastej ulicy nie mieszka żadna Peggy Ballinger.

Zamknęła oczy. Nie mieściło jej się w głowie, że historia się powtarza.

Niemożliwe, żeby traciła rozum. Znalazła paczkę. Zaadresowaną. To fakt. To rzeczywistość.

Po prostu musi sprawdzić to sama. Ale nie teraz, jeszcze nie. Najpierw musi się rozejrzeć po mieszkaniu.

Opanowała panikę, zostawiła książki na stole i poszła dalej. Dwie sypialnie – większa z łazienką i mniejsza bez.

Najpierw zajrzała do mniejszej. Łóżko przykryte szarą narzutą. Niemal pusta komoda, tylko w najniższej szufladzie leżały prześcieradła i powłoki. W szafie znalazła bieliznę – sportowe staniki, szare i czarne spodnie, koszule z tkaniny zapobiegającej poceniu. Na dnie szafy stały ciężkie wojskowe buty i kilka par adidasów.

Przeszła do większego pokoju. Kolejne łóżko pod szarą narzutą. Otworzyła komodę – dzinsy, koszulki, bluzy.

Ani śladu sukienek, spódnic, szpilek.

Najwyraźniej stroi się tak samo chętnie, jak gotuje.

Podeszła do szafy, o wiele większej niż ta w mniejszej sypialni. Otworzyła ją i zamarła.

Ściana brązów i zgniłych zieleni. Zamrugnęła i odzyskała ostrość widzenia:

kamizelki z licznymi kieszeniami, plecaki, dziwne uprząże i pasy z kaburami... zbyt groźne jak na sprzęt wspinaczkowy. Na półce stała apteczka. Nieco wyżej dostrzegła wgięte metalowe rurki – jakieś narzędzie?

I wreszcie, na najwyższej półce, metalowa kasetka. Przyglądała jej się z mocno bijącym sercem. Zamknęła oczy, odetchnęła głęboko, nacisnęła zacisk i uniosła wieko.

Jej oczom ukazały się dwa rzędy noży. Każdy leżał w piankowym zagłębieniu. Różnych rozmiarów, od trzech cali do dwunastu. Miały ostrza pojedyncze i podwójne, gładkie i ząbkowane. Był tam nawet sztylet.

Powrócił sen i zapach krwi, odgłos upadającego ciała, przerażający krzyk.

Straciła czucie w palcach i wieko opadło.

Cofnęła się. Jak najdalej od szafy i odpowiedzi, których nie chciała. Jak najdalej od drzwi sypialni, od holu, od kuchni. Osunęła się na krzesło. W jej głowie kłębiły się myśli.

Może to nie jej mieszkanie?

Może wynajmowała je dla przyjaciółki? Dla Peggy Ballinger. W takim razie dlaczego wysyła jej książki na inny adres? Może mieszka tam ktoś inny? Może sama jest kimś innym? No właśnie. Wariatką z kolekcją noży.

Zrobiło jej się niedobrze. Zgięła się wóół. Szkocka z poprzedniego wieczoru wróciła do gardła nie wiadomo skąd i bała się, że zaraz zwymiotuje. Rzuciła się do drzwi. Wydawały się bardzo daleko. Zbiegła dziesięć pięter, wypadła na dwór i chciwie łapała powietrze.

Jake obserwował Margo przez całą noc. Teraz ukrywał się za rogiem na dwudziestym piętrze i obserwował, jak wybiega z mieszkania i gna w dół schodami, jakby ścigały ją duchy. Po kilku chwilach sprawdził na odbiorniku, gdzie się znajduje – zatrzymała się na parterze. Czekał czujnie, czy wykona jakiś ruch. Ani drgnęła.

Sekunda na podjęcie decyzji: zrobić to czy nie? Potrzebował jedynie pięciu minut, dość czasu, by się przekonać, kto lub co tak ją przeraziło.

Wychynął się zza rogu i podszedł do drzwi mieszkania. Nawet nie zamknęła za sobą drzwi.

Zajrzał do środka. Pusto, a przynajmniej nikogo nie wiać. Otoczył go zapach pustki i samotności.

– Halo? Jest tam kto?

Cisza. Ostrożnie przekroczył próg.

Czy tutaj mieszka? Jeśli tak, straszna z niej porządnicka. Lubiała proste, czyste linie, żadnych ozdób czy wzorów. Nie ma tu miejsca na słodkie figurki kotków czy makatki z sentencjami.

Rozejrzał się: kuchnia, salon, jadalnia. Wystrój jadalni zakłócał tylko jeden przedmiot – paczka na stole. Książki dla dzieci. Obejrzał kolorowe okładki.

Nowe, a nie używane, jak towar w antykwariacie. Ale to w sumie niezbyt oryginalny element wyposażenia jak na kogoś, kto handluje książkami.

Minał sypialnię, która wyglądała, jakby dawno nikt w niej nie spał. Lekko uchylona szuflada komody. Zajrzał do niej. Pościel.

W drugiej, większej sypialni, szafa stała otworem. Podszedł, zajrzał do środka i znieruchomiał, kiedy zobaczył jej zawartość. Kamizelki kuloodporne, plecaki, paski od broni, pojemniki na granaty i magazynki. Miała raki, liczne kabury, zarówno na biodra, jak i pod pachę, i o wiele lepszy zestaw noży niż on. Nie wyłączając sześciocalowego noża bojowego.

Musnął sprzęt palcami. Używany i zadbane. Noże były ostre i czyste.

Odwrócił się i zacisnął usta w wąską kreskę.

Antykwariuszka. Akurat.

Margo otarła usta grzbietem dłoni. Jej tętno było teraz wolniejsze, prawie normalne. Mdłości minęły, opanowała panikę. Nie ma sensu siedzieć na zewnątrz. Ani udawać, że nie widziała tego, co kryje się w szafie.

Zamknęła oczy i oparła się o mur. Poranny chłód chłodził rozpaloną skórę. Po kilku minutach wyprostowała się, przełknęła i wróciła do środka, bo wcześniej zachowała dość przytomności umysłu, by podeprzeć czymś drzwi. Miała dosyć uciekania.

Drzwi do mieszkania stały otworem. Tak je zostawiła? Pewnie tak. To głupie i nieprzemyślane... Nie może sobie pozwolić na takie błędy. Nie, jeśli ma się czegoś dowiedzieć. Zamknęła je starannie i przekręciła zamek.

Szczęk zamka wywołał kolejne pytanie: czy naprawdę chce poznać prawdę? Może lepiej trwać w obłędzie. Jak głosi stare przysłowie: „Czego nie wiesz, to cię nie boli”.

Ruszyła do sypialni. Była brudna, spocona po nocy w samochodzie. A tu ma czyste ubrania. Weźmie prysznic, może później będzie jej się lepiej myślało. Była już prawie w sypialni, gdy usłyszała jakiś dźwięk. Włosy na karku się zjeżyły. Zatrzymała się w pół kroku. Ktoś tu jest?

Serce biło jej coraz szybciej. Przywarła plecami do ściany i skradała się do sypialni. Ukradkiem wyjrzała zza framugi: pusto. Znowu paranoja?

Skulona weszła ostrożnie do pokoju.

Cień w lustrze na toalecie. A więc jednak ktoś tu jest, w przejściu między pokojem a łazienką.

Nie myślała, działała. Skuliła się w rogu, złapała broń, odwróciła się gwałtownie, ale zamiast obezwładnić intruza, sama została rozplaszczona o ścianę.

– Nie tym razem – warknął.

Wecisnął kolano między jej nogi, zmusił, by je rozsunęła. Na karku poczuła zimny dotyk stali.

– Zabiłaś Franka Temple'a? Rozpoznała głos. To ten drań, Jake Wise.

– Nie. – Ponieważ przyciskał jej twarz do ściany, mówiła niewyraźnie.

– Nie wkurzaj mnie, suko.

– Ja nie... – Chciała go odepchnąć, ale w rezultacie tylko mocniej przycisnęła ją do ściany. Był od niej wyższy i przystawił jej nóż do szyi.

Czuła ostrze na karku.

– Zabiłaś Franka Temple'a?

– Nie.

– Powtórz to.

– Nie!

– Kim jesteś?

Mało brakowało, a parsknęłaby śmiechem.

– Kto cię zatrudnił?

– Nikt...

– Jak na antykwariuszkę masz niezły sprzęt. Więcej noży niż rzeźnik.
Frankowi poderżnięto gardło, wiedziałaś o tym?

Po karku spływała jej krew.

– Wiedziałaś? O Boże.

– Wiedziałaś?

– Nie!

– Nie?

– Nie wiem!

– Wiesz, Scottie, nikt nie lubi kłamczuchów. – Złapał ją za plecy, pociągnął jej głowę do tyłu i z całej siły uderzył nią o ścianę. – Jak to, kurwa, nie wiesz? Zacisnęła zęby.

– Nie pamiętam!

– Nie...

– Nie pamiętam! Tak, do cholery, nie pamiętam!

Zbiła go z tropu i chwilowo poluzował uścisk. To był ułamek sekundy, ale wiedziała, że drugiej okazji nie będzie.

Zebrała się w sobie i pchnęła z całej siły, podcięła. Zachwiał się, cofnął, tak że miała więcej miejsca na manewry. Odwróciła się, schyliła, żeby uniknąć ciosu nożem, walnęła go w żołądek, a kiedy się schylił, zdzieliła go w kark.

Upuścił nóż i z jękiem osunął się na ziemię. Jej kolano na plecach nie pozwalało mu wstać. Teraz jej kolej na zabawę nożami. Przyłożyła mu nóż do gardła.

– Kim jesteś?

– Wiesz kim.

– Prawnikiem z Georgetown, który rozpaczliwie szuka klientów? Nie sędzę.

– Pieprz się.

– Nie z tobą. Co wiesz o Franku Temple'u?

– Pracowałem dla niego.

To ją zaskoczyło i na to liczył. Zrzucił ją z siebie, przeturlał się i zerwał się na równe nogi równie szybko, jak ona. I jak ona stał na lekko ugiętych, rozstawionych nogach, gotowy do walki. Okrażali się jak zwierzęta.

Wodził wzrokiem od jej twarzy do noża w jej dłoni i z powrotem. Szybka ocena jej umiejętności. Ona zrobiła to samo. On jest ciężki, ona szybka. Nie sposób przewidzieć, kto będzie lepszy.

Ale odpowiedzi pragnęła bardziej niż walki. To woli, bardzo powoli opuściła rękę z nożem. Jeszcze chwila i cisnęła go na podłogę.

W szafie było mnóstwo innej broni, a on miał do niej bliżej niż ona, ale liczyła, że uzna jej gest za oznakę dobrej woli i nie zechce zakłócić równowagi.

Wyprostowała się, podeszła do toaletki i oparła się o nią ciężko. Pokazała mu puste dłonie.

– Pracowałeś dla Franka Temple'a? Skinał głowę, wciąż czujny.

– A więc jesteś agentem federalnym?

– Tak.

Uklucie strachu. Czego, do cholery, chce od niej agent federalny?

– Możesz mi to wytłumaczyć?

– Ty pierwsza – warknął. – Co miałaś na myśli, mówiąc, że nie pamiętasz, czy zabiłaś Franka?

– Posłuchaj, jeśli mamy pogadać, pozbadź się wszelkich uprzedzeń. A szczególnie przekonania, że to ja zabiłam Franka Temple'a.

– Wydawało mi się, że niczego nie pamiętasz.

– Nie pamiętam, czy to zrobiłam, czy nie. Interesuje mnie zwłaszcza opcja: czy nie.

Gwizdnął cynicznie.

– W życiu nie słyszałem takich bzdur.

– Witaj w moim świecie.

Podrapał się w podbródek. Obserwował ją, analizował.

– Możemy usiąść? Nie tutaj? – Wskazał głową drzwi.

To tylko gra czy gałązka oliwna? Przyglądała mu się uważnie. Uniósł puste ręce.

– Zobacz, mamusiu, nie mam zabawek. Skinęła głową.

– Dobrze.

Wyszła, stanęła w przedpokoju i czekała na niego o krok od noża leżącego na podłodze.

Byk równie ostrożny, szedł za nią. Doszli do salonu, nie spuszczać z siebie wzroku.

Margo usiadła na krześle, więc Jake'owi została kanapa. Przysiadła na skraju, pochylona, jakby w każdej chwili chciała się zerwać, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Mój dom, moje zasady – powiedziała. – Ty pierwszy.

– Tak?

– Co: tak?

– Twój dom?

Już otwierała usta, ale zaraz je zamknęła. Poruszyła się niespokojnie.

– Nie wiem – przyznała w końcu. – Możliwe. Mam klucze. – Spojrzała na niego. – Czego nie można powiedzieć o tobie.

Nie zaprzeczył, nie okazał nawet, że wyczuł aluzję. Zawahał się tylko, jakby ważył następne słowa.

– Frank Tempie prosił, żebym miał cię na oku. A to niespodzianka.

– Co?

– Potajemnie. Nieformalnie, tylko przez kilka dni. Najwyżej tydzień. Tak mówił.

– Dlaczego? – To jedno słowo nawet w przybliżeniu nie oddawało jej zdumienia.

Jake wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

To jej tekst, nie jego.

– Masz, czego chciałeś, Wise. Jeśli będziesz coś przede mną ukrywał, odpowiem ci tym samym.
– Niczego nie ukrywam. – Głośno wypuścił powietrze. – Nie wiem dlaczego. Nie powiedział mi.
Fatalnie. O ile mu uwierzy.
– A to wszystko zaczęło się...
– Kiedy poznaliśmy się w parku. Policzyła w myślach. Przedwczorajsza noc.

– Więc to było ustawione?
– Frank mówił, że tam będziesz.
– Skąd wiedział? Nawet ja tego nie wiedziałam. – Przypomniała sobie przemożną, chęć, by wyjść na dwór, i miała wrażenie, że zdradziło ją własne ciało.

– Nie wiem.

– Wielu rzeczy nie wiesz, co?

Zacisnął gniewnie usta, ale nie zwróciła na to uwagi.

– Zadanie?

– Nawiązać kontakt, pilnować cię. Miałem wrażenie, że martwi się o twoje zdrowie. Fizyczne. – Spojrzał na nią ostro. – Chorowałaś?

– Luki w pamięci to choroba?

– Pod warunkiem że to alzheimer.

– No cóż, ostatnio nie byłam u lekarza. Pewnego ranka obudziłam się i stwierdziłam, że jest miesiąc później, niż sądziłam.

Uniósł pytająco brew.

– Miesiąc później?

– Właśnie tak. Kładłam się do łóżka jako zadowolona z życia anty-kwariuszka, a obudziłam się jako wariatka, która nie ma pojęcia, gdzie spędziła ostatni miesiąc, co robi i, powiedzmy sobie szczerze, kim tak naprawdę jest.

Przyglądał jej się przez chwilę, a potem się roześmiał. I nie był to śmiech radosny.

– Chyba żartujesz. Masz mnie za durnia? Błagam cię, wymyśl coś lepszego.

Może porwanie przez kosmitów?

Łypnęła na niego gniewnie.

– Pieprz się, Wise.

– Nie z tobą.

Cholera jasna, dlaczego się zarumieniła?

– Słuchaj, niby czemu miałabym wymyślać coś tak idiotycznego?

– Tu się akurat z tobą zgadzam.

– Więc dlaczego...

– Nie wiem dlaczego. – W jego głosie pojawiła się twarda nuta. – Dlaczego niebo jest błękitne? Dlaczego ptaki śpiewają? Jesteś rąbnięta. Kto wie, dlaczego postępujesz tak, a nie inaczej?

Spochmurniała jeszcze bardziej.

- Nie mogę cię zmusić, żebyś mi uwierzył. W zadumie skinął głową.
 - To akurat prawda. Więc daruj sobie te bzdury i...
 - Ja nie... Wstał.
 - W jego domu było twoje zdjęcie. Charakter pisma na... – powiedział podniesionym głosem.
 - ..mojej wizytówce. – Zerwała się na równe nogi. – Wiem. Byłam na policji, słyszałam...
 - Zamordowano go sześciocalowym ostrzem. – Podeszedł bliżej. – Masz nóż z takim ostrzem.
 - Który znalazłam godzinę temu! – Ona także zrobiła, krok do przodu.
 - Chyba nie liczysz, że kupię te twoje brednie...
 - To prawda! Kolejny krok.
 - Kochanie, nie odróżnisz prawdy od kłamstwa, choćby narobiła ci na głowę. Ona także podeszła bliżej.
 - Mów za siebie, dupku.
- Stali twarzą w twarz, sierżant i rekrut, tyle że nie była pewna, kto jest kim. Pchnęła go. Jake jej na to pozwolił.
- Słuchaj, jeśli to ja zabiłam Franka Temple'a, chcę się o tym dowiedzieć tak samo jak ty.
 - Wątpię.
 - Myślisz, że doskonale się bawię, nie wiedząc, kim jestem, gdzie byłam, co robiłam? Chciałbyś tego? – Niemożliwe, by udręka w jej głosie była udawana. Opadła na krzesło. – Nie wiem, co to wszystko dla ciebie znaczy. Chodzi ci o sprawiedliwość? O pracę? Dla mnie stawką jest stan mojego umysłu.
- Była blada i zmęczona. Na jej czole pojawiła się mała ranka w miejscu, którym przyciskał ją do ściany. Krew sklejała włosy. Kiedy trzymał ją za gardło, krew poplamiała kołnierz koszuli. Nie zwracała na to uwagi, nie narzekała, a to oznacza, że zaznała już bólu i potrafi go znosić. Ale obie rany zadała jego ręka. Drażniło go to.
- Oczywiście, jeśli zapomni o nożach w jej szafie.
- No dobra. – Machnął ręką i zmusił się, by na chwilę odłożyć nóż na bok. – Załóżmy, czysto hipotetycznie, że mówisz prawdę i cierpisz na częściową amnezję, dzieło kosmitów...
 - To nie hipoteza.
- Zauważył, że nie protestowała przy gadce o kosmitach.
- Dobra, jak chcesz. Ostatnia rzecz, jaką pamiętasz?
 - Zamykałam antykwariat. Szłam do domu. Spać. – Oparła dłonie na kolanach, wpatrzona w przestrzeń. – Obudziłam się z bólem głowy. Zobaczyłam sportowe ciuchy. Poczulałam przemożną ochotę, by się w nie ubrać. – Odnalazła jego wzrok. Jej oczy nie są czarne, jak mu się początkowo wydawało, ale niebieskie. Ciemnoniebieskie. Teraz widział w nich zmartwienie i zagubienie.
 - Sugestia podprogowa? Wzruszyła ramionami.

– Sam mówiłeś, że Frank wiedział, że będę w tym parku. Wzdrygnął się lekko. Czyżby Frank naprawdę się do tego posunął?
Do eksperymentów z ludzkim umysłem?

– Kiedy zdałaś sobie sprawę, że umknął ci cały miesiąc? Opowiedziała mu o rozmowie z Suzanne, o rzekomej wyprawie do Hiszpanii, o różnicy między datą ostatniej transakcji a najnowszym wydaniem gazety. Opowiedziała, jak nie była w stanie odnaleźć siostry i o tym, jak odkryła to mieszkanie. Im dłużej mówiła, tym bardziej nieprawdopodobna stawała się jej opowieść i jego nieufność rosła z każdą chwilą. A jednak jedną osobę udało jej się przekonać – samą siebie. Wierzyła w to, co mówi, widać to było gołym okiem. Przyglądał jej się podejrzliwie.

– Masz za sobą dziwny okres. Zdajesz sobie sprawę, że prosisz o wiele, chcąc, bym w to uwierzył? – Obserwował, jak na jej twarzy pojawia się uraza. – Z drugiej strony – ciągnął, ciekaw, dokąd go to zaprowadzi – nikt normalny nie wymyśliłby czegoś takiego, to istna strefa mroku. – Nie zaprzeczyła. – Co wiemy? Nazywasz się...

– Margo Scott, córka Toma i Ellen Scottów. Mam siostrę Barbarę.

– Której nie udało ci się odnaleźć. Podniosła głos, zagłuszyła jego komentarz.

– Mam siostrę Barbarę. Pochodzę z St. Louis. Ciotka Frances zostawiła mi w spadku dom przy Foxhall Road, w którym mieszkam, i antykwariat, który prowadzę.

– Tak? Zobaczymy, czy tak jest naprawdę.

– Przekonasz się.

Była zbyt stanowcza, uparta jak tonący, który chwyta się brzytwy.

– A co z Hiszpanią? Bezradnie rozłożyła ręce.

– Nie pamiętam, że bym tam była. Co nie znaczy, że tam nie pojechałam. Nie pamiętam, że bym zabiła Franka.

– Co nie znaczy, że to zrobiłaś – dokończył bezbarwnym głosem i przyłapał się na tym, że pragnie, by jej rysy złagodniały, choćby na chwilę. Ma taką interesującą twarz. Wystające kości policzkowe i szerokie, pełne usta.

– Dzięki – mruknęła.

Nie odpowiedział, nie był na to gotowy, nie chciał sugerować, że jej ufa, jeszcze nie. Wstał i odsunął od siebie współczucie. Frank nie żyje, być może przez nią. Nie czas na rozczulanie się nad nią.

– Byłaś już kiedyś w Hiszpanii?

– Może.

W jej głosie pojawiła się nowa nuta. Wzbudziła jego czujność. Zaatakował:

– Co to ma znaczyć? Skinęła głową w stronę jadalni.

– Wazon na stole. Z Hiszpanii.

Podszedł do stołu, wziął naczynie do ręki i dokładnie obejrzał.

– Równie dobrze jak w Madrycie mogłaś je kupić tu, w Stanach.

– O ile w ogóle je kupiłam. – Podeszła do niego. – Widzisz? – Wskazała paczkę z książkami. – Znalazłam to tutaj, gotowe do wysłania.

– No i? Przecież handlujesz książkami.

– Ale nie nowymi. Zresztą nikt o takim nazwisku nie mieszka pod tym adresem, już to sprawdziłam. I to mieszkanie... – Zatoczyła łuk ręką. – Nie wiem nawet, czy naprawdę jest moje. Jak mogłabym mieszkać i tu, i w domu ciotki Frances? Przychodziło mu do głowy kilka powodów, ale dopóki nie dowie się więcej, zachowa je dla siebie. I jeszcze kilka innych szczegółów i sekretów wydziału, jak choćby prawdziwą funkcję domu ciotki Frances.

– Mówiłaś, że dzwonili do ciebie w sprawie czynszu. Oddzwoń i dowiedz się czegoś więcej.

Skinęła głową.

– Miałam taki zamiar, ale zjawili się nieoczekiwani goście. – Wyjęła z kieszeni pęk kluczy i ruszyła do drzwi.

Powstrzymał ją.

– Chwileczkę.

– Co?

Spojrzał na jej czoło.

– Radziłbym najpierw to przemyć. Nie chcesz chyba wystraszyć sąsiadów na śmierć.

Zdumiona ściągnęła piękne czarne brwi.

– Tutaj. – Wziął ją za ramiona i zaprowadził do łazienki. Ustawił naprzeciwko.

– Trochę mnie poniosło – przyznał.

Patrzyła na swoje odbicie, na zranioną twarz, zakrwawioną koszulę z krzywo zapiętymi guzikami. Delikatnie dotknęła rany na głowie i się skrzywiła.

– Z drugiej strony niecodziennie mordują twojego przyjaciela – dodał.

– To fakt. – Odnalazła w lustrze jego wzrok. – Miej oczy dokoła głowy, Wise. Nie daruję ci tego.

Jasne. A długi to straszne cholerstwo.

Margo wzięła prysznic, przebrała się i od razu poczuła się tak dobrze, jak nigdy dotąd, od momentu, gdy zaczął się ten koszmar. Dżinsy znalezione w szafie leżały jak ulał, podobnie czarny podkoszulek z szuflady. W tych ciuchach poczuła się jakoś bardziej... sobą... choć nie miała pojęcia, dlaczego ani co to dla niej znaczy – być sobą.

Ubrania stanowiły kolejny dowód na to, że to jej mieszkanie. Ta świadomość budziła dziwne, ale i dobre odczucia. Oznaczała, że robi postępy.

Niewykluczone że zmierza prosto nad krawędź przepaści, ale przynajmniej posuwa się do przodu.

Wytarła włosy, obejrzała ranę na głowie. Była mała, krew już przestała lecieć. Będzie miała siniaka, ale nie takie rany się na niej goiły.

Nagle znieruchomiała.

Nie takie rany się na niej goiły.

Skupiła się, gorączkowo szukała wspomnień, czegokolwiek, co potwierdziłoby tę myśl, ale jej przeszłość była jak bezkresne gładkie morze. Wiedziała tylko, że zdarzało jej się obrywać i wychodzić z walki zwycięsko.

Z drugiej strony świetnie sobie radzi w walce. Umie się posługiwać nożem, bić się...

Wzdrygnęła się, gdy powróciły sny: niewyraźne ciało, krzyk. Czyżby to zwłoki Franka Temple'a? Zginął od noża. Czyż śmiertelny cios zadał jeden z noży w jej kolekcji? I czy ona zadała cios? Czy to sen, czy wspomnienie? Jawa czy senna mara?

Oszaleje, jeśli nie przestanie o tym myśleć, więc siłą woli odepchnęła od siebie te obrazy. Jak najdalej.

Ale nie na tyle, by jej ręce przestały się trząść. Otuliła się szczelniej ręcznikiem, czekała, aż odzyska nad sobą panowanie. Po kilku minutach zdołała odwieść ręcznik. Kolejny oddech i mogła wyjść. Już w progu zauważyła szufladę w stoliku przy łóżku.

Zawahała się. Krew dudniła jej w uszach. Co tam znajdzie?

Każde odkrycie było jak pole minowe.

Ale też stanowiło ważny trop. Okruszek chleba w mrocznym lesie, dzięki któremu wróci do domu... o ile dowie się, gdzie ten dom jest. Otworzyła szufladę szybkim ruchem, jakby bała się, że wybuchnie. I odetchnęła z ulgą. Prezerwatywy. Całe opakowanie.

Spojrzała na markę; Trojan, nawilżane. Maksymalna przyjemność dla niej.

No cóż, przynajmniej miała jakieś życie erotyczne. I to nie tylko autoerotyczne. Przed oczami stanął jej Jake, spowity blaskiem księżyca, jak wtedy na ścieżce w parku. Co to za uczucie dotykać jego ciała, głaskać je, czuć na sobie jego silne ramiona?

Ale już doświadczyła dotyku jego dłoni. Na razie niosły tylko ból.

Zamknęła szufladę. O nie, już nie pozwoli mu się tak bardzo zbliżyć.

Miała nadzieję, że kiedy brała prysznic, wydarzył się cud i Jake wyszedł. Nic z tego.

Stał w saloniku, przy oknie do niedawna niknącym za zasłoną. Rozsunął kotary i teraz jego sylwetka rysowała się mrocznym cieniem na panoramie miasta.

Na ten widok zatrzymała się w pół kroku, tak samo jak poprzedniej nocy.

Wpatrywała się w panoramę miasta, jeszcze muśniętego mrokiem, ale już skapanego w złocistozielonym blasku. Iglica pomnika Waszyngtona, wieża katedry, odległy horyzont.

Potomac wił się srebrną nitką dokoła miasta. Nad brzegami rzeki jaśniały białe plamki – zapewne kwitnące drzewa.

Znowu poczuła niepokój. Wspomnienia eksplodowały w jej głowie jak sztuczne ognie. Woda. Łódź. Mężczyźni.

Byli z nią.

Wstrzymała oddech, próbowała przypomnieć sobie ich twarze, ale wspomnienie uciekło.

– Niesamowite, co? – mruknął Jake ciągle wpatrzony w okno. Milczała wstrząśnięta tym, co przed chwilą widziała oczami wyobraźni. Co to ma znaczyć? Co ona takiego zrobiła?

– A więc... – Spojrzał na nią. – Lepiej? – Coś błysnęło w jego oczach, gdy ją zobaczył.

Czyżby uznanie?

Aha, spodobały mu się dzinsy.

Może to wykorzysta. Jak dawniej.

Kolejna fala niepokoju. Co jeszcze robiła w przeszłości?

Na jego twarzy malowały się szczere współczucie i niepokój i wbrew sobie czuła, że temu ulega, jak kwiat kierujący się ku słońcu. Poruszało to w niej bolesne struny, ale nie miała pojęcia, czego dotyczyły.

– O wiele lepiej – przyznała.

– Zobacz, co znalazłem. – Pokazał jej oprawioną w ramkę fotografię z półki. –

Poznajesz kogoś?

Wzięła ją szybko. Zdjęcie oznacza twarze. Związki. Odpowiedzi.

Ale rozpoznała tylko siebie.

– To ja. – Patrzyła na młodszą wersję siebie w wojskowych spodniach i białym podkoszulku. Ciemne włosy związane w kucyk, sztuczny, jakby wymuszony uśmiech.

– Masz taką minę, jak by kazali ci się uśmiechnąć pod groźbą rozstrzelania.

Wzruszyła ramionami.

– Może nie było mi do śmiechu. – Nie było i nie będzie.

– A zatem służyłaś w wojsku.

– Na to wygląda.

Przyglądał jej się uważnie. W jego oczach malowało się powątpiewanie.

– Nie pamiętasz?

– Nie. Ale to część pakietu, przynajmniej w przypadku amnezji wywołanej przez UFO.

Uśmiechnął się ironicznie. Miał męską opaloną twarz i wąskie zmysłowe usta.

Uśmiech łagodził twardość, nadawał jej miękkość.

Nie chciała teraz o tym myśleć, dotknęła więc palcami zdjęcia i skupiła się na tym, co mogło oznaczać.

– Skoro byłam w wojsku, muszą istnieć jakieś dokumenty, prawda? Skinął głową.

– Zobaczymy, czy coś znaję.

Odstawił zdjęcie na miejsce, między książki. Przykuły jej uwagę. Muskała palcami grzbiety poszczególnych tomów. Porwany za miodu Roberta Louisa Stevensona z ilustracjami N.C. Wyetha, Małe kobietki w skórzanej oprawie ze złożonymi literami na okładce. Baśnie z ilustracjami Arthura Rackhama. I wiele innych książek dla dzieci.

– Kim był Arthur Rackham? – zainteresował się Jake.

– Grafikiem z początków XX wieku – odparła bez wahania i wymieniła z Jakiem zdumione spojrzenia.

Wzruszył ramionami.

– Może naprawdę jesteś antykwariuszką.

– Albo superbohaterką o podwójnej tożsamości – mruknęła ponuro. –

Antykwariuszką za dnia, a nocą zwalczam siły zła.

Albo kradnę. Morduję. Bardziej prawdopodobne, że walczę po stronie zła.

Nadciągał mrok, strach wypełniał jej żyły lodem. Obok zbioru ilustracji

Rackhama stało opasłe tomiszczce. Zerknęła na tytuł i poblądła.

– O Boże.

– Co jest?

– Don Kichot z La Manchy – przeczytała na grzbiecie. Panika ponownie ścisnęła ją w gardle i prawie pozbawiła oddechu. – Słynny Don Kichot. Tak powiedziała Suzanne. To dlatego pojechałam do Hiszpanii. Miałam kupić właśnie Don Kichota.

Zaschło jej w ustach, gdy zdejmowała książkę z półki. Tylko że to wcale nie była książka.

W jej ręku znalazł się przenośny sejf o wyglądzie książki. Przyglądała mu się zdumiona. Nie była w stanie myśleć.

– Siadaj. – Jake podprowadził ją do kanapy. – Tutaj. – Pchnął ją na siedzisko, wyjął sejf z jej dłoni, postawił na stoliku ze szklanym blatem.

Oglądała pudełko z każdej strony. Świetna robota, płócienna oprawa i malutki zamek w okładce.

– Masz kluczyk? – zapytał Jake.

– Mam różne klucze. – Już po nie biegła. – Nie wiem, czy któryś pasuje.

Wróciła z pękiem kluczy. Odnalazła najmniejszy. Pasował. Wstrzymała oddech i spoconymi dłońmi uniosła wieko. Wewnątrz zobaczyła zwitek banknotów, kilka paszportów, plik zdjęć spiętych gumką recepturką i broń.

Pistolet, którego, jak się zaklinała, nie miała.

Jake się rozłączył – miał Brewstera na linii – i skupił się na Margo. Była blada i spięta, ale wyczuwał, że walczy, by zachować spokój. Niech się dłużej nie męczy.

– Znam już wyniki badań kuli w ciele Franka. Brewster mówi, że to kaliber 9, pewnie z SIG sauera. – Wziął do ręki pistolet z sejfu. – A to jest czterdziestkaczwórka. Glock.

Oblizła usta i była to jedyna oznaka ulgi, którą zapewne odczuwała. Co do jednego się nie mylił: była bardzo spięta, ale równie dobrze mogło to być poczucie winy.

– A więc to moja broń. – Niepewnie wskazała głową glocka. – Jest mój.

– A przynajmniej jest w twoim domu.

– Może tylko go przechowuję?

– Dla przyjaciela?

Skinęła głową. Widział, że bardzo chciała w to uwierzyć, ale to akurat było mało prawdopodobne wyjaśnienie.

– Resztę sprzętu też dla niego przechowujesz? Zarumieniła się.

Nie był zachwycony, że musi przekłuć bańkę jej nadziei, ale tak się sprawy miały.

– Nie zdziw się, jeśli znajdziesz tu więcej broni. Widziałem pokrowiec na sztucer.

Zacisnęła usta, próbowała pogodzić się z taką możliwością.

– Więc co, jestem płatną morderczynią? Wydał wargi.

– To jedna z możliwości. Ale Brewster powiedział także, że do zabicia Franka użyto także noża o pojedynczym ostrzu. A twój ma podwójne.

Wyraźnie jej ulżyło.

– Więc jestem poza kręgiem podejrzanych?

– Przynajmniej jeśli chodzi o zawartość twojej szafy. Ale to nie znaczy, że nie mogłaś posłużyć się inną bronią i wyrzucić jej po morderstwie. Masz wystarczające umiejętności, sam mogę o tym zaświadczyć.

Zacisnęła usta w wąską kreskę. Nie podobało jej się to, co powiedział, ale wiedziała, że ma rację.

– I ktoś zlecił mi zabójstwo Franka, tak? Tak uważasz?

Wzruszył ramionami.

– Niewykluczone że pracujesz w policji. W wojsku. Że lecisz na odznaki.

– Co?

– Lecisz na odznaki. No wiesz, kolekcjonujesz policjantów. Siedzisz w ich ulubionych barach, chcesz im zaimponować swoim... sprzętem.

Zmroziła go wzrokiem.

– No właśnie, też tak nie uważam. Może jesteś kolekcjonerką. A może nie.

– Sprzęt jest używany. Widać, że zadbany, ale używany. – Nagle rzucił jej glocka. Złapała go zwinnie. – To duży pistolet. – Patrzył, jak Margo zaciska dłonie na rękojeści, sprawdza bezpiecznik, podnosi broń, celuje. – Wydaje się znajomy?

Skinęła głową. Wyczytał z jej twarzy, że to uczucie wcale jej nie cieszy.

– Wszystko wskazuje na to, że nie jestem grzeczną dziewczynką. – Wpatrywała się w broń, jakby nie mogła uwierzyć, że jest prawdziwa.

– Wiesz, Frank nie zginął od kuli. Strzał padł już po śmierci. Gwałtownie podniosła głowę.

– Po śmierci? Co za świr... – Pobladła. Wiedział, co przyszło jej na myśl. To samo co jemu. Może to ona jest tym świrem.

Odłożyła glocka na stół.

W sejfie było kilka paszportów – brytyjski, kanadyjski, argentyński i amerykański. We wszystkich było jej zdjęcie, choć żadnego nie wystawiono na jej nazwisko.

– A to co? – Jake wskazał plik fotografii. Przeglądała je pobieżnie i podawała mu. Na wszystkich widniał dom. Tył, front, dach... Stiukowe ściany, uliczka wybrukowana kocimi łbami.

– Poznajesz? Pokręcił głową.

– Europa?

– Możliwe.

Odpowiedź wydawała się oczywista.

– To Hiszpania, prawda?

– Równie dobrze może to być mnóstwo innych miejsc.

– A mam te zdjęcia, bo...

– Niewykluczone że to zdjęcia obserwacyjne, ale takie zazwyczaj robi się teleobiektywem. A te wyglądają na zwykłe turystyczne fotki, które wywołuje się w ciągu godziny.

Odwróciła zdjęcie pierwsze z brzegu.

– Calle Gitana czterdzieści cztery. – Podniosła wzrok. – Ulica Cygańska.

Rzucił jej ostre spojrzenie.

– Znasz hiszpański?

– Nie – odparła odruchowo. A po chwili, już wolniej. – Tak. – Ukryła twarz w dłoniach. – Sama nie wiem. Wydaje mi się... Si, hablo español, tak.

Boże, co za dziwna sytuacja. Może to naprawdę wariatka. Czy dlatego Frank kazał mu ją obserwować? Niech szlag trafi staruszka za jego tajemniczość.

– Dobra, sprawdzimy to. Masz tu komputer?

– Nie widziałam.

Wstał. Miał dużo pracy, a łatwiej ją wykonać tam, gdzie ma się do dyspozycji sprzęt najwyższej jakości, czyli w pokoju obserwacyjnym.

– Ty się zajmij czynszem. Postaraj się dowiedzieć, od jak dawna tu mieszkasz, czy na wniosku o wynajem jest twój podpis, cokolwiek.

– No, świetnie, a potem co? Spotkamy się z resztą koleżków i urządzimy przedstawienie?

Zacisnął usta, słysząc sarkazm w jej głosie.

– Wiesz, jesteś strasznie niewdzięczną...

– Dlaczego mi pomagasz?

Mówiła szorstko, na jej twarzy malowała się czujność i wbrew sobie musiał podziwiać jej bezpośredniość. Nie może mu zaufać, jeśli ma odrobinę oleju w głowie.

– Dlaczego, Jake?

Bo kręcą go czarnowłose siłaczki. Bo ma kłopoty. Bo... Westchnął. Zapytała prosto z mostu, więc musi odpowiedzieć jej tak samo, choć jednocześnie tak wiele przed nią ukrywa.

– Powiedziałaś, że jeśli to ty zabiłaś Franka, chcesz o tym wiedzieć. Ja także. Zanim wrócił do Georgetown, wyjął z bagażnika laptop. Mówił prawdę, tłumacząc Margo, że nie wiadomo, czy walczy po stronie dobra, czy zła.

Po pierwsze, jej ekwipunek był zbyt przypadkowy jak na wojsko, za mało przypominał umundurowanie. Więc co zostaje? Najemniczka? CIA? Kiedy brała prysznic, nie ograniczył się do oglądania książek. Przeszukał także jej torebkę. Książeczka czekowa wskazywała skrytkę pocztową. Nie miała prawa jazdy. Czy Margo Scott to w ogóle prawdziwe nazwisko?

Włączył laptop, zalogował się i zaczął szperać.

Nie znalazł niczego. Żadnych śladów w wojsku, ani słowa w bazie danych, żadnych kart bibliotecznych – nic. Nie istniała. Sprawdził Toma i Ellen Scottów z St. Louis i ich dwie córki, Margo i Barbarę. Nic.

Są tylko dwie możliwości. Margo Scott to fałszywa tożsamość stworzona przez podziemną organizację do celów przestępczych. Albo to autentyczna postać, a wszelkie dane na jej temat zniknęły z baz danych z wysoce szlachetnych pobudek.

Pierwsza wersja wymaga dokładniejszych, bardziej starannych poszukiwań, na które w tej chwili nie miał ani czasu, ani środków. Będzie musiał poczekać, aż dotrze do pokoju obserwacyjnego.

Natomiast druga...

Wystukał na komórce numer Dottie MacKay. Czy wróciła już do pracy? Ktoś musi przecież posprzątać bałagan w gabinecie Franka. Oby to nie była ona. A jeśli już na nią trafi, oby zdążyła się pozbierać i nabrać dystansu do sprawy, zanim wejdzie do pokoju.

Miał szczęście, odebrała po trzecim sygnale.

– Dottie MacKay – rzuciła władczo, zdecydowanie, ale jego nie oszukała.

Pamiętał jej zaczerwienione oczy i łzy na policzkach.

– Tu Jake.

– Miło, że nadal tu jesteś.

– Owszem. I potrzebuję twojej pomocy. Cmoknęła głośno.

– O ile mnie pamięć nie myli, już jesteś moim dłużnikiem.

– Może dasz mi kredyt?

Zachichotała po swojemu, głośno, dźwięcznie.

– Ostrzegam cię, naliczam wysokie odsetki. O co chodzi?

– Jak dobrze znasz szefa DCO? – Deep Cover Operations to ciemna strona TCF. Spowita tajemnicą, najtajniejsza komórka z możliwych. I równie nieprzenikniona.

– Bilia Connelly'ego? To nie jest typ, który ucina sobie pogaduszki z niższym personelem. Rozumiesz, o co mi chodzi? A dlaczego pytasz?

– Muszę się z nim zobaczyć.

Umilkła na chwilę. Była na tyle doświadczona, że nie pytała dlaczego.

– No cóż, grywam w brydża z jego sekretarką. Dzięki ci, boże brydżystów.

– To jeszcze lepiej. Mogłabyś załatwić mi spotkanie z nim? Dzisiaj?

– Dzisiaj? Sam pan Bóg tego nie załatwi. Ale mogę ci obiecać, że odbierze twój telefon. Wystarczy?

Rozłączył się i czekał, aż Dottie oddzwoni z informacją że rozmawiała z sekretarką Connelly'ego. W tym czasie odszukał za pomocą satelity Calle Gitana. Po kilku minutach udało mu się ją zlokalizować. Zdjęcie było marnej jakości i pochodziło sprzed dwóch miesięcy, ale lokalizacja była jednoznaczna: Sewilla, Hiszpania.

Czy Margo tam była? A może zdjęcie zrobił ktoś inny i tylko jej przesłał? Wpatrywał się w niewyraźny obraz – fotografię zrobioną z wysokości prawie czterech kilometrów. A jeśli tam była, dlaczego tego nie pamięta?

Pytanie za milion.

Kolejne poszukiwanie – Warner Park. Tym razem miał kilka lokalizacji do wyboru: Nashville, Chicago, Madison w Wisconsin i stadion na Karaibach. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ekran komputera. Gdyby miał wyznaczone spotkanie w parku, do którego musiałby lecieć samolotem, czy zapisałby sobie jedynie nazwę parku, jak to widniało na wizytówce Margo? Coś takiego robi się, gdy chodzi o miejsce w pobliżu, o którym wszyscy wiedzą. W innym przypadku dodałby coś więcej: Warner Park, Tennessee albo Warner Park, Karaiby.

Zadzwoił telefon. Dottie.

– Wszystko załatwione – powiedziała. – Podała mu numer. – Wspomnij o mnie jego sekretarce, ma na imię Melva, a cię połączy.

– Dzięki.

– Nie dziękuj mi, Jake. W odpowiedniej chwili zażądam rewanżu. Uśmiechnął się pod nosem.

– Jeszcze jedno. Znasz Warner Park? Zamyśliła się.

– W Manassass jest Water Park. Nigdy tam nie byłam, ale moja córka chodzi tam z synkiem.

Water, Warner. Niby podobnie, a jednak... czyżby Margo źle zapisała nazwę?

– Dzięki, Dottie. Sprawdzę to.

– Uważaj na siebie. – Spoważniała. Już po raz drugi mu to mówiła. – Musisz żyć, żeby mi się odwdziżyć.

w ciągu zaledwie dziesięciu sekund Margo dowiedziała się, że wynajęła mieszkanie pod swoim nazwiskiem, czyli Margo Scott, że mieszka w nim od pięciu lat, że poprzedni adres to tylko skrytka pocztowa, i że jest właścicielką swojej firmy, czyli Legacy Books.

Dwa kroki do przodu, jeden do tyłu. Mieszkanie jest jej. Ale poza tym nie wie właściwie nic. Rozczarowana wręczyła Danie czek, zabrała nową kartę do drzwi i wyszła.

Przejechała przez most i skręciła w Osiemnastą ulicę – może tam będzie miała więcej szczęścia. Na siedzeniu pasażera czekała sterta książek w brązowym papierze pakowym. Wyobrażała już sobie, jak Peggy Ballinger wita ją z promiennym uśmiechem, uszczęśliwiona widokiem starej przyjaciółki.

I rzeczywiście, pod adresem, jaki wypisała na przesyłce, mieścił się dom, tyle że nie taki, jakiego się spodziewała.

Podjechała do krawężnika i długo patrzyła na ponury, szary budynek. Tabliczka przy drzwiach głosiła, że to Dom Dziecka imienia Rolanda Carrola. W wysokich oknach kołysały się kolorowe papierowe warzywa i owoce. Miały ożywić widok, odpędzić smutek, ale na niej robiły równie przygnębiające wrażenie jak wymuszony uśmiech.

Jeszcze tam nie weszła, a już dopadło ją rozczarowanie. Zaparkowała, wysiadła, wbiegła tylnymi schodami z paczką książek pod pachą. Nie miała pojęcia, dlaczego to miejsce działa na nią aż tak przygnębiająco.

Korytarzem szedł przyszczaty nastolatek. Margo zatrzymała go i zapytała o Peggy Ballinger. Chłopak wskazał drzwi i Margo z serca spadł przynajmniej jeden kamień – Peggy Ballinger istnieje naprawdę. A ponadto fakt, że tu pracuje, tłumaczył, dlaczego nie było jej w książce telefonicznej pod tym adresem.

Zebrała resztki odwagi. Może to jednak jej przyjaciółka. Wtedy ją uspokoi. Upewni, że jest tym, za kogo się uważa, normalną zwyczajną kobietą z St. Louis, siostrą Barbary, córką Toma i Ellen. Antykwariuszką.

Ale kiedy zamknęła za sobą drzwi z tabliczką „Dyrekcja” i napotkała wzrok Peggy Ballinger, w oczach tej ostatniej nie było błysku rozpoznania. A kiedy Margo wręczyła jej książki i wytłumaczyła, po co przyszła, Ballinger się zamyśliła.

Była drobna, miała krótkie włosy i wąską elfią twarz. Uśmiechając się, mrużyła oczy.

– Proszę usiąść – zaproponowała grzecznie i wskazała sfatygowany fotel. – Może napije się pani herbaty?

Margo odmówiła. Przyszła tu po odpowiedzi, nie po herbatę. Starsza kobieta chyba wyczuła jej zniecierpliwienie, bo nie marnowała czasu.

– Taka paczka przychodzi co miesiąc. Te książki stanowią cudowne uzupełnienie naszej biblioteki, ale nigdy nie ma na niej nadawcy ani żadnego listu.

Rozczarowanie, dotychczas przyczajone, wybuchło z pełną siłą.

– Nigdy?

– Są to dary całkowicie anonimowe.

– Więc... nigdy się nie widziałyśmy? – Idiotyczne pytanie, ale i tak je zadała.

– Niestety. Przykro mi.

Margo miała ochotę się rozplakać. Zamiast tego skupiła się na obskurnej kanapie w kącie. Spojrzała na wytarty chodnik.

– Co to za ośrodek?

– Dom dziecka. Mamy tu dzieci z rodzin patologicznych, sieroty, dzieci, które nie mają gdzie się podziać. Utrzymujemy się głównie z prywatnych datków. Te książki to dla nas naprawdę cenne prezenty. Jesteśmy pani bardzo wdzięczni. Margo przyjęła podziękowania, nie wiedząc nawet, czy się jej należą. A jeśli nawet, to czy na nie zasłużyła. Dlaczego wysyłała książki do sierocińca? W akcie dobroci czy skruchy? Chciała pomóc czy odkupić grzechy?

Wróciła do samochodu i starała się o tym nie myśleć. Czy to kolejny ślepy zaułek w niekończącej się wyprawie w mrok? Oparła głowę o zagłówek.

Co teraz?

Pomyślała o rzece i chcąc jak najszybciej uciec od Domu Dziecka imienia Rolanda Carrola, pojechała na starówkę. Zaparkowała koło sklepu z akcesoriami wojskowymi i przeszła przez jezdnię

I znalazła się w parku. Był ciepły, słoneczny dzień, na niebie nie było ani jednej chmurki, a rzeka lśniła tak, że aż bolały oczy.

Usiłowała sobie przypomnieć jak najwięcej z nagłych rozbłysków pamięci.

Patrzyła na spokojny Potomac. W oddali czekało miasto. Coś jest nie tak.

Błękit wody przecinał biały statek wycieczkowy. Widoczek jak z pocztówki.

I wtedy to sobie uświadomiła. Co jest nie tak. W jej wspomnieniach nie było słońca ani lśniącej wody. Była ciemność. Noc.

Jej serce biło coraz szybciej. Coś się stało pod osłoną nocy. Ta świadomość wybuchła w niej jak bomba. Skoro przypominała sobie to, przypomni sobie całą resztę. Wszystko wróci. Wszystkie wspomnienia.

Przed oczami stanęły jej noże, pistolet, cały ten sprzęt. W uszach znowu rozbrzmiał krzyk, rozpaczliwy krzyk dziecka. A jeśli zrobiła coś strasznego? A jeśli sama jest potworem? Ogarnęło ją przerażenie. Zachwiała się, złapała ogrodzenia. Rzeka falowała jej przed oczami. Kręciło jej się w głowie.

– Hej, Margo! – Ktoś biegł w jej stronę. Skupiła się, odzyskała ostrość widzenia. Suzanne. Suzanne uśmiechała się szeroko.

– Byłam ciekawa, czy się dzisiaj pojawisz. Lepiej ci? – Podskoczyła radośnie. – Na pewno. Skąd masz te dzinsy? – Zmierzyła Margo wzrokiem. – Co za kształty! Dlaczego do tej pory je ukrywałaś?

– Co ty... – Margo przełknęła ślinę. – Co ty tu robisz?

Suzanne zbyła machnięciem ręki niewypowiedziany niepokój. Dzisiaj wyglądała jak dziewczyna marsylskiego marynarza: obcisła koszulka w czarno-białe pasy z dekoltem w łódkę, do tego czerwona chusteczka na szyi, czarny berecik zawadiacko nasadzony na jasne sterczące włosy.

– Za ładnie dzisiaj, żeby siedzieć w sklepie. Jezu, popatrz tylko. –

Dramatycznym gestem wskazała rzekę i park. – Jest bosko! A od rana nie miałam ani jednego klienta. – Zachichotała i odwróciła się zwinnie. Rozłożyła ręce, jakby chciała objąć niebo. – Zrobiłam sobie przerwę na lunch. –

Pociągnęła Margo na trawnik koło rzeźby, postaci stoczniowca. Stał ponury i wyniosły. – Urządzam sobie piknik. Zjesz ze mną? Oczywiście, pod warunkiem że ty także poszłaś na wagary.

Na trawie leżał już koc, a na nim staroświecki obrus w wesołe jabłuszka i wisienki, który wyglądał jak wyjęty z babcinego kredensu. Albo z szafy ciotki Frances. Dokoła stały pojemniki najedzenie. Margo zaburczało w brzuchu.

I jeszcze coś, coś... Boże, nie chce przebywać wśród ludzi. Zwyczajnych ludzi, którzy wiedzą, kim są. I co zrobili.

– Dzięki, ale... muszę lecieć. Suzanne się naburmuszyła.

– Naprawdę? No, to trudno. – Po chwili się rozpogodziła. – Ale obiecaj, że posłuchasz mojej rady: spal resztę ciuchów i chodź tylko w tych. – Ruchem głowy wskazała nogi Margo.

Margo poruszyła się niespokojnie.

– To... to tylko dzinsy.

– Dziewczyno, to nie są tylko nogi. – Podniosła pojemnik z jagodami. – Na pewno nie dasz się skusić?

Margo pokręciła głową.

– Ja... Na razie. ~ Cofnęła się, odwróciła i niemal uciekła.

– Ej, Margo! Chwileczkę! – Suzanne pobiegła za nią. – Mało brakowało, a bym zapomniała. – Dogoniła ją na rogu. – Wczoraj, po twoim wyjściu, ktoś cię szukał.

Serce Margo fiknęło salto.

– Policja?

Suzanne spojrzała na nią rozbawiona.

– A co, poszukują cię za wykroczenia przeciwko modzie? Dużo by dała, żeby tak było.

– Mniej więcej.

– Nie, to nie oni. Facet w garniturze. Przyłapałam go, jak zaglądał przez okno. Myślałam, że cię szpieguje, ale powiedział, że jest kolekcjonerem. Chciał z tobą porozmawiać.

Margo skinęła głową i próbowała się uśmiechnąć, ale teraz nie w głowie był jej antykwariat.

– Dobra, dzięki.

Suzanne odprowadzała ją wzrokiem. Margo się odwróciła. Suzanne jej pomachała, radośnie, beztrąsko. Była jak promień światła w ciemności, która pochłaniała Margo.

Przed wyjazdem z Arlington Jake sprawdził, gdzie jest Margo. Nie zdziwiłby się, gdyby się okazało, że uciekła. Teraz miała ku temu odpowiednią okazję. Ale kursor migał na starówce. Właśnie tam znajduje się jej antykwariat, więc nie rozplynęła się we mgle. A skoro nie ma jej w domu przy Foxhall Road, będzie mógł się spokojnie rozejrzeć. Przekręcił kluczyk w stacyjce i pojechał do Georgetown.

Na ulicach ruch był niewielki, o ile w tym mieście można mówić o małym natężeniu ruchu, ale i tak utknął w korku w drodze do mostu. Zdaje się, że cały Waszyngton planował lunch przy ulicy M.

Ponieważ ciągle stał w korku, wystukał numer telefonu, który podała mu Dottie. Oficjalnie Bill Connelly był zastępcą dyrektora do spraw dochodzeniowych.

Bóg jeden wie, co to oznaczało, ale wszyscy w branży znali jego dział pod bardziej znaczącą nazwą– DCO, Wydział Operacji Ścisłe Tajnych. Nigdy nie otwarcie nie mówiono o sprawach, którymi tam się zajmowano, ani o ludziach, ale w pewnych kręgach wiedziano co nieco na ten temat.

Pozornie wydawało się, że to nieodpowiedni człowiek na takie stanowisko. Drobnym facetem o twarzy księgowego, łysiejący, nierzucający się w oczy, w niczym nie przypominał supermana w czarnej skórce z uzi na ramieniu, którego wylansowało Hollywood. W tłumie roztopiał się bez śladu, nie było w nim nic efektownego i dlatego tak dobrze nadawał się do pracy w cieniu.

Krążyła o nim opowieść, legenda, której, o ile Jake wiedział, nigdy ani nie zdementowano, ani nie potwierdzono. Przed laty, gdy rozpracowywano sprawę produkcji heroiny w Złotym Trójkącie, lokalny baron narkotykowy, mający związki z birmańskim komendantem wojskowym, porwał agenta DEA.

Connelly miał interweniować. Porwał czternastoletnią córkę komendanta, przymocował ładunki wybuchowe do jej ciała i wziął jako zakładników pozostałych członków rodziny komendanta. Agentę zwolniono. Connelly, o dwadzieścia lat młodszy od Franka, zajmował równorzędne stanowisko.

Ponieważ był o kilka lat starszy od Jake'a, spotkali się tylko kilka razy podczas szkoleń Wise'a. Później Connelly awansował.

Telefon do niego to strzał w ciemno. W firmie musieli wiedzieć, że Margo przeszukiwano w związku z zamordowaniem Franka. Codzienne raporty i briefingi – Jake był przekonany, że wiedzą o każdym kroku w tej sprawie. Jeśli pracowała dla DCO, Agencja powinna interweniować – co najmniej przysłać agenta, który byłby obecny przy przysłuchaniu i upewnił się, że tajemnice państwowe nie ujrzą światła dziennego.

Z drugiej strony ściśle tajne oznacza właśnie to. Umycie rąk, odcięcie pępownicy, jeśli jest w to zamieszana, bo odłamki wybuchu trafiłyby na strony „Washington Post” i „New York Times”. Niewykluczone że firma – i Connelly – umyją ręce.

Nie wspominając o tym, że jego praca dla Franka to w tym przypadku prywatna przysługa. Skoro Tempie nie ufał DCO, dlaczego on, Jake, miałby zachować się inaczej?

To wszystko sprowadza się do jednego: Jake nie może tak po prostu zapytać, czy Margo to jedna z agentek. Biorąc pod uwagę aurę tajemnicy, Connelly zaprzeczy z marszu, Jake musi więc poszukać innego sposobu, by się czegoś dowiedzieć.

Połączono go. Connelly podniósł słuchawkę. Jake się przedstawił, podał swój stopień, identyfikator i hasło i podziękował, że Connelly zgodził się z nim porozmawiać.

– Czym mogę służyć, agencie Wise? – Mówił z silnym akcentem ze środkowego zachodu, który sprawiał, że wydawał się nieszkodliwy.

– Chodzi o Franka Temple'a – zaczął bez wstępów. Mówił szybko, chcąc uprzedzić wszelkie obiekcje i zastrzeżenia. – Proszę posłuchać, znam zasady i wiem, że nie będzie pan chciał ze mną rozmawiać. Wiem także, że TCF pewnie prowadzi własne dochodzenie. Chciałbym pomóc.

– Proszę się zwrócić wyżej. – To miało zdusić sprawę w zarodku, ale Jake nie dał się spławić.

- Nie są w to zaangażowani, nie tak jak pan. – Obaj wiedzieli, co ma na myśli, choć żaden nie powiedział na głos, że chodzi o działania tajne. – Nie mogę się od nich niczego dowiedzieć.
- Dlatego że to nie pana dziedzina. Tak funkcjonuje ten system.
- To bez sensu, proszę pana. Przepraszam za szczerość. Na pewno ma pan już kilka hipotez. Chętnie zajmę się jedną z nich.
- Podziwiam pana entuzjazm, ale procedury istnieją z określonych powodów. Musi się pan poruszać określonymi kanałami. – To typowa biurokratyczna ścierna i Jake nie dał się nabrać.
- Zdaje pan sobie sprawę, że to potrwa, może nawet długo. A ja już jestem gotów do pracy. Mam teraz urlop, dysponuję czasem bez ograniczeń. I jestem tu, w Waszyngtonie. Zrobię wszystko, co będzie trzeba. Frank Tempie był dla mnie kimś więcej niż przełożonym. Był z moim ojcem w Bejrucie w osiemdziesiątym szóstym i pomógł nam się stamtąd wydostać po bombardowaniu. Był bliskim przyjacielem naszej rodziny. Moja matka jest załamana.
- Doceniam to, synu, i bardzo mi przykro. – Connelly zamienił się we współczującego biurokrateę. – Dla nas wszystkich to wielka strata. Zabolą każdego z nas.
- Po prostu chciałbym złapać drania, który to zrobił. – To akurat nie było kłamstwo.
- Doceniam twoje zaangażowanie, chłopcze, ale w tym śledztwie potrzeba zimnej krwi, a nie pochopnych decyzji.
- Z całym szacunkiem, proszę pana, to sprawa osobista. Dla nas wszystkich. Frank był jednym z nas. – Jake chciał wypaść na napakowa–nego testosteronem maniaka. Umilkł na chwilę. Miał nadzieję, że jego taktyka odniosła skutek.
- No dobrze. – Connelly cedził słowa. – Załóżmy, że pana wykorzystam. Od czego chciałby pan zacząć?
- Słyszałem, że dzisiaj kogoś przesłuchiwali. Jakaś kobietę. Scott, Margo Scott. Kto to jest? Co o niej wiecie?
- Cisza. Dlatego że Connelly chce zachować pewne informacje dla siebie? A może zna Margo i nie chce się do tego przyznać?
- Proszę posłuchać, chodzi mi tylko o to, żeby morderca dostał za swoje. – Do tego wyznania akurat nie musiał się zmuszać. – Kim jest ta Scott?
- Antykwariuszką – przyznał w końcu Connelly.
- Antykwariuszką? I niby co ją łączyło z Frankiem?
- Connelly powiedział to, co Jake już wiedział: wizytówka, fotografia...
- I to wszystko?
- To i fakt, że najwyraźniej kłamała.
- Zamordowano go w gabinecie, tak? Niby jakim cudem cywil mógłby tam wejść? Chyba że...
- Chyba że co?

– Nie jest cywilem. – Pozwolił, by te słowa zawisły w powietrzu i posunął się jeszcze dalej: – Sprawdziliście ją?

– Pracujemy nad tym.

– I macie coś?

– Na razie nie.

Jake powoli zbliżał się do głównego powodu swojej rozmowy z Connellym.

– A może to jedna z waszych?

Milczenie, niewiele dłuższe niż uderzenie serca.

– Co pan sugeruje? Że to renegatka? – W głosie Connelly'ego pojawił się strach i Jake wcale mu się nie dziwił. Najgorszym koszmarem agencji była myśl o jednym ze swoich, który przechodzi na drugą stronę.

– Podwójna agentka, wtyczka, sam nie wiem – mówił Jake. – Improvizuję, szukam punktu zaczepienia.

– To proszę to robić prywatnie. Nie zabrnęliśmy jeszcze tak daleko. Na razie nie mamy powodów, by się zamęt.

– Tak jest. – Uznał, że nie ma sensu dłużej naciskać. – Więc może sprawy Franka? Nad czym pracował?

I znowu krótka chwila ciszy.

– Proszę posłuchać, potrzebuje pan pomocy; a ja jestem wolny. Ale musi mnie pan dopuścić – tłumaczył Jake.

Co temu Connelly'emu chodzi po głowie?

– Dobrze – powiedział w końcu. – Zobaczę, co da się zrobić. Jak się mogę z panem skontaktować?

Jake podał mu numer telefonu.

– Jak długo będzie pan w mieście? – zapytał Connelly.

– Kilka tygodni. Dłużej, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Odezwę się, jeśli uda mi się coś załatwić.

Jake się rozłączył i jednocześnie sznur samochodów ruszył z miejsca. Pięć minut później przejechał przez most i znalazł się w Georgetown.

Jeśli Connelly ma trochę oleju w głowie, w tej chwili przegląda jego akta. Oby mu się spodobało to, co w nich znajdzie. Na wypadek, gdyby przed domem przy Foxhall Road nadal stał wóz patrolowy, podjechał od tyłu. Wjechał w wąski zaułek za domem, w myślach odtwarzając rozmowę z Connellym.

Nie przyznał się, że zna Margo.

W jego branży kłamstwo to chleb powszedni.

To ostatnie dotyczyło także Margo, choć coraz bardziej nie chciał tego przyznać. Ponieważ bardzo chciał jej uwierzyć. I w nią. Rozpacz w ciemnoniebieskich oczach nie dawała mu spokoju.

Ale fotografia u Franka, jej sprzęt, noże, jej umiejętności – to wszystko materialne dowody będące pożywką dla wątpliwości. Już kiedyś uwierzył oczom kobiety i fatalnie się to skończyło.

Samochód podskoczył na wyboistej drodze do szopy, w której zamierzał go ukryć. Wcisnął guzik na pilocie i czekając, aż drzwi się otworzą, zerknął na

monitor, ciekaw, gdzie jest Margo. Przemieszczała się, ale nadal była na starówce.

Nagle rozległ się pisk hamulców. Jake podniósł głowę.

Zaułkiem pędził samochód. Crown vie.

Prosto na niego.

Jake nacisnął pedał gazu i wyjechał tyłem, mijając crowna, lecz z drugiej strony nadjechał inny wóz i zablokował mu drogę ucieczki.

Był w pułapce. Porwał broń z siedzenia pasażera i rzucił się do drzwi.

Z drugiego samochodu już wysiadało dwóch mężczyzn, a auto jeszcze się nie zatrzymało. Z pierwszego biegła w jego stronę kolejna dwójka.

Jedno spojrzenie na szopę. Za mało czasu, by wystukać kod i ukryć się w jej wnętrzu.

Rzucił się w stronę domu, ale ich było czterech. Ledwie minął jednego, drugi zastępował mu drogę.

Wycelował w faceta po prawej – on także miał broń i odpowiedział tym samym gestem.

Jake zerknął za siebie. Mężczyzna za nim także był uzbrojony. Podobnie jak ten po lewej i z przodu. Zbliżali się. I celowali w niego.

Cholera, cholera, cholera.

Czy to Margo ich nasłała? Pieprzona suka. Idealna okazja. I sam ją jej dał.

Rozejrzał się. Żadnej drogi ucieczki. Czterej mężczyźni w mundurach: jeden wysoki i bardzo chudy z bujnym wąsem a la Saddam Husajn, drugi niższy, bardziej krępy, trzeci w okularach w grubych czarnych oprawkach i czwarty, potężny jak mamut, zapaśnik sumo o grubych ramionach i dłoniach jak bochny. Jake przyglądał mu się czujnie – wolał trzymać się z daleka od takiego mięśniaka.

– Nazywam się Jake Wise – odwrócił się powoli i po kolei popatrzył im w oczy.

– Jestem agentem federalnym. Z kim mam do czynienia?

Wąsacz nie odpowiedział, tylko skinął głową Okularnikowi, który sprawnie pozbawił Jake'a pistoletu. Zapaśnik sumo złapał go za ramiona i Wąsacz podszedł bliżej.

– Gdzie ona jest? Margo Scott? – Mówił z silnym cudzoziemskim akcentem.

Jake ukrył zmieszanie. Skoro to Margo nasłała tych durni, czemu o nią pytają?

– Jaka kobieta? Nie wiem, o kim mó... Wąsacz uderzył go w twarz.

– Scott! Gdzie ona jest?

– Nie wiem...

Sumo walnął go w żołądek. Jake stracił oddech, zgiął się wpół. Jezu, ale cios.

– Chcesz jeszcze? – zapytał Wąsacz. – Chodźmy do środka. – Powiedział coś do pozostałych. O Boże, czy to... co prawda arabski Jake'a pozostawiał wiele do życzenia, ale przecież poznaje ten język, kiedy go słyszy, a to co słyszał, brzmiało bardzo z arabska.

Nie miał czasu dłużej nad tym myśleć, bo Sumo pchał go w stronę domu

Margo. Tylne drzwi były coraz bliżej i Jake'owi zrobiło się słabo. Wiedział, co

jest w środku. Noże, Kuchenka, wrzątek... mnóstwo prowizorycznych narzędzi tortur, które okazują się równie skuteczne jak sprzęt specjalistyczny.

Zapał się. Czas, musi grać na czas. Jeśli dopadnie samochodu...

Ale Sumo był silny. Jake się opierał, choćby tylko po to, by utrudnić mu zadanie. Wąsacz powiedział coś i pozostali się roześmieli. Szli przodem, spokojni, że Sumo poradzi sobie ze wszystkim, co Jake wykombinuje.

I niestety mieli rację.

Kurdupel wybił okno w tylnych drzwiach, otworzył je i wpuścił ich do środka.

Sumo zaciągnął Jake'a do kuchni.

Na podłodze poniewierały się resztki potłuczonych doniczek i puszki z jedzeniem – ślady niedawnego ataku szału Margo. Szafki ziały otwartymi drzwiczkami.

– Pani Scott nie grzeszy schludnością – zauważył Wąsacz.

– To cecha ludzi małego umysłu – odarł Jake arogancko. – Albo formatu. Nigdy nie mogę się zdecydować.

W odpowiedzi Sumo posadził go na krzesło i założył nelsona na szyję. Jake czuł, jak pot spływa mu po plecach.

Wąsacz wydał Kurdupelowi polecenie w obcym języku i ruchem głowy wskazał resztę domu. Mężczyzna ruszył do saloniku z bronią gotową do strzału. Wąsacz zwrócił się do Okularnika. Ten także wyszedł.

Bez słowa czekali na ich powrót. Jake starał się nie słuchać dudnienia krwi w uszach. Koncentrował się na hałasie, jaki robił Kurdupel, buszując po całym domu, zapewne szukając Margo. Wrócił po kilku minutach i pokręcił głową. Nie ma jej tutaj.

Wąsacz, ojcowskim gestem, położył dłoń na ramieniu Jake'a.

– No to masz pecha.

– Proszę posłuchać, to szaleństwo. Ja nie...

Okularnik stanął w progu ze zwojem sznura i grubym łańcuchem. Związali Jake'a, a łańcuch wręczyli Sumo. Okularnik i Kurdupel wyszli, jeden poszedł do drzwi frontowych, drugi tylnych, w kuchni zostali Jake, Wąsacz i Sumo.

Farciarz z niego, nie ma co.

Na znak Wąsacza Sumo podniósł łańcuch i zakręcił nim jak lassem, aż cienki metal wirował w powietrzu z cichym sykiem. Sumo się uśmiechnął i nie był to miły widok.

– Kobieta – zaczął Wąsacz. — Gdzie jest?

– Już mówiłem, nie wiem.

Łańcuch musnął jego skroń. O Boże. Jęknął z bólu.

– Kiedy wróci?

Jake zacisnął zęby. Łańcuch dotknął jego policzka, przeciął skórę, z wargi popłynęła krew.

– Nie chcemy zrobić ci krzywdy – zapewnił Wąsacz. Jasne.

– Coś takiego. No to mnie nabraliście. Kolejny cios. Stłumił krzyk bólu.

– Pieprz się – warknął i zlizął krew.

Cios. Głowa opadła mu do tyłu. Jęknął, starał się zachować przytomność.
– Posłuchaj, kretynie, nie wiem, gdzie jest ani kiedy wróci. Łup w głowę.
– Więc poczekamy – zdecydował Wąsacz.
Łup! Jake nie był w stanie podnieść głowy. Kuchnia majaczyła mu przed oczami.
– My mamy czas – zapewnił Wąsacz. – A ty?

Margo nie bardzo chciało się wracać do domu ciotki Frances, ale czuła, jak gdzieś głęboko narasta w niej panika. Wybuchnie, jeśli do tego dopuści. Musi coś zrobić, czymś się zająć, nie może myśleć. Zostawiła w domu straszny bałagan, ale w tym bałaganie... może coś przeoczyła, jakiś drobiazg, który wszystko wyjaśni.

W ostatniej chwili przypomniała sobie wóz patrolowy i choć nie do końca wiedziała, dlaczego – co ją obchodzi, czy policja wie, że wróciła do domu? – pojechała dokoła, od tyłu.

Wszędzie, gdzie spojrzała, widziała kwitnące wiśnie przypominające jej o utraconym czasie. Zaledwie dwa dni temu obudziła się i zobaczyła, że są w pełnym rozkwicie, a teraz już powoli gubiły kwiaty. Miejscami na chodnikach leżało ich tyle, że pokrywały asfalt różowym dywanem.

Ale metafora, nie ma co. Miękkie płatki, a pod nimi brutalna siła i twardość betonu. A ona? Anonimowo wysyła książki do sierocińca i jednocześnie ma w domu arsenał godny zawodowego mordercy. Co jeszcze ukrywa?

Zaparkowała kilka przecznic od Foxhall Road i poszła do domu na piechotę, od tyłu. Skręciła, minęła domek sąsiada i zatrzymała się w pół kroku.

Crown wie czyhał w zaułku jak sęp.

Schyliła się, ukryła w zaroślach i stamtąd rozejrzała się uważniej. W zaułku za domem stały trzy samochody. Przyjrzała się bliżej crownowi. Pusty.

– Ta Scott? Gdzie jest? – Męski głos. Z podwórka za domem. Cudzoziemski akcent. Szuka jej, ale dlaczego?

– Nie wiem...

Jej serce zabiło mocniej. Jake.

Podkradła się bliżej, cały czas uważając, by nie opuścić bezpiecznego schronienia w krzakach. Wyjrzała ostrożnie. Jake oberwał w żołądek.

Błyskawiczna ocena sytuacji: trzech mężczyzn, wszyscy uzbrojeni. Czwarty trzyma Jake'a.

Jej dłoń odruchowo powędrowała w stronę uda. Spojrzała na dzinsy – ręka szukająca broni była pusta.

Instynkt przejmował kontrolę.

Jaki znów instynkt?

Broń. Powinna mieć broń. Zawsze powinna mieć przy sobie broń.

Ta myśl jej ciążyła, ale nie miała czasu, by ją analizować. Jeszcze jedno spojrzenie na mężczyzn za ogrodzeniem: rozbroili Jake'a, a teraz wlekli go do domu.

Czekała, spięta i cicha. Kto to jest? Czego od niej chcą?
Z oddali dobiegł odgłos tłuczonego szkła – wybili szybę.

A co potem? Co zrobią Jake'owi?

Wolała nie wiedzieć. Powinna stąd odejść. Nikt nie wie, że tu jest, nikt się nie dowie, że uciekła. Ich jest czterech, ona jedna. I oni mają broń.

Jeden z nich wybiegł na dwór, podszedł do samochodu, otworzył bagażnik i wyjął, jak jej się wydawało, zwój liny i łańcuch, i wrócił do domu.

Trzeci stanął na ganku. Czujka.

Bezszelestnie przekradła się pod osłoną żywopłotu do miejsca, z którego widziała także front domu. Tam stanął kolejny strażnik. A więc w domu zostało dwóch.

Czy w ogóle jest Jake'owi coś winna? Nie wie nawet, czy jest po jej stronie. A jeśli nie jest, teraz ma okazję się go pozbyć. Niech sam sobie poradzi z tym, co mu zasługują.

Nawet jeśli przyszli tu po nią.

Rozejrzała się, znalazła kamień, podniosła go i podkrađła się bliżej. Jezu, ależ z niej idiotka.

Cisnęła kamyk. Stara sztuczka, ale zadziałała. Strażnik odwrócił się w tamtą stronę. Kolejny kamyk i poszedł sprawdzić, co to za hałasy. Teraz, szepnął głos w jej głowie.

Strażnik kucnął, by przyjrzeć się uważnie miejscu, w którym upadły kamyki.

Widziała jego plecy. Wystarczyły trzy szybkie susy i z całej siły kopnęła go w głowę. Stracił przytomność, nie wydając najmniejszego dźwięku.

Przez chwilę przyglądała mu się zdumiona. Jakim cudem umie robić takie rzeczy?

„Zabierz go z widoku”, szeptał głos w głowie.

Sapiąc, odciągnęła go na bok, i teraz nie był widoczny z ulicy. Jej wzrok zatrzymał się na jego pistolecie i po chwili wahania podniosła go. Pasował jej. Instynktownie wiedziała, co trzeba zrobić — sprawdzić magazynek, odbezpieczyć...

„Rób – szeptał głos – rób, nie myśl”.

Wróciła na tył domu i skupiła się na drugim strażniku. Najpraktyczniej byłoby go zastrzelić.

Czy będzie w stanie to zrobić? Tak, podpowiadał instynkt. Czy ma dość odwagi? Tego już nie była taka pewna. Jake krzyknął. Podniosła broń. Cholera.

Ręce jej się trzęsą.

Zacisnęła zęby, zebrała się na odwagę, wycelowała.

Jej ręce nadal drżały.

Zresztą wystrzał to hałas, za dużo hałasu.

Kamień spadł jej z serca. Wepchnęła pistolet za pasek dzinsów. Posłużyła się tą samą sztuczką co poprzednio, zwabiła strażnika bliżej samochodu i powaliła bezlitosnym ciosem w kark.

Dyszając ciężko, przyglądała mu się z góry. Czowała zapach swojego strachu – kwaśny, gęsty odór potu. I jednocześnie przyływ siły i satysfakcję, do której nie chciała się przyznać, jakaś jej część była zadowolona. Powaliła dwóch mężczyzn, jakby to była najprostsza rzecz na świecie. Jakby robiła to codziennie.

W jej głowie ponownie rozległ się krzyk, narastał, ale ucięła go siłą woli. Musiała. Jake nadal jest w domu i tylko ona może mu pomóc.

Wybili szybę w tylnych drzwiach. Zakradła się bliżej i usłyszała, jak metal trafia w kość, a Jake wyje z bólu.

Łańcuch. Biją go łańcuchem.

Wściekłość dusiła ją za gardło.

Są w kuchni. Uda jej się tam dostać niezauważonej tylnymi drzwiami? Mało prawdopodobne.

Zakradła się do drzwi wejściowych, wśliznęła do domu i po cichu dotarła do kuchni.

Facet z łańcuchem był potężny. Wywijał nim nad głową, ale tym razem Margo rzuciła się naprzód i szarpnęła za metal. Olbrzym stracił równowagę.

– Rzuć to – poleciła, szarpiąc za łańcuch.

Mężczyźni odwrócili się gwałtownie, ale byli zbyt powolni. Już zdążyła wycelować prosto w klatkę piersiową przywódcy.

– Rzuć to – powtórzyła i przywódca skinął głową. Łańcuch wypadł z ręki olbrzyma i uderzył o podłogę z metalicznym brzękiem.

Szef się uśmiechnął. Miał żółte, poplamione tytoniem zęby i krzaczaste wąsy. Żuł niezapalonego papierosa.

– A więc tu pani jest. Teraz możemy pożegnać pani przyjaciela.

– Zamknij się – warknęła. – Daj mi broń. Na ziemię. Zawahał się.

– I to już! Na ziemię!

Powoli wypełnił polecenie. Kopnęła pistolet w stronę Jake'a. Kątem oka widziała, jak go przydepnął. Rozbroiła olbrzyma.

– Ty. – Wskazała daleki kraniec stołu. – Tam.

– Jeszcze się zemścimy. – Furia w oczach Wąsatego przeczyła spokojowi jego głosie. – Nie uciekniesz.

Mówił melodramatycznie i tandetnie, ale w jego głosie wyczuwała lodowatą pewność. Zmusiła się, by ją zignorować.

– Siadać – poleciła. – Ręce na stół, żebyśmy je widziała.

Byli bezbronni. Spełnili jej polecenie. Chwilę później Jake był wolny. Miał ochotę ich zastrzelić, ale Margo go powstrzymała. – Mam już dość trupów na sumieniu.

Trzymał obu na muszce, dopóki ich nie związała i nie zakneblowała ścierkami. Olbrzymowi owinęła szyję łańcuchem.

Ledwie wyszli na dwór, zaczęła chciwie łapać powietrze, jak narkomanka na głodzie. Ciągle miała w uszach słowa Wąsatego: „Jeszcze się zemścimy”.

Zrobiła coś strasznego. Świadczyły o tym dziecięcy krzyk w jej głowie i słowa napastnika.

I teraz nie była już pewna, czy koniecznie chce wiedzieć, co to było.

Wozy napastników blokowały drogę samochodowi Jake'a, a zaułek był zbyt wąski, by mógł je wyminąć, musiał więc dojść do taurusa Margo. Jazda także nie należała do przyjemności. Na każdym wyboju przeszywał go ostry ból.

Margo jechała szybko i pewnie.

– Ktoś nas śledzi? – Trzymał się za żebra, żeby zminimalizować skutki drgań samochodu.

– Nie.

– Dzięki ci, Boże, za małe cuda.

– Pięć minut stąd jest szpital – zaczęła.

– Nie. Zanim się nie dowiemy, o co tu chodzi, pozostajemy w ukryciu.

– Chyba nie widziałeś swojej twarzy.

To prawda, ale wcale się tym nie martwił.

Nie dyskutowała z nim i zawiozła go do Argyle Towers, a tam zaparkowała w podziemnym garażu i pomogła mu dojść do windy.

Ledwie weszli do mieszkania, ciężko oparł się o framugę, a Margo zniknęła w głębi apartamentu. Jake odpoczął chwilę i z trudem dowlókl się do łazienki.

Spojrzał w lustro.

Miała rację, wyglądał okropnie. Miał rozciętą wargę, przeciętą skórę pod okiem, rozkrwawiony policzek i podbródek, rany na szyi. Wolał nie patrzeć na plecy, pewnie wkrótce pokryją się siniakami w kolorach tęczy. Przystojniak z niego, nie ma co.

Ale i tak mogło być gorzej. Gdyby Margo nie zjawiła się w odpowiedniej chwili, mogło być o wiele gorzej.

To dopiero ironia losu!

Znalazł myjkę, odkręcił kran i zmywał z siebie krew, gdy weszła Margo z apteczką.

Usiadła na sedesie i uniosła wieko apteczki.

– Mogłam się domyślić, że skorzystam z tego raczej wcześniej niż później.

Burknął coś niezrozumiale. Starał się nie zadawać sobie więcej bólu niż to konieczne.

– Kto to był? – zapytała, obserwując go uważnie.

– Nie wiesz? – Zerknął na nią. – Nie, skądże. — Posmarował rany maścią dezynfekcyjną i skrzywił się, bo zapiekło. – No cóż, nie przedstawili się.

– Ale szukali mnie.

– Tak powiedzieli.

– Ich szef. Ten chudzielec z wąsami. Mówił coś o zemście.

– Wygląda na to, że nieźle komuś zalazłaś za skórę.

– Ale komu? Im? Dobry Boże, Jake, co ja zrobiłam?

Mówiła niskim głosem przepelnionym emocjami. Spojrzał na nią. Wbiła wzrok w wieko apteczki, zaciskała dłonie na metalowej skrzynce, jakby od tego zależało jej życie. Współczuł jej. Uklęknął.

– Nie wiem. – Szkoda, że tylko tyle może powiedzieć. – Musimy się tego dowiedzieć.

– My? – Podniosła na niego ciemnoniebieskie oczy. Widział w nich smutek i dezorientację. – Jeszcze ci mało? – Musnęła opuszkami palców ranę koło oka, a potem dotknęła rozcięcie na jego wardze. Jej dotyk sprawił, że przeszył go nieoczekiwany dreszcz.

Ejże, bracie, spokojnie. Uratowała ci tyłek, a ty jesteś po prostu wdzięczny. Akurat. Nie wdzięczność w tej chwili poczuł.

Wstał, wziął od niej apteczkę, poszperał w niej, znalazł plaster i za–kleił sobie ranę pod okiem. Była głębsza, niż się spodziewał, ale wąska i krótka. Chyba obejdzie się bez szwów.

Westchnął i gwałtownym ruchem zakręcił kran.

– No dobra. Połatałem się, jak mogłem.

– Jake – zaczęła cicho – dlaczego im nie powiedziałaś, gdzie jestem?

Odwrócił się tyłem do lustra i oparł o umywalkę.

– Dlaczego mnie tam nie zostawiłaś?

Mogła to zrobić. Wiedział doskonale, że mogła. Uwolniłaby się od jego podejrzeń, wątpliwości, od niego samego. I miałyby czyste ręce.

– Zastanawiałam się nad tym.

Kąciki jego ust powędrowały w górę i skrzywił się z bólu..

– Tak? A ja myślałem, że to ty ich na mnie nasłałaś. I nie rozśmieszaj mnie, bo boli.

– Mówiłam, żebyś się trzymał ode mnie z daleka.

– Co mogę powiedzieć? Jestem facetem, nie słucham.

– Oberwałeś przeze mnie. – Pokręciła z niedowierzaniem głową. – Ależ głupota.

– Tak to jest z partnerami, Scott.

Przyglądała mu się i jej wzrok robił z nim rzeczy, na które nie powinien pozwolić żaden dorosły facet.

– A jesteśmy partnerami?

No właśnie. Powoli skinął głową, niezdolny oderwać spojrzenia od jej ciemnoniebieskich oczu.

– Tak jakby. Chwilowo.

Analizowała jego słowa, niepewna, jak je potraktować. I czy może jej się dziwić? On sam nie wiedział, co z tym zrobić.

Bo prawda jest taka, że wszelkie uczucie... bliskości jest niebezpieczne. Nadal nie wykluczał, że to ona zabiła Franka. Nie wolno mu o tym zapomnieć, choć to łatwe w stanie, w jakim znajduje się jego umysł.

Po prostu musi wziąć się w garść.

Cofnęła się i pochyliła nad apteczką. Nie wiadomo kiedy zgubiła gumkę z włosów i teraz rozsypały się ciemną kurtyną na jasnej skórze. I znowu poczuł uderzenie gorąca.

Niby dlaczego nie mógłby przyjąć tego, co mu ofiaruje, jeśli to zrobi? Nadal może ją rozwalić, jeśli zajdzie taka potrzeba. Bo czułby się okropnie, wykorzystując ją.

No tak, ale może to zadziała. Może ją zmiękczy, wzbudzi jej zaufanie...

– W każdym razie... – Odgarnął jej włosy z szyi. Były tak ciężkie

I miękkie, jak sobie wyobrażał. – Dzięki.

Niemal podskoczyła pod jego dotykiem.

– Za co?

– Za ocalenie mojego tyłka. I mnie.

Energicznie zamknęła apteczkę, nagle opanowana i skupiona.

– Masz niezły tyłek, Wise, byłoby go szkoda. Wyszedł za nią z łazienki.

– Uważasz, że mam fajny tyłek? – Opuścił wzrok na jej pośladki w obcisłych dżinsach. – Wzajemnie.

Odwróciła się gwałtownie, teraz szła tyłem.

– Łapy z daleka.

Uniósł ręce i skrzywił się z bólu, bo siniaki dały o sobie znać.

– Niczego nie dotykam.

Zmrużyła oczy – podejrzliwość zastąpiła poprzednią słabość. Teraz czuł się o wiele lepiej.

– Co właściwie robiłeś w moim domu?

Weszła do większej sypialni. Szedł za nią, czekał oparty o framugę, gdy odstawiała apteczkę na półkę w garderobie. Wiedział, że wcześniej czy później o to zapyta, i miał gotową odpowiedź.

– Sprawdziałem cię.

Zamknęła szafę i odwróciła się do niego z marsmem na czole. Nie spodobała jej się ta odpowiedź, ale prawdę przyjęłaby jeszcze gorzej.

– Nadal uważasz, że kłamię?

– Byłbym idiotą, gdybym nie starał się dowiedzieć o tobie jak najwięcej, skoro ty jesteś taka... skryta.

Minęła go i wyszła z sypialni.

– Partnerzy sobie ufają, Wise! – zawołała przez ramię.

– Cóż, my się dopiero docieramy.

Przeszedł za nią do salonu. Stała przy półkach z książkami i patrzyła na swoje zdjęcie. Przez rozsunięte zasłony widział widok zapierający dech w piersiach. Białe krzyże cmentarza Arlington odcinały się od zieleni trawy i przypominały mu, że połączyła ich śmierć.

– Na przykład nie jesteś notowana – zaczął.

– Dzięki ci, Boże, za małe cuda.

– I nie ma po tobie śladu w wojskowych bazach danych. Odwróciła się gwałtownie i utkwiała w nim intensywne spojrzenie.

- Jak to możliwe?
- Może to zdjęcie to halloweenowy kawał?
- Przebranie?
- Czemu nie?

Jednak żadnego z nich ta wersja nie przekonywała.

- Rozmawiałem też z Connellym. – Obserwował, czy Margo jakoś zdradzi, że zna to nazwisko, ale przyglądała mu się obojętnym wzrokiem.
- Jakim Connellym?
- Billem Connellym, szefem DCO. Siostrzanej komórki Operacji Terenowych, czyli mojej.
- Na czym polega różnica?
- DCO działa w ukryciu. Całkowita tajemnica. Jeśli cię złapią, nie mamy z tym nic wspólnego, takie klimaty. Sądziłem, że może, dla nich pracujesz. Masz odpowiedni sprzęt, to pewne.
- Ale?
- Connelly chyba cię nie zna.
- Powiedziała by, gdyby było inaczej?
- Może tak. – Wzruszył ramionami. – A może nie. Czego się dowiedziałaś o mieszkaniu?
- Jest moje. Znalazłam także osobę, do której wysyłałam książki. Słuchał uważnie, gdy mu opowiadała o swoich darach dla Domu Dziecka imienia Rolanda Carrola.
- Miło, że taka z ciebie filantropka, szkoda tylko, że nas to donikąd zaprowadzi.
- Z jękiem opadł na fotel w salonie. – W okolicach Waszyngtonu nie ma miejsca o nazwie Warner Park. Ale znalazłem ulicę. Tę ze zdjęcia. Znieruchomiła.
- Byłeś bardzo pracowity. Zachnął się.
- W Sewilli.
- Przełknęła ślinę z widocznym trudem.
- Więc jednak tam pojechałam.
- Masz zdjęcia, co nie znaczy, że zrobiłaś je osobiście. Zasyłał ją informacjami i nagle poczuła, że ma tego dość. Rozłożyła ręce.
- Wiesz co? Jestem zmęczona i głodna. Nie przypominam sobie, kiedy ostatnio jadłam. Idę kupić coś do jedzenia. Chcę pomyśleć o czymś innym niż cały ten koszmar, w którym się znalazłam.
- Chciał wstać, ale się rozmyślił.
- Mam iść z tobą? Spojrzała na niego z ukosa.
- Niekoniecznie.
- Mógłbym cię śledzić.
- Mógłbyś, ale tego nie zrobisz. Wyglądasz jak Godzilla po śmierci. Nie chcemy zwracać na siebie uwagi, a ty, no cóż, powiedzmy, że nie wyglądasz jak przeciętny przechodzień. Poczekaj tutaj, wezmę coś na wynos.

Pewnie ma rację. Ale czy może zaufać jej na tyle, by spuścić ją z oczu? Po tym, jak uratowała mu życie, był nieco bardziej skłonny to zrobić. Zresztą ma odbiornik, więc nie zniknie mu z oczu.

– No dobra. – Wskazał jedną z sypialni. – Położę się, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Łypnęła na niego wrogo.

– Nie masz własnego domu?

Właściwie nie, chyba że złapie okazję na Manhattan, a łóżko w czeluściach domu ciotki Frances chwilowo nie wchodzi w grę.

– Nie taki, do którego mógłbym wrócić. Westchnęła.

– Jak chcesz – mruknęła i podeszła do drzwi.

– Bez majonezu, mało keczupu! – zawołał za nią. Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Ho, ho, ho, ależ to humorzasta dama.

Wyjął odbiornik z kieszeni i obserwował, jak się oddala. Dobrze, że napastnicy tego nie znaleźli. A skoro o nich mowa...

Rozwagał, czy nie zadzwonić na Manhattan i nie sprawdzić ich w bazie danych. Nie zapomniał, że Frank nie zlecił tego zadania nikomu z TCF, wołał więc nie uciekać się do kanałów oficjalnych, ale to najszybszy sposób, by zidentyfikować napastników. Do tego jednak potrzebne mu będą zdjęcia z pokoju obserwacyjnego – tam jest ich pod dostatkiem.

Zamknął oczy. Nagle pokój zdawał się odpływać, sypialnia była bardzo daleko, a co dopiero dom po drugiej stronie rzeki.

Suzanne DeForrest nigdy nie miała głowy do szczegółów. Często zapominała zgasić światło w sklepie, raz nawet nie zamknęła drzwi przed wyjściem do domu. Margo to co innego. Nawet na skraju załamania – a znając jej opanowanie i samokontrolę, Suzanne nie była gotowa przyznać, czy Margo kiedykolwiek się załamuje – przyjaciółka o niczym nie zapominała.

I właśnie to rzuciło się Suzanne w oczy, gdy tuż przed wyjściem upuściła torbę koralików. Dzisiaj przyszła do sklepu późno, bo słońce oczarowało ją tak bardzo, że większość dnia spędziła na dworze. I tak zamiast irytacji roześmiała się i uklękła, żeby pozbierać paciorki.

Pełzając po podłodze, łączyła je byle jak i owijała sobie szyję potrójnym barwnym sznurem. Dostrzegła kilka koralików koło drzwi łączących jej sklep z antykwariatem Margo. Zbierała je i wtedy zauważyła pod drzwiami smugę światła.

Przysiadła na piętach i przyglądała się jej ze zdziwieniem.

Czyżby światło paliło się całą noc i cały dzień?

Margo wyszła ze sklepu wczoraj, Suzanne widziała, jak biegła. Dzisiaj antykwariat był zamknięty. Suzanne poczuła niepokój. Może Margo naprawdę się sypie? Po pierwsze, te dzinsy. A do tego światło. Jeśli zapomniała je zgasić, naprawdę z nią niedobrze.

Nie, musi być jakieś inne wytłumaczenie.

Może wróciła?

Suzanne pokręciła głową i przewróciła oczami. Oczywiście, że mogła wrócić. I właśnie tak było. Wróciła.

– Margo? – Wstała i zapukała do drzwi. – Lepiej ci? – Nasłuchiwała chwilę, a gdy nie było odpowiedzi, zapukała ponownie. – Margo? Westchnęła. Coś jest nie tak.

Zachichotała. Przypomniały jej się powieści o Madeline. Oczami duszy widziała siebie w roli miss Clavel – budzi się w środku nocy... Poprawiła czarne spodnie i wyobraziła sobie kościstą i skromnie odzianą miss Clavel w obcisłych dżinsach, czarnym berecie, z koralami na szyi.

Poczuła się głupio – jakkolwiek by było Margo potrafi sama o siebie zadbać i gdyby nie jej dziwaczne zachowanie, Suzanne skończyłaby zbierać korale i poszła do domu. Podeszła jednak do kasy, otworzyła ją i poszukała kluczyka do drzwi łączących oba lokale. Rzadko ich używały, więc chwilę trwało, zanim go znalazła pod plikiem starych pokwitowań z kart kredytowych.

Wróciła do drzwi łączących oba pomieszczenia i wtedy zauważyła, że promyk światła zniknął.

Zawahała się.

Może go sobie tylko wyobraziła?

Nie, to bez sensu. Widziała to wyraźnie.

Nagle zaczęła się bać. Przypomniała sobie mężczyznę, który poprzedniego dnia zaglądał przez okno do antykwariatu. Mówił, że jest kolekcjonerem, ale jego małe, złe oczka...

Na jej wystawie stał manekin w dżinsach, białej koszulce i kurtce bejsbolowej. Dla lepszego efektu dodała kiedyś kij bejsbolowy. Zakradła się teraz na palcach do wystawy, wzięła kij i otworzyła drzwi łączące oba pomieszczenia.

– Margo? – Weszła do środka, rozejrzała się. Ciemno, pusto, dziwnie. – Margo, jesteś tu?

Ruszyła na zaplecze. Margo miała tam mały kantor – może prowadzi księgowość albo robi coś równie nudnego. Pewnie zgasiła światło w antykwariacie i przeszła na zaplecze.

– Ej, Margo! – zawołała Suzanne. – Co ty wyprawiasz? – Otworzyła drzwi, ale w kantorku panowała ciemność. Dostrzegła w mroku zwałisty cień. Margo? Ktoś ją pchnął. Kij bejsbolowy upadł na ziemię z głuchym stuknięciem. Było to ostatnie, co Suzanne słyszała.

Gdy Margo wróciła, Jake spał w salonie. Stała w progu i obserwowała go. Nadal nie pojmowała, dlaczego nie wydał jej mężczyznom z domu ciotki Frances.

A co ważniejsze, dlaczego ona nie zostawiła go własnemu losowi?

Przypomniała sobie prąd, jaki ją przeszedł, gdy dotknął jej włosów w łazience. Dlatego?

Przyjaciele bywają niebezpieczni, kochankowie są jeszcze gorsi. Nie wiedziała, skąd się bierze to przekonanie. Myślała intensywnie. Czy ktoś ją zdradził?

Oszukał? Żadnych wspomnień, ale głęboko, jak skała pod wodą kryło się przeświadczenie, że samotność jest lepsza. Bezpieczniejsza.

A jednak...

Musiała to przyznać: potrzebna jest jej jego pomoc. Zważywszy, że brnie w błocie w ciemnym tunelu, idiotyzmem byłoby odepchnąć latarkę.

No proszę, oto śpi teraz na jej fotelu, silny, umięśniony i pobity –z jej powodu. Rozsądny facet wydałby ją zbirom. Rozsądny facet myślałby przede wszystkim o sobie.

Ale może Jake jest bardziej uczciwy niż rozsądny. Aż za uczciwy.

Czy może mu zaufać? Czy już się sprawdził? Nadal nie była tego pewna. Honor to staroświeckie pojęcie, ale przecież zachował się honorowo. I bardzo chciała uwierzyć w jego szczerłość i autentyczność.

Nie obudziła go, zjadła kanapkę sama, wpatrzona w ścianę. Ciekawe, kiedy znowu po nią przyjdą. Czy znajdą to mieszkanie? I czy Jake będzie przy niej, i znowu stanie między nimi?

Jej żołądek fiknął salto. Odepchnęła resztki kanapki. Jedzenie ciążyło jej, spowalniało. Ziewnęła.

Przydałoby się jej ze sto godzin snu, ale nie chciała zmrużyć oka, jeszcze nie teraz. W ciemności umyka jej zbyt wiele, słyszy zbyt wiele głosów, których nie może powstrzymać.

Razem z kanapkami kupiła kilka gazet. Także tym razem nie wiedziała, skąd się brał przymus, by je kupować, ale czuła jednocześnie, że na dnie świadomości kołacze się niejasne wspomnienie, szkoda że nie jest w stanie go przywołać. Przejrzała po kolej, od deski do deski, „Post”, „Times Daily” i pięć innych tytułów.

I znowu nic nie zwróciło jej uwagi.

O co chodzi? Uderzyła się w czoło. O czym zapomniała? W jej wspomnieniach rozległ się krzyk nieznanego dziecka. Zagryzała usta, żeby mu nie wtórować. Jeszcze raz zerknęła na Jake'a raczej po to, żeby się czymś zająć niż z prawdziwej troski. Nadal spał. Poszła do sypialni.

Odruchowo pobiegła wzrokiem do szafki przy łóżku. Prezerwatywy w szufladzie zdawały się ją wołać. O Boże, seks teraz byłby idealny. Stanowił ucieczkę, wyprawę w ciemność. Mogłaby choćby przez chwilę udawać, że jest z kimś związana.

Ale jedyny człowiek w pobliżu spał jak kamień.

Mogłaby zrobić to sama. I nawet nie potrzebowałaby prezerwatywy.

Wzdrygnęła się. Masturbacja. Szczyt samotności. Nie, jest aż tak zdesperowana. Odepchnęła tę myśl i skupiła się na leżącej książce na dolnej półce. Nagły przypływ strachu. Podręcznik nożownika?

Wzięła ją do ręki, wstrzymując oddech. Nie, to nie podręcznik zabijania. To w ogóle nie podręcznik.

Ilustracje Arthura Rackhama, sfatygowane, z oślimi uszami. I z wyblakłą pieczętką: „Biblioteka Publiczna miasta St. Louis”.

Poczuła ukłucie w sercu. Co to było? Ciepło? Czulość? Coś w niej, coś poza zasięgiem, a zarazem bliskie. I dobre.

Zaintrygowana przysiadła na łóżku i otworzyła książkę. Między kartkami leżało zdjęcie. Stare, pogniecione, jakby je zmięto i wygładzono.

Margo czuła, że jej serce bije coraz szybciej. Kolejna bomba zegarowa, która lada chwila sprawi, że jej życie stanie do góry nogami?

Dotknęła fotografii. Owalna, nierówno wycięta, jakby dziecinna rączka chciała ją usunąć z większej całości.

Patrzyła na nią kobieca twarz. Długie ciemne włosy i uśmiech. Margo przyglądała się jej uważnie. Twarz przecinały zagięcia, była niewyraźna.

Kto to?

Siostra? Ciotka? Matka? Kuzynka? A może ona sama? Podobna. Czy to ona w innym życiu?

Nagły błysk w głowie. Kuchnia. Zapach prażonej kukurydzy. Metaliczny smak strachu.

Z jękiem upuściła fotografię. Obrazy zniknęły, panika minęła, ale pytania zostały.

Kto to?

I dlaczego popcorn wprawia ją w panikę?

Opadła na poduszki, spragniona odpowiedzi, ale czuła jedynie chmurę smutku.

Usiłowała odgrodzić się od niego murem, ale był jak dym, nie dawał się poskromić. Ogarniał ją rozpełzał się, aż wypełnił każdy zakątek jej duszy. Miała łzy w oczach i zanim się spostrzegła, spływały po policzkach.

Zwinęła się w kłębek i bezgłośnie płakała.

Jake'a wyrwał ze snu płacz. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że znowu jest w Kosowie, że u jego boku leży Danika, a nad głową huczą bombowce ONZ.

– Na ziemię! — krzyczał instynkt. Rzucił się, by zakryć ją swoim ciałem, by ukryć się z nią pod łóżkiem. Uniósł powieki i od razu przypomniał sobie, gdzie jest.

Salon Margo. Pewnie zasnął na kanapie. Jezu. Jęknął i zerknął na zegarek, dochodziła północ.

Zaschło mu w ustach, krew dudniła w uszach. Starał się opanować oszalałe bicie serca. Krzyk rozległ się ponownie. Usiadł gwałtownie. Co to?

Nie zwracając uwagi na obolałe ciało, wpadł do sypialni Margo. Miotła się na łóżku, szarpała kołdrę, walczyła z niewidzialnym przeciwnikiem.

Nagle ogarnęło go współczucie. Obserwował ją przez chwilę. Nie wiedział, co robić. Szedł w stronę posłania, gdy potknął się o książkę, która chyba spadła z łóżka. Kolejny zbiór ilustrowanych baśni. Podniósł ją i położył na stoliku.

Zagubiony, zawahał się i delikatnie nią potrząsnął.

– Margo! Obudź się.

Rzuciła się na niego, zamachnęła i wtedy coś wypadło z jej dłoni. Zdjęcie kobiety, niestarannie wycięte. Położył je na książce i uchylił się przed ciosem.

– Margo! – Potrząsnął nią mocniej. – Obudź się. Masz zły sen. – A potem, ponieważ nie wiedział, co zrobić, podniósł ją i objął.

Czuł jej miękkie piersi, a pod palcami twardy kręgosłup. Miętkość i twardość zarazem, oto cała ona. Głaskał ją po szyi, zły, że nie potrafi odpędzić jej demonów.

– Spokojnie. Nic ci nie będzie.

Szarpnęła się, znieruchomiała i spojrzała na niego.

– Co... – Przełknęła ślinę, zaspana, ochrypła. – Co się dzieje? Co ty tu robisz? Odsunął się.

– Krzyczałaś. Miałaś chyba koszmarne sny.

Przysiadła na piętach. Nadal miała na sobie czarny podkoszulek. W mroku, z czarnymi włosami i bezdennymi granatowymi oczami wydawała się nierzeczywista, jak bogini nocy. Nagle jej zapragnął.

Patrzył, jak przeciera oczy.

– Co ci się śniło? – zapytał.

– Ja nie... o niczym. Nie pamiętam. Pozwolił jej na to kłamstwo.

– Nie pierwszy raz ci się to śniło, prawda?

Spoważniała.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Nie mógł jej powiedzieć, że poprzedniej nocy poszedł za nią do baru, że widział, jak miotła się w samochodzie, a potem odeszła ze strachem w oczach.

– Nie jesteś zaskoczona.

Włosy opadły jej na ramiona i miał ochotę je unieść, odgarnąć, dotknąć.

Sprawić, że zmięknie, że mu zaufa.

Przeczesała włosy dłonią, odetchnęła z ulgą i uspokoiła się.

– No, nie – przyznała niechętnie. – Już je miałam.

– Złe wspomnienia?

Nagle jej oczy wezbrały łzami. Odwróciła wzrok, zacisnęła dłoń na kołdrze.

– Nie wiem, sny albo wspomnienia...

Miał wrażenie, że na jego sercu zaciska się niewidzialna dłoń.

– Chcesz o tym pogadać?

– Nie.

Sądząc po jej wyglądzie, nie zniesie dalszego przesłuchiwania, więc wstał powodowany litością.

– Kto to jest? – Wskazał zdjęcie na stoliku.

Spojrzała w tamtą stronę i jeszcze bardziej zamknęła się w sobie.

– Nie wiem, było w książce. Dotknął opasłego tomu.

– Kręcą cię książki dla dzieci – zauważył. – O co chodzi?

– Sama chciałabym wiedzieć – odparła ponuro.

Wziął fotografię i przyjrzał się kobiecie na pogniecionym zdjęciu.

– Może to ty?

– W innym życiu.

– Krewna?

– Niewykluczone. Jak już powiedziałam, nie wiem. – W jej głosie brzmiała irytacja, pierwszy cień gniewu. Zamknęła oczy. – Przepraszam. Nie chciałam. Wzruszył ramionami.

– Jest środek nocy, masz prawo się wkurzyć.

Odwrócił się, żeby wyjść. Powinien zostawić ją samą, przenocować w motelu, jeśli dom w Georgetown jest zbyt niebezpieczny. Z drugiej strony nie chciał spuszczać jej z oczu. Wystarczy mu mniejsza sypialnia. – Zobaczymy się później.

Złapała go za rękę.

– Poczekaj. – Zaskoczony odwrócił się i spojrzał na nią. Była delikatna, krucha.

– Proszę. – Zmysłowy głos przeszywał go na wskroś. Wzięła go za rękę. Jej długie, wąskie palce oplatały jego dłoń, pieszczotliwie, uwodzicielsko, jednoznacznie. – Zostań.

Przed oczami stanęła mu Dani, ostatni wybuch śmiechu, zanim wsiadła do tamtego samochodu i nigdy nie wróciła. Dlaczego ma słabość do kobiet w niebezpieczeństwie?

Pozwolił, by pociągnęła go na łóżko. Jezu, ależ to zły pomysł.

I zarazem nieodparcie kuszący. Zresztą czyż sam o tym nie myślał? Weźmie, co mu daje, i wykorzystają?

Na chwilę spojrzeli sobie w oczy. Zobaczył w jej spojrzeniu pragnienie, a jeśli była tam także desperacja, nie zwrócił na to uwagi. I tak nic na to nie poradzi.

Napierała na niego całym ciałem, jej usta były już tak blisko.

Pocałunek był głęboki, namiętny, jej język igrał z jego językiem, wabił, pieścił, uwodził.

Resztki jego oporów rozplynęły się w przyptywie pożądania.

Objął ją i razem osunęli się na łóżko. Mocowała się z jego dzinsami i jednocześnie ścigała majtki. Wyjęła prezerwatywę z szuflady przy łóżku, założyła mu. Zadrżał pod jej dotykiem.

Kto tu kogo wykorzystuje? Nie wiedział. I nic go to nie obchodziło. Leżała na plecach, otwarta i gotowa.

– Już – szepnęła, unosząc biodra. – No, już.

Nie czekał na kolejne zaproszenie. Wszedł w nią i odetchnęła, jakby z ulgą.

Bolały go zębra, ale rozkosz tłumiała ból. Nie myślał o tym, w ogóle nie myślał.

Była wilgotna i gotowa, otulała go jedwabistą miękkością.

Margo gwałtownie poruszała biodrami, oszalała z pragnienia. Zacisnęła dłonie na jego pośladkach, narzucała rytm, rozpaczliwie chciała poczuć ten wewnętrzny spokój, który daje tylko zagubienie się w odczuciach. Tylko wtedy nie będzie ważne, kim jest ani czego nie pamięta.

Nie obchodziło jej, czy zaspokoi Jake'a; jego chrapliwy oddech i jęki rozkoszy świadczyły o tym, że nie musi zaprzętać sobie tym głowy. Chciał ją pocałować,

ale się odsunęła. Tu nie chodzi o całowanie, tu chodzi o płomień. Rozkosz, która wypali wszystko inne.

Skrzywił się nagle i przypomniała sobie o jego ranach. Pchnęła go na plecy i usiadła na nim.

Widziała go jak przez mgłę: twarz wykrzywiona namiętnością, napięte mięśnie karku, szeroka klatka piersiowa. Piękny. Ranny, ale silny, potężny, troskliwy opiekun. Jej opiekun.

Jej ciało zareagowało, sutki stały się tak twarde, że przypominały pociski.

Zaciskał na nich dłonie, jego długie palce bawiły się nią. Krzyknęła i przyspieszyła, chcąc jak najszybciej osiągnąć szczyt.

Otworzyła się przed nią czarna przepaść i runęła w nią z wdzięcznością.

Płomień narastał, szalony, niekontrolowany, wraz z rozkoszą, aż myślała, że tego dłużej nie wytrzyma.

I nie wytrzymała, cudowne spełnienie wypełniło ją całą i nie myślała już o niczym, tylko czuła.

Gdzieś w oddali usłyszała przeszywający jęk i wiedziała, że on także skończył.

Zadrżała. Oddychała coraz spokojniej. Świat powoli wrócił na miejsce, ale nie był już taki straszny, taki wyraźny. Osunęła się na Jake'a i zamknęła oczy.

Objął ją odruchowo. Czuł, jak dochodzi do siebie. Głaskał ją i tulił, bo zrozumiał, że właśnie to chciał zrobić, odkąd zobaczył, jak się miota nękana przez nieznanne demony.

Objąć ją. Ochronić.

O Boże, ale się wpakował.

Leżeli wtuleni w siebie przez kilka minut.

A potem już jej nie było, zostało po niej zimne, puste miejsce. Leżała obok, odrzuciła rękę za głowę. Miała zamknięte oczy.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Hm. – Podciągnęła kolana pod brodę i przekręciła się na bok. Po chwili już spała.

Leżał koło niej, porzucony, i gapił się w sufit.

No dobra, wykorzystała go. I co z tego? On też szczytował, nie ma się co skarżyć. A jednak wypełniała go dziwna pustka.

Pochylił się nad nią i odgarnął włosy z twarzy. W końcu wydawała się spokojna.

Dobry seks działa lepiej niż wszelkie pigułki nasenne.

Przejechał dłonią po jej plecach. Mruknęła coś, ale się nie obudziła. Przesunął dłoń w lewo i wyczuł zgrubienie na biodrze. Wstał, podniósł żaluzje i wpuścił do sypialni światło księżycy.

Wrócił do łóżka i ponownie odnalazł zgrubienie. Blizna. I jeszcze jedna na udzie, kolejna na lewej łopatce, po kuli. A pozostałe? Nie wiedział. Może po nożu.

Wojenne pamiątki.

Z jakiej wojny? Z kim walczyła? Po czyjej stronie?

Fascynowała go ta tajemnica. Powiedz sobie szczerze, Jake, do cholery, ona cię fascynuje.

Otulił ją sobą. Nie wiedział, czemu to zrobił, dała mu jasno do zrozumienia, że pociechy szuka nie w jego ramionach, tylko dużo niżej, ale dobrze mu było z nią w objęciach. Potrzebowała ochrony. Przed tymi, którzy jej szukają. Przed nim. Przed samą sobą.

Do świtu pozostała jeszcze godzina, gdy obudził go jego telefon. Kilka godzin temu przyniósł go do pokoju Margo razem z pistoletem, który zabrali Sumo. Wyplątał się z jej objęć i odebrał.

W uchu rozbrzmiał głos detektywa Brewstera.

– To pan, Wise? Odsunął aparat od ucha.

– To ja. – Ziewnął. – Która godzina? – Zerknął na zegarek. Wpół do piątej.

– Gdzie, do cholery, podziewa się pańska klientka?

Odgarnął kosmyk z twarzy Margo. Koszmarmy senne dały jej spokój na resztę nocy, spała bez przerwy aż do tej chwili. W kącikach jej ust błąkał się uśmiech. Zadziwiające, co robi seks. Wstał i na palcach wyszedł na korytarz. Zamknął za sobą drzwi.

– Brewster, jest wpół do piątej rano. A niby gdzie ma być?

– Wiem, która jest godzina. Ale w domu jej nie ma. Gdzie jest?

– A o co chodzi? Czemu jej pan szuka godzinę przed świtem?

– Znaleźliśmy kolejne zwłoki.

Próbowaliśmy się z panią skontaktować. Gdzie pani była?

Margo się wyprostowała. Stała przed antykwariatem. Taśma policyjna odgradzała Retro i jej sklep. Wszędzie kręcili się policjanci w mundurach i w cywilu, wchodzili i wychodzili z obu lokali. W uliczce stało mnóstwo wozów patrolowych, koguty migwały niestrudzenie. Wóz techników zaparkował w niedozwolonym miejscu, obok nieoznakowanego samochodu policyjnego.

Margo rozejrzała się szybko. Gdzieś w głębi serca na nowo rozbrzmiało koszarne bicie, które się zaczęło, gdy Jake ją obudził.

– Co tu się stało? – zapytała ochryple, próbując wziąć się w garść.

– Znalazła ją ekipa sprzątająca – oznajmił szorstko Brewster. – Nazwisko... – Zajrzał do notesu. – Suzanne DeForrest.

Margo z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Nie.

– Znaleźliśmy ją w pani gabinecie – ciągnął Brewster. – Miała poderżnięte gardło.

– Nie! – Rzuciła się do przodu, odepchnęła go brutalnie i pobiegła w stronę budynku. – Nie wierzę. Gdzie ona jest? – Kilku policjantów zastąpiło jej drogę. Rzuciła się na nich. – Muszę ją zobaczyć! Muszę! – Dwaj mundurowi złapali ją za ręce. Wyrywała im się z całych sił.

Jake pospieszył za nią.

– Puśćcie ją – rzucił do policjantów. – Ja się nią zajmę. – Objął ją ramieniem.

– Nie. – Głos jej się załamał. Wysunęła się z jego objęć, bała się, że rozsypie się przy najmniejszym dotknięciu.

Z trudem podeszła do latarni i oparła dłonie o słup. Opuściła głowę. Oddychała ciężko, jakby miała za sobą wielokilometrowy bieg. Brewster nie spuszczał jej z oka.

– Pani Scott, gdzie była pani wczoraj koło szóstej?

– Proszę dać jej chwilę – poprosił Jake.

– Nie mam czasu. Pani Scott?

Nie odpowiadała. Nie była w stanie się ruszyć. Jake odpowiedział za nią:

– Była ze mną. Na kolacji.

– Gdzie?

– U niej.

Brewster zmarszczył brwi.

– U niej? Wysłałem tam patrol. Pusto, dom splądrowany... Policjant mówił, że widział ślady walki. – Poświecił na Jake'a latarką. – Co się stało z pana twarzą, Wise?

Jake zasłonił oczy, żeby zyskać trochę czasu. Czy Suzanne знаła Franka? Czy te dwa morderstwa coś łączy? A może jedyny wspólny element stoi kilka metrów od niego, pograżony w wyrzutach sumienia? Albo smutku?

Nie wiedział, co jest tajemnicą, a co nie, więc skłamał:

– Zderzenie z drzwiami. Brewster spowaźniał.

– Musiały to być spore drzwi, skoro ma pan takie rany.

– Szkoda, że pan ich nie widział.

Brewster się skrzywił – nie uwierzył, ale oszacował Jake'a w myślach i doszedł do wniosku, że niewiele z niego wyciągnie.

Zresztą teraz to i tak nieważne, bo Margo wzięła się w garść – wyprostowała się, oparła o latarnię, skrzyżowała ramiona na piersi. Wydawała się zmęczona, ale na Brewsterze nie robiło to wrażenia. Poczłapał w jej stronę jak grizzly na polowaniu.

– Kiedy po raz ostatni widziała pani ofiarę? Westchnęła.

– Wczoraj. Tam. – Skinęła głową w stronę parku. Jake przypomniał sobie, że Margo wczoraj pojechała na starówkę. Nie mówiła, że spotkała się z Suzanne.

– O godzinie... ? Machnęła ręką.

– Nie wiem. Koło południa. Może koło pierwszej.

– Co robiła w parku?

– Urządziła sobie piknik. – Margo uśmiechnęła się smutno.

– W środku dnia? A sklep?

– Zamknęła. Zachnął się.

– Też mi etyka pracy.

– Suzanne była wolnym duchem. – Margo stanęła w obronie reputacji przyjaciółki.

Jake widział ją tylko raz i przez kilka minut, ale słowa Margo pasowały do niej jak ulał. Beztroska, swobodna... taka osoba niewiele miałaby do powiedzenia Frankowi.

Z drugiej strony to doskonała przykrywka.

Czyżby i ona obserwowała Margo?

– Jak długo się widziałyście? – ciągnął Brewster.

– Kilka minut.

– A potem?

– Odeszłam.

– Wróciła pani do antykwariatu?

– Nie.

Brewster przyglądał jej się uważnie.

– Nie wróciła pani do pracy?

– Ja... kiepsko się czułam.

– A po południu?

– Już mówiłem – wtrącił się Jake. – Była ze mną. Zjedliśmy razem obiad.

– Kolację? – Brewster wodził wzrokiem od jednego do drugiego. – Mam nadzieję, Wise, że płaci panu od godziny. Więc spędziliście razem całe popołudnie?

– Tak. – Jake nie dodał, że jego większą część zwyczajnie przespał.

– A wieczór?

– Także – zapewnił.

Znaczące spojrzenie Brewstera mówiło to, o czym milczały usta. Jake się uśmiechnął.

Brewster znowu się zachnął.

– Domyślam się, że nie był pan przez cały czas całkowicie przytomny.

– Wystarczająco przytomny.

– A gdzieś między lunchem a kolacją przydarzyło się panu to... zderzenie. – Wskazał jego czoło.

– Tak jest.

Ale Jake się mylił, jeśli liczył, że Brewster da spokój Margo i skupi się na nim. Brewster wrócił wzrokiem do Margo.

– Gdzie jedliście?

Zawahała się. Jakieś uczucie przemknęło przez jej twarz. Strach? Wyrzuty sumienia?

– Ja... wzięłam kanapki na wynos.

– Sama pani po nie poszła?

Skinęła głową i Brewster od razu rzucił się na lukę w alibi.

– Dokąd?

– Do Daily's w Pentagon City.

Policjant posłał Jake'owi oskarżycielskie spojrzenie.

– A więc nie cały czas spędziliście razem.

– Cały, z wyjątkiem minut, kiedy Margo poszła po kanapki, co pan z pewnością sprawdzi.

Brewster, który wszystko zapisywał, wyrwał kartkę z notesu i podał przechodzącemu funkcjonariuszowi.

– Rainy, przekaż to do Pentagon City. Niech sprawdzą ten sklep. Margo podała mu czas i rodzaj zamówienia. Policjant odszedł, a Brewster zagadnął innego funkcjonariusza;

– Niech tu przyjdzie ktoś z CSU ze sprzętem. – Ponownie skupił się na Margo.

– Dlaczego wczoraj nie otworzyła pani sklepu?

– Źle się czuła – odparł szybko Jake.

– Do cholery, Wise, chyba może odpowiadać sama! Pani Scott, dlaczego wczoraj nie otworzyła pani sklepu? Czyżby spodziewała się pani kłopotów?

– Nie – odparła. – Ja... Jak już mówiłam, źle się czułam.

– Ale na tyle dobrze, żeby... spotkać się z panem Wise'em. Z antykwariatu wyszła kobieta w lateksowych rękawiczkach.

– O co chodzi, Sam? Brewster wskazał Margo.

– Pani Scott, czy możemy obejrzyć pani ręce?

– Po co? – wtrącił się Jake. Brewster skrzywił się zirytowany.

– Możemy ją zatrzymać do uzyskania nakazu, odmowa tylko przeciągnie w czasie to, co nieuniknione.

– Nie ma sprawy, Jake – mruknęła. – Ja też chcę wiedzieć. Brewster spojrzał na nią ciekawie.

– Co chce pani wiedzieć?

– Czy będzie koniec świata, czy nie. Proszę posłuchać, ona jest w szoku. To, co mówi, nie trzyma się kupy. Załatwmy to i już.

Kobieta z CSU zajęła się pracą. Brewster cały czas patrzył na Margo podejrzliwie. – Czy pani DeForrest miała wrogów? Czy ktoś chciałby ją skrzywdzić?

– Ja... nie wiem.

– Ä pani, pani Scott?

Zawahała się. Jake był pewien, że pomyślała o napastnikach w domu.

– Ja... nie wiem.

Brewster uniósł brwi. Wodził wzrokiem od niej do Jake'a.

– Nie wie pani? A jeśli nie pani, to kto miałby wiedzieć? W tym momencie nadbiegł młody policjant.

– Koroner chciałby z panem porozmawiać – powiedział do Brewstera.

– Zaraz przyjdę.

Jake wykorzystał okazję.

– A może zabiorę panią Scott do domu, niech się weźmie w garść. Jeśli będzie pan miał jeszcze jakieś pytania, za kilka godzin stawimy się na posterunku.

– Brewster! – Inny policjant machał do niego z antykwariatu.

– Już idę! – odkrzyknął zawołany i spojrzał na Jake'a. – No dobrze. Może nawet do tego czasu będziemy już mieli wyniki testów. Macie tam być kwadrans po ósmej. Nie chcę wysyłać po was moich ludzi.

Jake podniósł dwa palce.

– Słowo skauta. Brewster się zachnął.

– Pan był skautem? Do czego to dochodzi...

Brewster odszedł. Margo uniosła na Jake'a ciemne oczy wypełnione strachem.

– Jake, czy ja... czy ja to zrobiłam?

Nie teraz, chcesz, żeby ktoś nas usłyszał? – Objął ją. Zesztywniała, niepewna, czy zasłużyła na wsparcie.

– Nic mnie to nie obchodzi. Chcę wiedzieć. Zaciągnął ją do samochodu.

– Zmienisz zdanie, kiedy zamkną się za tobą drzwi celi. Gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

– Więc myślisz, że mogłabym...

– Kluczyki. – Wyciągnął rękę. Dumnie uniosła podbródek.

– Mój samochód, ja prowadzę.

– Chcesz się załamać czy prowadzić? Bo niejedno i drugie...

– Nie załamie się. – Ale oddała mu kluczyki. Ledwo wsiedli, przekreślił je w stacyjce.

Margo zacisnęła dłonie na głowie. Czowała, jakby zaraz miała wybuchnąć.

– Nie pamiętam. Niczego nie pamiętam.

– Czego nie pamiętasz?

– Że tu przyszłam, że ja... że cokolwiek zrobiłam.

– A co pamiętasz?

– Jak poszłam do sklepu. Zamówiłam kanapki. Przyniosłam je na górę.

– Żadnych luk w pamięci?

– A czy zapamiętałabym, gdyby były? Czyż nie dlatego mówi się o nich „luki”?

– Jak długo cię nie było?

– Mniej więcej godzinę, ale nikt tego nie potwierdzi. – Było jej zimno, miała wrażenie, że z jej ciała odpłynęła cała krew.

– Miałabyś za mało czasu, żeby pojechać do antykwariatu, zabić Suzanne i wrócić na drugą stronę rzeki z kanapkami.

– Mogłabym zdążyć.

– Chyba że jesteś Speedy Gonzalez. – Zawahał się i spojrzał na nią.

– Jesteś?

Uderzyła głową o zagłówek, jakby chciała w ten sposób pobudzić pamięć.

– Nie wiem. – Patrzyła w okno. – Powiedział... O Boże. – Teraz nawet nie jest w stanie mówić. – Powiedział, że poderżnięto jej... tak jak Frankowi Temple'owi. Jeśli... – Zamknęła oczy. – Jeśli załatwiłam jedno, mogłam i drugie.

Przykrył jej dłoń swoją.

– Owszem. Kto inny także. Odetchnęła głęboko.

– Boże, jak bardzo chciałabym w to uwierzyć.

– Ja także. – Zerknął na nią kątem oka. – Zwłaszcza po ostatniej nocy. Nie znoszę, kiedy kobieta, z którą sypiam, okazuje się morderczynią. Nachmurzyła się. Uwielbiał, gdy jej brwi spotykały się nad nosem, wyglądały jak rozgniewane gąsienice.

– Nie sypiamy ze sobą. Spaliśmy. Raz. Co nie znaczy, że to się powtórzy. To nie nawyk.

– Święta racja. Nawyki są najgorsze.

– A ja nie jestem morderczynią.

– Jeszcze minutę temu byłaś o tym przekonana.

Uśmiechnął się lekko, ciepło i dopiero wtedy zrozumiała, co zrobił. Sprawił, że znów w siebie uwierzyła.

Ogarnęło ją przyjemne ciepło. Kolejny akt dobrej woli w wykonaniu Jake'a Wise'a, akt, o który nikt go nie prosił i którego się nie spodziewała.

– Co Suzanne robiła w twoim kantorku? Często przychodziła?

– Ja... – Margo zamyśliła się, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

– Może. Nie jestem pewna. Wpadała pogadać, gdy nie miała klientów i się nudziła.

– Przypomniałaś to sobie?

– Ja... nie. – Czuła się głupio, męczył ją brak kontroli nad wspomnieniami. – Właściwie nie. Ale mam takie przeczucie.

– A czy przeczucie mówi ci, że przychodziła do sklepu pod twoją nieobecność? Zamyśliła się. Nic jej się nie przypomniało.

– Nie.

– Więc skoro weszła tam, to tylko po to, by się z tobą spotkać.

– Ale sklep był zamknięty. Nie było mnie tam.

– Może myślała, że jesteś.

Wymienili znaczące spojrzenia. Czyżby ktoś wczoraj tam wchodził?

– Mówiła, że jakiś facet o mnie pytał.

– Facet?

– Kolekcjoner.

– Jak wyglądał? Pokręciła głową.

– Nie pytałam. Myślałam, że to nieistotne. – Czy Suzanne żyłaby, gdyby to zrobiła? Ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

Jake poprawił się na siedzeniu.

– Chwileczkę. Mamy towarzystwo. – Ruchem głowy wskazał lusterko. – Granatowy minivan.

Była dość bystra, by spojrzeć na niego, a nie na śledzący ich wóz.

– Wąsacz i spółka? Jake pokręcił głową

– Dwaj biali mężczyźni w garniturach.

– Policja?

– Niewykluczone.

Nie podała policji adresu mieszkania w Argyle Towers przede wszystkim dlatego, że podczas pierwszej z nimi rozmowy zwyczajnie o nim zapomniała. Teraz wołała, by pozostało tajemnicą. Na razie jest jej jedyną ostoją.

– Dasz radę ich zgubić?

W odpowiedzi Jake przyspieszył, skręcił w prawo i przeciął King Street. Przed budynkiem mieszkalnym spacerował z psem facet w szlafroku, ale poza tym ulice były puste. Zero ruchu, nie ma jak się zgubić w tłoku na jezdni. Zerknął w lusterko. Granatowy wóz przyspieszył.

Jake znał wiele sposobów obserwacji. Technika „Delfin” to umieszczenie obiektu pod obserwacją ekipy, której nie sposób nie zauważyć. Śledzą cię całymi dniami, a potem znikają wracają... po pewnym czasie obiekt widzi duchy. „Wodospad” zakładał zbliżanie się, a nie oddalanie od celu. Gdy obserwujący mijął królika, czyli obiekt, skręcał, a za rogiem czekał inny wóz. Zmiana ubrań i wóz wyprzedzał śledzonego, podczas gdy tamten zwracał uwagę na to, co dzieje się za nim.

Ale to nie wyglądało na tak skomplikowane. Dwóch gości, samochód... w takiej sytuacji zawsze, wcześniej czy później, zdarza się, że obiekt znika z oczu, to nieuniknione. Musi tylko wybrać odpowiedni moment.

Skręcił w lewo, w Oronoco, i znaleźli się w dzielnicy domków jednorodzinnych. Z tyłu rozległ się pisk opon. Granatowy wóz był za nimi.

Kolejny zakręt, który Jake pokonał brawurowo jak kierowca Formuły 1, ale ogon nie tylko nie odpadł, ale jeszcze się zbliżył.

– Co oni robią?! – Margo musiała podnieść głos, żeby przekrzyczeć silnik, ale minivan w tej chwili uderzył w ich tylny zderzak, więc poznała odpowiedź na swoje pytanie. – Czy policja robi takie rzeczy?

– Chyba ich wkurzyliśmy! – odkrzyknął Jake, przejechał znak stopu, skręcił w prawo, w lewo, aż znaleźli się w północnym Waszyngtonie. Sześciopasmowa autostrada, niebieski van mógł więc swobodnie się z nimi zrównać.

Przejechali na czerwonym świetle, przemknęli przez pasy... Minęli restaurację Wendy's, stację benzynową Exxon, podmiejskie centrum handlowe. Samochody jechały teraz obok siebie, ścigały się. Byli na tyle blisko, że widzieli się wzajemnie.

– Rozpoznasz ich?! – wrzasnął Jake. Zaciskał dłonie na kierownicy, za wszelką cenę chcąc wyprzedzić ogon, jednak samochód Margo nie należał do najszybszych i nie miał przyspieszenia.

Margo spojrzała na prześladowców. Kierowca pochylał się nad kierownicą tak, że pasażer miał dostęp do okna od jego strony. Podniósł rękę. Trzymał w niej...

– Broń! – wrzasnęła i się schyliła. Jake uderzył w niebieskiego vana. Margo padła na podłogę, ale strzelec spudłował.

Tylna szyba rozpadła się z trzaskiem.

– Jezu! – Jake znowu staranował niebieskiego vana. Tym razem wóz wpadł w poślizg i uderzył w parkometr przy krawężniku.

Jake przyspieszył. Margo odwróciła się, żeby zobaczyć, co się stało. Mężczyźni z vana biegli środkiem jezdni, złożyli się do strzału...

– Na dół! – wrzasnęła, ale ich strzały nie były groźne. Znaleźli się poza zasięgiem.

Jake się wyprostował, zwolnił. Spojrzał na nią gniewnie.

– Kto to był, do cholery?

Napompowana adrenaliną ciężko opadła na oparcie. Zanim zdążyła odpowiedzieć, odezwał się Jake:

– Nie, nie odpowiadaj. Powiesz tylko, że...

– Nie wiem.

– ... nie wiesz – dokończył równocześnie z nią. – Tak myślałem. – Znowu skręcił, przejechał przez tory i nagle znaleźli się w Del Ray, blisko domu Dottie MacKay. Skręcił w prawo, objechał przecznice, zawrócił do Montgomery.

Niebieski wóz zniknął.

Margo zamknęła oczy, ale wciąż nie mogła się uspokoić.

– Dlaczego policja może chcieć nas zabić?

– Nie mają żadnego powodu. Jesteś im potrzebna jako sprawczyni. Zresztą o ile mi wiadomo, morderstwo jest nielegalne.

– Nie byli to także nasi znajomi z domu ciotki Frances.

– Niepodobni.

– Więc?

– Masz powodzenie, dziewczyno.

No dobra, ale u kogo? I dlaczego? Usiłowała sobie to przypomnieć przez mgłę zapomnienia.

– Co wiemy? Możesz ustalić tożsamość tych z wczoraj?

– Już się tym zająłem. – Czy raczej zajmie, kiedy tylko uda mu się wejść do pokoju obserwacyjnego.

Zmarszczyła brwi.

– A co ze zdjęciem w domu Franka?

– Obejmujecie się na nim.

– To nie byłam ja, Jake. Musisz mi uwierzyć.

– Ależ owszem, skarbie, ty. Wiem, co widziałem. Jej żołądek fiknął koziołka.

– Może to fotomontaż?

– Tak, to możliwe, ale kto go zrobił? I po co? Westchnęła. O czym zapomniała? Drobiazg, zaledwie o całym miesiącu.

– A Warner Park? – Jake spróbował z innego końca. – Może źle zapisałaś? W Manassas jest Water Park.

Pokręciła głową. Kolejna biała plama.

– Nie wiem.

– Najbliższy Warner Park jest w Nashville, kolejne są w Chicago, Wisconsin i na Karaibach.

– Może gdybym je zobaczyła... Może wtedy coś mi się przypomni.

– W Internecie są zdjęcia. Pokażę ci, może nawet uda nam się znaleźć zbliżenia, ale do tego jest nam potrzebny komputer. Mam laptop w samochodzie. Spojrzeli na siebie. Jego wóz nadal stał na tyłach domu przy Foxhall Road. Nie bardzo chcieli tam wracać.

– Brewster mówił, że go sprawdzili... i nikogo tam nie było – przypomniała Margo.

Choć Jake nie miał ochoty wracać do domu ciotki Frances, miał też konkretny powód, by to zrobić – nagranie z czterema typami z wczoraj.

– No dobra. Jeśli będzie czysto, zabieramy mój laptop i spadamy. To potrwa najwyżej pięć minut.

Bez problemów wyszuka ich w bazie danych, trudniej będzie dostać się do pokoju obserwacyjnego w tajemnicy przed Margo.

Zerknął na nią. Wiatr z rozbitego okna bawił się jej włosami. Przypomniał sobie ich dotyk z nocy. Nagły przypływ gorąca kazał mu się zastanowić, czy wkrótce znowu będzie potrzebowała jego usług. Oby. Jak na nawyk, miewał gorsze.

Dotarli na Foxhall Road. Jake objechał przecznice, chcąc się upewnić, że nikt ich nie śledzi i na nich nie czeka.

Dom był czysty.

Podobnie jak samochód. Wyczyszczony. Wybita szyba, przecięte opony, komputer zabrany.

– Mam komputer w domu – powiedziała Margo.

Jake powinien się wkurzyć, ale tego nie zrobił. Nagle miał świetny powód, by wejść z nią do środka.

– To źle, że dorwali twój sprzęt? – zapytała. Zauważył, jak czujnie się rozgląda. Spojrzał na samochód, który smętnie przysiadł na sflaczałych oponach.

– Nie. Minie trochę czasu, zanim złamią kody dostępu, a do tej chwili dane znikną.

– Jak to?

– Wirus zabezpieczający. Kiedy ktoś zaczyna majstrować przy kodzie dostępu, uruchamia wirusa, który niszczy dane i zmienia je w stek bzdur. Więcej zawracania głowy niż poważny problem.

– Więc skąd ta mina?

– Nienawidzę zmieniać opon.

Roześmiała się mimo powagi sytuacji. Dobrze jej z uśmiechem na twarzy.

– Masz szczęście, że nie mamy czasu. – Spojrzała na dom i przez jej twarz przebiegł nerwowy grymas.

Jake podążył za jej wzrokiem i popatrzył na wybitą szybę w drzwiach.

– No dobra, wchodzimy i wychodzimy. Bierzesz komputer i zmykamy.

Wzdrygnęła się, gdy weszli do kuchni. Nadal panował tu bałagan. Oczami wyobraźni widziała też bandytów. Na samo wspomnienie Jake'a zabołały zębra. Zatrzymał się, chciał ją uspokoić, ale słowa nie przechodziły mu przez gardło.

Gdyby nie te cholerne taśmy, też chciałby stąd uciec jak najprędzej.

- Powinniśmy to zabezpieczyć. – Wskazał drzwi z wybitą szybą. – Nie ma sensu zostawiać otwartego domu.
- Moim zdaniem szkoda na to czasu.
- Przybicie deski zajmie mi kilka minut. I powstrzyma wszelkich potencjalnych włamywaczy. Masz jakieś deski?
- Może. W piwnicy.
- Młotek i gwoździe też?
- Pewnie tak.
- Idź po komputer, ja zabezpieczę drzwi.

Zaprowadziła go do piwnicy i wskazała kilka desek, którymi może zatkać dziurę w drzwiach. Ledwo wróciła na górę, podszedł do tylnej ściany. Przebiegł palcami po powierzchni i znalazł malutki przycisk po prawej stronie. Po chwili ściana się rozsunęła.

Włączył dwa monitory i przewinał taśmę do odpowiedniego momentu. Błyskawicznie znalazł mężczyzn z alejki. Wykadrował twarze i zapisał je w nowym pliku, by wysłać do komórki TCF na Manhattanie. Starał się nie patrzeć na to, jak katują go łańcuchem, ale nie udało mu się całkowicie tego unikać. Jego telefon zadzwonił, gdy czekał, aż skończy się nagrywanie.

- Wise! – warknął Brewster. – Przyjeżdżaj tu z klientką, i to już.
- Dlaczego? Co się stało?
- W jej kantorku znaleźliśmy dziewiątkę. Której, jak twierdziła, nie ma. Jake na chwilę stracił oddech.
- Pasuje?
- Wkrótce się do wiemy. Ale do tego czasu chcę ją mieć na oku.
- Aresztuje ją pan?
- Nieważne, ale lepiej będzie, jeśli zjawi się na posterunku z własnej woli. Oddychał z coraz większym trudem.
- Zobaczę, co da się zrobić.

– To za mało – syknął Brewster. – Przywiezie mi pan tu tę kłam–czuchę albo sam ją ściągnę, w kajdankach. I wcale się nie przejmę, jeśli przy okazji trochę się poturbuje. – Rozłączył się, a Jake tępym wzrokiem patrzył, jak plik wędruje do Nowego Jorku.

Wczoraj stracił czujność. Zrobiło mu się jej żal. Czyżby się pomylił? A wczoraj... pobili go z jej powodu. Nadal czuł się jak worek treningowy. Boże. Czy to bezwzględna morderczyni, która zasłużyła sobie na wszystko, co ją spotyka?

A może jest równie niewinna, jak on tego chce?

Wybieraj, szepnął głos w jego głowie. Uratowała mu życie. Czy zabiła Franka? Czy możliwe, by zrobiła i jedno, i drugie?

Spojrzał na monitory pokazujące obraz domu. Margo postawiła komputer i monitor na biurku, starannie zwinęła kable, dodała klawiaturę. Robiło mu się niedobrze, gdy na nią patrzył, gdy wyobrażał sobie, co mogła zrobić, co już zrobiła. Z nim. Ciemne włosy, szczupłe ciało, to, jak go dotykała.

Wrzuciła plik płyt do torby.

Nagle do domu wpadło dwóch mężczyzn. Garnitury z pościgu.

Przez ułamek sekundy Jake gapił się na to z niedowierzaniem. Rzucili się na Margo, pozbawili przytomności. Zerwał się na równe nogi i popędził do drzwi. Biegł szybciej niż kiedykolwiek, ale i tak nie zdążył. Kiedy wpadł do salonu, Margo już nie było.

Kiedy Margo odzyskała przytomność, okazało się, że ma ręce skrepowane za plecami i zasłonięte oczy. Wpadła w panikę.

– Gdzie ja jestem? Co się dzieje? – Mocowała się z więzami.

– Zamknij się – odparł męski głos.

– Kim jesteś?

– Zamknij się, powiedziałem.

Zmusiła się, by opanować strach. By się skupić. Myśleć. Usłyszała wycie silnika, poczuła wstrząsy. Samochód. Jadą samochodem.

Nie ciężarówką czy furgonetką, silnik jest za słaby. Wyteżyła słuch. Nie słyhać odgłosów ruchu drogowego. Wyjechali z miasta? Czy może okna są szczelnie pozamykane?

– Dokąd mnie zabieracie? Milczenie.

Wierciła się, macała wokół siebie związanymi dłońmi. Czy siedzi na środkowym siedzeniu?

– Siedz spokojnie! – warknął męski głos i została brutalnie popchnięta.

Upadła na coś twardego. Udając, że odzyskuje równowagę, wciąż starała się coś wymacać. Klamka? Tak. Opierała się o drzwi.

Nacisnęła ją drżącymi palcami. Zablokowana. Nagle przypomniała sobie, że czasami blokada jest w klamce. Musnęła opuszkami palców podłużny kształt. Jest, wyczuwa kształt.

Zaschło jej w ustach, miała język jak papier ścierny. Oddychała gwałtownie, płytko. Dokąd jadą? Co jej zrobią?

Wolała nie wiedzieć.

Palce bolały ją z wysiłku. Powoli przysunęły się do zamka. Wolniutko go uniosły.

Cichutkie kliknięcie.

Serce skoczyło jej do gardła. Czy ktoś to słyszał? Nie. Tylko warkot silnika.

Z bijącym sercem czekała na odpowiednią chwilę. Samochód zwolnił, chyba skręcił. Czy są na autostradzie? W bocznej uliczce? Nie ma czasu, żeby się o tym przekonać.

Oby tylko nie pod ciężarówkę, pomyślała i rzuciła się do drzwi.

Potężna dłoń złapała ją za koszulę.

– Dokąd się, kurwa, wybierasz?

Pociągnął ją tak mocno, że uderzyła głową o siedzenie.

– Puść mnie! Puść! – Szarpała się, usłyszała stęknięcie, gdy z całej siły trafiła w coś barkiem. W jego nos? Szczękę?

– Trzymaj ją! – wrzasnął kierowca.

Mężczyzna obok niej uderzył ją w twarz, złapał za kark, wcisnął w fotel, aż poczuła na ustach smak skaju.

– Zamknij się. – Wcisnął jej twarz w siedzenie. Nie mogła oddychać, dusiła się kurzem.

Brutalne dłonie pociągnęły ją w górę. Kaszłała, zachłystywała się powietrzem. Przyłożył jej broń do boku.

– Nie utrudniaj tego, Margo. Wstrzymała oddech.

– Kim jesteś? Milczenie.

– Kim jesteś, do cholery? I czego ode mnie chcecie? Co ja zrobiłam? Czy w ogóle coś zrobiłam? Mówcie coś, dranie!

Samochód się zakołysał, zakreślił, zjechał ze wzgórza. Po chwili droga się wyrównała, a wóz stanął, Kierowca zgasił silnik i rzucił coś do tyłu. Usłyszała odgłos odrywanego plastiku. Taśma. Znowu taśma.

– Nie! – Energicznie kręciła głową... – Nie! Nie! – Taśma stłumiła jej dalsze protesty.

Drzwi się otworzyły, ktoś wyciągnął ją z samochodu. Upadła na ziemię. Twarda i gładka, cement albo chodnik. Za jej plecami huczał ruch uliczny. Powietrze przesycił zapach spalin. Są blisko ruchliwej drogi. Autostrady?

Prawdopodobnie – w okolicy jest ich mnóstwo.

– Wstawaj. – Kopnęli ją. Próbowwała zwinąć się w kłębek, ale jeden z nich szarpnął ją za włosy.

– Jak wolisz, Scottie? – szepnął jej do ucha. – Z bólem czy bez? Bo i tak wiesz, co będzie.

– Z bólem, draniu – syknęła, ale taśma tłumiała jej słowa.

We dwóch zmusili ją, by wstała i pchnęli do przodu. Ilekroć się zatrzymywała, kopali ją i szturchali. Wbrew sobie posuwała się naprzód. Potknęła się o coś – krawężnik? Upadła, znowu wstała, i z każdym krokiem zbliżała się do nieuniknionego końca.

Zatrzymali się nagle. Poczuli smród odpadków. Czyżby wysypisko śmieci?

Nagle wszystko zrozumiała. Mogli ją załatwić koło samochodu, ale nie chcieli ciągnąć ciała. Śmietnik to doskonale miejsce na zwłoki. Przy odrobinie szczęścia nikt jej nie znajdzie przez wiele dni... tygodni... nawet miesięcy.

Jęknęła. Nie wiedziała skąd, ale wiedziała doskonale, co robią.

Pytania nie dawały jej spokoju.

Dlaczego ja? Co ja takiego zrobiłam? Dobry Boże, powiedzcie mi przynajmniej, co zrobiłam.

– Na kolana. – Jeden z nich pchnął ją brutalnie, drugi kopnął w łydki.

Upadła. Wilgotne błoto przesiąkało przez dżinsy. Chciała się odsunąć. Kopnęli ją.

– Tylko to przeciągasz. Nie ruszaj się, a będzie po wszystkim po jednym strzale, czysto i szybko. Jak się będziesz wierciła, zaboli.

Pieprzcie się, krzyknęła bez słów.

Drżała, między jej piersiami spływał pot. Poczwała lufę na skroni. O Boże. A więc to tak. Skrępowana, zakneblowana, z zawiązanymi oczami, przeżywa ostatnie sekundy życia. Zrobiło jej się niedobrze.

Huknął strzał. I jeszcze jeden.

Drgnęła, ale nie poczuła bólu.

Chrząknięcie. I głuchy odgłos upadającego ciała. Ale przecież nie jej.

Co się stało?

Trzęsła się tak bardzo, że nie mogła się ruszyć z miejsca. Przez chwilę czekała na kolejny strzał.

Kroki. Ktoś biegnie. Wstała, zachwiała się... złapał ją. Zerwał taśmę z oczu.

Jake.

To Jake.

Ogarnęła ją ulga tak silna, że mało brakowało, a by upadła. Zerwał jej taśmę z ust, przeciął więzy na rękach, objął. Przywarła do niego, ciągle drżąc, jeszcze niepewna, czy naprawdę żyje.

Objął ją mocniej.

– W porządku?

Oddychała szybko, ciężko. Nie mogła mówić. Podniósł jej głowę, zmusił, by na niego spojrzała.

– W porządku?

Skinęła głową. O Boże, jest taki prawdziwy. W życiu nie widziała piękniejszego widoku. Potrzęsnał ją.

– Powiedz coś.

Przełknęła ślinę. Łzy dusiły ją w gardle.

– Nie śpieszyłeś się, do cholery.

Nie spieszył się na, jak się okazało, zaplecze motelu Crystal City, podupadłego lokalu w zaułku niedaleko autostrady między stanowej 395. Oprócz motelu były tu tylko puste magazyny. Motel szczycił się dwoma piętrami pokoi z wściekle kolorowymi balkonami, które odcinały się od smutnego otoczenia.

Za nim znajdowało się wysypisko, na które dwaj mężczyźni zaciągnęli Margo. Stare samochody i jakieś części, w rogu rdzewiało pół autobusu. Z autostrady dobiegał monotony warkot silników. Złe miejsce na śmierć.

Jake przeszukał oba ciała, ale nie znalazł dowodów tożsamości. Zaciągnął je do samochodu – niech tam poczekają, aż ktoś ich znajdzie. Margo nie miała siły, żeby mu pomagać. Oparł ją o ścianę budynku. Patrzył na nią z oddali – stała z pochyloną głową i rękami na piersiach, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Starał się spojrzeć na nią obiektywnie. W uszach rozbrzmiewały mu słowa Brewstera: „Proszę ją sprowadzić na posterunek”. Nie mógł jednak zapomnieć przerażenia, które go ogarnęło, gdy zobaczył ją na kolanach, z lufą na skroni.

Oparł się o drzwi samochodu i czekał, aż odzyska oddech. Jezu, ależ jest zmęczony. Bolały go zębra, co gorsza, miał przykre przecucie, że kula znaleziona w ciele Franka pochodziła z broni z jej kantorka.

Ślepy trop? A może prawda? Wybieraj, syknął głos.

Zatrzasnął drzwi samochodu i podszedł do Margo. Nadal drżała. Podniósł jej podbródek, zajrzał w granatowe oczy.

– Gotowa?

Skinął głową i wstała. Zachwiała się. Chciał ją podtrzymać, ale odepchnęła jego rękę.

– Dam sobie radę.

Z każdym krokiem była coraz silniejsza. Koniecznie chciała odzyskać panowanie nad sytuacją po tym, jak je straciła. Obserwował ją uważnie, ale już nie starał się pomóc.

Kiedy dotarli do taurusa, doszła do siebie. Oddychała spokojniej, nie trzęsa się. Ale nadal milczała. Nie chciała usiąść za kierownicą. Zajęła fotel pasażera i oparła głowę o okno. Siedziała tak przez niemal całą drogę. Ale pytania i tak nadejdą. Już szykował odpowiedzi.

Jak mnie znalazłeś, Jake?

Wybieraj. Prawda czy kłamstwo.

Zacisnął usta i skupił się na szosie. Byli zaledwie o dziesięć minut od mostu Arlington i mieszkania przy Prospect Hill. Ciekawe, czy mężczyźni o tym wiedzieli, ale gdyby tak było, dlaczego czatowali w Georgetown?

– Wiedzieli, jak się nazywam – powiedziała nagle Margo. Spojrzał na nią.

Usiadła prosto i patrzyła przed siebie.

– To klasyczna sprawa – ciągnęła. – Robota zawodowców.

– Skąd wiesz?

Spojrzała na niego z rozpaczą.

– Po prostu... wiem.

Przyjął to do wiadomości, jak ona.

– Nie mieli przy sobie dowodów tożsamości – zauważył. – Nic, ani prawa jazdy, ani karty kredytowej. Wiesz, kto chodzi bez karty kredytowej?

– Kryminaliści.

– Ja.

Przeszyła go lodowatym wzrokiem.

– Chcesz powiedzieć, że to byli federalni?

– Niewykluczone.

– Ale ty masz odznakę.

– Gdybym miał mokrą robotę do wykonania, poszedłbym bez. A oni... oni nie chcieli cię aresztować. Nie odczytali ci praw. To miała być egzekucja. Mafijna.

– Albo upozorowana. Zerknął na nią ostro.

– Skąd wiesz? Zacisnęła usta.

– Widziałam w filmie.

Czy to możliwe? Czyżby była jakoś związana ze światem przestępczym? Ale jej sprzęt przywodził na myśl wojsko, nie mafię. Czy morderczynie na usługach mafii miałyby raki?

Wystarczyłyby jej tłumik i spluwa. Ewentualnie karabin snajperski.

Z drugiej strony profesjonalista to profesjonalista. On na jej miejscu chodziłby uzbrojony po zęby. Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy.

Nie spodobał mu się kierunek, w jakim zmierzały jego myśli. Jechali w milczeniu, dopóki nie zapytała:

– Jak myślisz, Suzanne coś wiedziała? Coś widziała?

– Na przykład?

– Nie wiem. Może to miało coś wspólnego z moją wyprawą do Hiszpanii?

– Więc teraz jesteś pewna, że tam pojechałaś?

– Nie wiem. Ale mam zdjęcia. Może czas się dowiedzieć. – Wymienili spojrzenia.

Musiał dokonać wyboru. Zaufać jej albo ją wydać.

– Brewsterowi nie spodoba się, że uciekasz.

– Tak? No cóż, żaden moment nie jest odpowiedni na urlop.

Margo kazała Jake'owi objechać okolicę kilka razy, zanim pozwoliła mu zbliżyć się do Argyle Towers. Nikogo nie widzieli, ani policji, ani bandytów.

Zamachowców też nie. Nie mieli pojęcia, jak to wytłumaczyć, ale chyba nikt nie wiedział o istnieniu mieszkania w Argyle Towers.

Wpadła do apartamentu szczęśliwa, że ma takie schronienie, nieważne dlaczego. Ciężko oparła się o drzwi. Drżała. Było jej zimno, bardzo zimno, i to od kiedy...

Nie, nie będzie o tym myślała.

Jake wszedł do sypialni i po chwili wrócił z kocem.

Pokręciła głową.

– Nic mi nie jest. – Odepchnęła go i weszła do kuchni. Nie pęknie. Nie może.

Ktoś zabił Franka Temple'a. Ktoś zabił Suzanne. A teraz ktoś chce zabić ją.

Naprawdę.

„Na kolana”. Głos w jej głowie. Jego głos.

Na stoliku stała butelka whisky Glenlivet. Nalała sobie sporo do kubka, wypila.

Trzęsła jej się ręka, alkohol się wylewał. Otarła usta wierzchem dłoni.

Jake stał w progu i patrzył. Jak zawsze.

– Przestań.

Nie odrywał od niej oczu.

– Co mam przestać?

– Gapić się. – Odwróciła się tyłem, oparła o blat, upiła kolejny łyk.

– Zostaw to. – Dotknął jej ramienia. Podskoczyła.

– Nie rób tego. Nie podkradaj się do mnie.

– Posłuchaj, Margo...

– Nie dotykaj mnie!

– Dostyc tego. – Sięgnął po kubek. Cofnęła się. Alkohol się rozlał, kubek z hukiem wylądował na podłodze.

Serce podeszło jej do gardła. Wzdrygnęła się.

– Drań! – Rzuciła się do butelki, ale ją uprzedził.

– Nie na mnie jesteś zła.

W oczach miała łzy gniewu.

– Dawaj!

– Zaparzę ci kawy.

– Nie chcę cholерnej kawy.

– Szkockiej też nie chcesz.

– Pieprz się, Wise. – Sięgnęła po butelkę. Odsunął ją dalej.

– Masz ochotę, co? – Roztrzaskał ją o kran. Szkło posypało się do zlewu.

– Niech cię szlag! – Zamachnęła się, zaskoczyła go. Jego głowa odskoczyła do tyłu.

Rozcierał podbródek, obserwował ją spod zmrużonych powiek i odpowiedział lekkim ciosem. Kiedy już doszła do siebie, wycofał się z kuchni, wabił ją do salonu.

– No, chodź, Scottie. Spróbuj.

Rzuciła się na niego z pięściami w powietrzu jak kamikadze, kopnęła go prosto w pierś. Przewidział to.

Upadła. Rzucił się na nią ale przeturlała się na bok i zerwała na równe nogi. Jak on.

Był coraz bliżej, więc uderzyła go w żebra. Jęknął z bólu i wstrzymała oddech, bo uświadomiła sobie, że naprawdę sprawiła mu ból.

– Przepraszam, nie chciałam...

Jego pięść trafiła ją w podbródek. Nie mocno, ale na tyle silnie, że zatoczyła się do tyłu. Od razu wyrzucił prawą nogę do ciosu, ale złapała go za stopę i wykręciła. Runął na ziemię z głuchym odgłosem, który prawdopodobnie słychać było nawet na parterze.

Skoczyła na niego i zacisnęła kolana na jego szyi. Nie mógł się ruszyć. Oboje ciężko dyszeli. Choć bezradny, patrzył na nią takim wzrokiem, jakby nadal był panem sytuacji.

– Teraz mnie zabijesz?

Patrzyła w jego oczy, widziała chłodne wyrachowanie i coś jeszcze. Widziała zmysłowe usta. Jego usta. Jego język.

– No, dawaj, Scottie. Zabij mnie. – Mówił miękko i cicho, a jednak jego głos zagłuszał inne głosy w jej głowie. Nagle zachciało jej się spać. Ogarnęła ją błogość. Przysiadła na piętach, pozwoliła mu uwolnić ręce. Od razu pomknęły do jej pleców.

– Dalej, Scottie – szeptał, głaskał, pieścił. Przyciągał ją do siebie, coraz niżej. Niżej.

Osunęła się na niego.

– O, właśnie. Tak myślałem – szeptał między pocałunkami. Rozchyliła usta, wpuściła go do środka. Jest ciepły, taki ciepły. Zapomnieć, pomóż mi zapomnieć.

Jego dłonie odnalazły jej piersi, muskały je. Sutki nabrzmiały. Z jękiem zamknęła oczy.

– O, tak – szepnął. – Właśnie tak.

Szarpała go za koszulę, ściągała ją. Nadal miał sińce. Obsypała je pocałunkami. Tak jej przykro, tak bardzo przykro. Dotknął jej karku, wplótł dłoń we włosy. A potem odnalazł drogę pod jej koszulę. W ciągu sekundy pozbyła się ubrania. Przywarła do niego, napawała się jego twardym ciałem, siłą ramion, szerokimi barkami. Taki potężny, taki prawdziwy. Taki stały. Nie mogła przestać, nagle chciała go wchłonąć, gryźć, lizać.

Nie mogła się doczekać, kiedy pozbędą się reszty ubrań; spłonie, zanim to się stanie. Szarpała jego dzinsy. Pozbawiał ją resztek tchu. Szybciej, szybciej, póki nie słyszy głosów.

Jake był gotów, szukał jej. Naprowadził ją na siebie i opadła na niego z ulgą. Płomień strawił wszystko. Tembr głosu zabójcy, dotyk stali na skroni, złość, strach, upokorzenie...

Jake jest z nią. To jest rzeczywistość. Jego ramiona, napięte mięśnie, nabrzmiałe żyły na karku. Piękno jego ciała poruszało ją do głębi. A jego twarz, wykrzywiona namiętnością...

I nagle to było coś więcej, niż chciała. Więcej niż mogła znieść z kimkolwiek. Bo to on. Jake. W niej, w jej ciele i duszy. Jake, który przy niej trwa. Ratuje. Dowodzi swojej wiary w nią własnym ciałem.

Znowu drżała. Drobnymi dreszczykami samoświadomości.

Żyje. I nie jest sama.

– Chodź tutaj – szepnął ochryple. Podniósł się, przyciągnął ją do siebie i znalazła się na nim. Pociągnął ją i nakrył jej usta swoimi.

Wszystko narastało. Stokrotnie. Płomień, pożądanie, poczucie bliskości.

– Jake – jęknęła miękko.

– Jestem tu, kochanie. Żyjesz. Wszystko w porządku. Jestem przy tobie.

Ich pot spływał jednym wspólnym strumieniem. Jego biodra poruszały się zmysłowo, odpychały ją i zarazem przyciągały. Był cudownie twardy, ale jego usta... Boże, jego usta, gorące i miękkie. Płynny ogień.

Obrysował jej wargi językiem, całował po twarzy. Zadrżała i przyciągnęła go do siebie. Czowała, jak jego język wnika w nią tak samo, jak jego męskość, głęboko, zaborczo, szybko.

Dyszała spragniona powietrza, odchyliła się, wygięła w łuk. Jej piersi nabrzmiały, sutki skuliły się w twarde pączki na zimnie, ale jego dłonie je ogrzewały, a po chwili zrobiły to jego usta. Płonęła, rozpalona do białości.

Tak, szeptała bezgłośnie. Dotykaj mnie. Bądź moją przeszłością, terazniejszością! przyszością.

Opierali się na rękach, ich ciała tworzyły literę V. Spojrzała na punkt złączenia, wbiła wzrok w ten punkt, gdzie w nią wchodził. Patrzyła, jak się porusza.

Każdy ruch przeszywał ją rozkosznym prądem.

Boże, co on z nią wyrabia?

Patrzyła chciwie na miejsce ich zjednoczenia. Przeraziło ją i podniecało tak pełne życia, że nie mogła w to uwierzyć. Jej życie to swobodny lot, a tu nagle ma kogoś. Ma oparcie.

I wtedy jej dotknął. Jego palce odnalazły właściwy punkt i pomknęła w niebo jak fajerwerki, z krzykiem i blaskiem.

Tulił ją do siebie, gdy szczytowała, zaciskając się na nim konwulsyjnie. Potem i on jęknął, i skończył.

A później, nie wiadomo skąd, przyszły łzy.

– O Boże. – Próbowała je powstrzymać, gorączkowo łapała oddech. Jake dyszał ciężko, ciągle drżał. Ale trzymał ją z całej siły, tak mocno, że czuła bicie jego serca przy swoim.

– Cholera. ~ Walczyła ze sobą z gniewnym szlochem, który narastał w piersi. Zacisnęła dłonie. – Cholera! – Okładała go pięściami po plecach, wstrząsana szlochem.

Nie skrzywił się, nie odsunął jej. Nie pocieszał jej, nie łagodził. Po prostu tulił ją, gdy płakała.

Dlaczego Frank kazał ci mnie obserwować?

Leżeli na kanapie. Naga Margo między udami Jake'a, oparta o jego klatkę piersiową. Podobało mu się to, przypadła mu do gustu miękkość jej skóry. Nie płakała już, idiotyczne poczucie bliskości było wygodne, poczuli się jak starzy kochankowie. To tylko złudzenie, zważywszy że gdzieś w jego głowie ciągle czaiły się wątpliwości – Brewster i pistolet, który znalazł – a jednak rozpaczliwie chciał to złudzenie podtrzymać.

Odgarnął jej włosy z czoła i uniósł przy tym głowę.

– Znam go od dziecka. Był przyjacielem mojego ojca.

– Hm — mruknęła i potarła głową o jego pierś. – I tyle? Więzi rodzinne?

– To jeszcze... – Głaskał jej szyję, przesuwając dłonią wzdłuż barku i ramienia.

Nie mógł się nacieszyć jej jedwabistą, jędrną skórą. – Byłem jego dłużnikiem.

– To chyba był spory dług.

Jake wzruszył ramionami, przede wszystkim żeby odsunąć jej nie–zadane jeszcze pytanie. Dużo czasu upłynęło, odkąd ostatnio mówił o Danice.

– Znałem kogoś, kto zginął podczas wykonywania zadania. Frank pomógł mi sprowadzić ciało.

– Kto to był?

– Ona...

– Ona? – Margo poruszyła się w jego ramionach. – Dużo dla ciebie znaczyła – domyśliła się.

– No cóż... – westchnął. – To było dawno.

Obserwowała go, gdy myślami cofnął się do roku 1999. Dwa lata po tym, jak wstąpił do TCF. Serbia była ostatnim miejscem, gdzie trafił jako funkcjonariusz sił specjalnych. Frank wysłał go do Belgradu z ekipą agentów z różnych agencji rządowych, by pomogli grupce młodych ludzi, którzy zainicjowali ruch oporu. Naklejki i plakaty, zabawne napisy na

koszulkach i graffiti na murach – to była ich broń w walce z reżimem Miloševića.

Oficjalnie Jake był sponsorem, facetem z pieniędzmi na farby. W rzeczywistości miał wybadać związki między Serbami a handlarzami narkotyków z Tadżykistanu, którzy na Bałkanach finansowali komórki terrorystyczne. Ale wciągnął go spontaniczny entuzjazm, z którym te dzieciaki rzuciły się w wir działań.

– Dzieciaki? – zapytała Margo. – Czy jeden dzieciak? Uśmiechnął się smutno.
– Jeden szczególnie. Danka. Mój kontakt. – Zobaczył ją znowu, drobną, jasnowłosą iskierkę z niewyczerpaną energią i uśmiechem, który nigdy nie zniknął z jej twarzy. Od razu ją polubił. Z czasem nauczył się podziwiać jej zaangażowanie w obalenie nacjonalistów, którzy objęli władzę w jej kraju i wprowadzili dyktaturę. – Miała zaledwie dziewiętnaście lat. Żyła w ubóstwie w porównaniu z nastolatkami z Zachodu i usiłowała obalić rząd za pomocą ulotek i plakatów.

Margo wróciła w jego ramiona.

– Zabili ją?

– Niczego się nie bała. Za dużo ryzykowała. – Westchnął. – Krzyczałem na nią, a ona śmiała się, przyznawała mi rację i dalej robiła to, co chciała.

– I kochała cię.

– Tak mówiła.

– Ale...

Objął ją mocniej, wdychał woń jej włosów — nie wiedział, czy to szampon, czy jej własny zapach – i przypomniał sobie ból tamtych odległych dni.

– Świat wygląda inaczej, gdy się ma dziewiętnaście lat. Tak naprawdę wcale mnie nie potrzebowała, oczywiście poza finansowaniem jej walki. –

Uśmiechnął się smutno. – W czasie pokoju kiepska byłaby z nas para.

Wpatrywał się w przestrzeń, widział jedynie rozmazane niebo i kosmyki ciemnych włosów Margo. Potrzebowała go. Zdziwiająco, jaką to robi różnicę. Zdenerwowany dotknął jej biodra.

– Skąd to masz?

– Co?

– Bliznę.

– O czym ty mówisz?

– O tym. – Dotknął jej. – To blizna po nożu.

Odwróciła głowę, żeby zobaczyć. Strach i zdumienie na jej twarzy mówiły mu wszystko – nie wiedziała, że ma tę bliznę. Ściągnęła brwi.

– Mam tego dosyć. – Zerwała się z kanapy i szybko się ubrała. – Mam dosyć tego, że nie wiem, kim jestem.

Również wstał i złapał ją, gdy biegła do drzwi.

– No dobra – przyciągnął ją do siebie. – Nosisz znamię szatana. I co z tego?

– Łatwo ci mówić.

To prawda. Patrzyła na niego. Ciemnoniebieskie oczy znowu wydawały się czarne. Czyżby patrzył w oczy zabójczym Franka? Czy to w nie Frank spojrział w ostatniej chwili życia?

Przeszył go niepokój. Puścił ją, cofnął się.

– Umieram z głodu, ty nie? – To nieprawda, ale potrzebował przestrzeni, a mając ją w objęciach, nie mógł logicznie myśleć. Poszedł do kuchni. Deptała mu po piętach.

– Jedna rzecz ciągle nie daje mi spokoju – powiedziała. Otworzył lodówkę. Na metalowej półce leżała tylko kanapka, którą kupiła dzień wcześniej... Wyciągnął po nią rękę.

– Tak?

– Jakim cudem odnalazłeś mnie w motelu?

Jej ręka zamarła w powietrzu, znieruchomiał pochylony nad lodówką.

– Jake?

– Tak? – Zamknął drzwiczki i jak kretyn gapił się na logo na lodówce. Nazwa firmy niesła się echem po jego głowie. Amana, Amana, Amana. Słowo było tylko zlepkiem dźwięków. Cały czas panicznie szukał wytłumaczenia, które nie naruszy pierwszych kielków zaufania między nimi.

Bo oczywiście wszystko to fikcja. Ile razy musiał to sobie powtarzać? Bliskość między nimi to iluzja stworzona przypadkiem. Zrobił, co musiał, by się nie załamała, przynajmniej dopóki nie poznają prawdy o Franku. A jednak jakaś jego część, ta sama, która ciągle do niej wracała, chciała za wszelką cenę zatrzymać tę iluzję na zawsze.

– W jaki sposób mnie znalazłeś? – Stała w progu.

Odwrócił się, oparł o lodówkę i chłonał oczekujące, ale i ufne spojrzenie ciemnoniebieskich oczu. – Co powiesz na telepatię?

Zamrugła szybko, czujność powróciła.

– To samo co ty na porwanie przez UFO.

– Tego się obawiałem.

– Więc?

– Więc... co? – Grał na zwłokę.

– Skąd wiedziałeś, gdzie jestem? Nie odpowiadał.

Podeszła bliżej.

– Jake?

Westchnął, poszukał w kieszeni, wyjął odbiornik GPS i podał jej. Poszedł do saloniku. Nagle pożałował, że rozbił butelkę whisky. Biegła za nim.

– Co to jest? Odbiornik?

– Tak. – Odwrócił się, oparł o ścianę i czekał, aż sama poskłada wszystkie kawałki tej układanki.

– I co odbiera?

– Ciebie.

Podeszła bliżej, wpatrzona w niego. Powoli uniósł rękę i dotknął jej karku.

Przeszył ją dreszcz, który i on poczuł w opuszkach palców.

– Masz tu implant. Nadajnik. Albo tutaj. – Przesunął dłoń na jej lewe ramię. – Albo tutaj.

Zamrugwała szybko.

– Implant?

Skinął głową. Wyglądała, jakby było jej niedobrze. On także nie czuł się najlepiej.

– Kto mi to wszczepił?

– Nie wiem. Ale to Frank dał mi odbiornik. – Ruchem głowy wskazał urządzenie w jej dłoni.

Już otwierał usta, by powiedzieć jej wszystko, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Może uda mu się zachować chociaż część tajemnicy.

To nie uszło jej uwagi.

– Jest coś więcej, tak?

Po chwili wahania skinął głową.

– Dom. Dom ciotki Frances.

– Tak?

– To nie jest... – odchrząknął. – To... no cóż, to nie jest dom ciotki Frances.

– Co ty opowiadasz?

– To kryjówka TCF naszpikowana od piwnicy po strych nowoczesnymi mikrofonami i kamerami.

Pobladła, złapała się oparcia skórzanego fotela.

– To niemożliwe. Pamiętam...

– Frank nazywał się Francis. Francis Augustus Tempie. Jęknęła cicho. Opadła na fotel.

– Chcesz powiedzieć, że moja ciotka Frances to Frank Tempie?

– Tak.

– A moje wspomnienia? Moja siostra, moja... O Boże. To wszystko nieprawda? Moi rodzice, moja... – Załamała się, a on najchętniej ukryłby się w mysiej dziurze. Zostało jej tak niewiele wspomnień, a teraz odbierał jej i to, zrzucił je w bezdenną otchłań, z których nigdy ich nie odzyska. I w zamian nie dał jej niczego. Nie wiedział, kim jest, nie wiedział, co się z nią stało.

Gwałtownie pokręciła głową.

– Nie, nie wierzę w to. – Jej rysy nagle stwardniały. ^ Nie wierzę ci. W ani jedno słowo.

– Posłuchaj, strasznie mi przykro, żałuję, że... Zerwała się z fotela.

– Pokaż mi.

– Jak to? Co mam ci pokazać...

– Skoro mam uwierzyć, że wszystkie moje wspomnienia to kłamstwo, musisz mi to udowodnić.

– To zbyt niebezpieczne – zaprotestował.

– Nic mnie to nie obchodzi. – Porwała ze stolika kluczyki, które sam tam położył. – Jeśli się boisz, zostań tutaj.

Wybiegła na zewnątrz.

– Margo! – Ruszył za nią złapał ją za ramię i obrócił w swoją stronę. – Niewykluczone że nadal obserwują dom. Nie możesz tam wrócić! Zamachnęła się wolną ręką i z całej siły uderzyła go w ramię, w najbardziej bolesną ranę. Jęknęła i puścił ją. Puściła się pędem w stronę schodów. – Jezu Chryste. – Pognał za nią ale zanim dotarł do garażu, zdążyła już wsiąść do samochodu. Wyjechałaby bez niego, ale zastąpił jej drogę. Mało brakowało, a by go przejechała, ale w ostatniej chwili zahamowała z piskiem opon. Wsiadł bez słowa.

Z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę i dłońmi na kierownicy Margo jechała prosto na Foxhall Road. Milczeli przez całą drogę, dopiero niedaleko domu Jake powiedział jej, jak wjechać w tylny zaułek.

Zaparkowała, mało nie łamiąc przy tym dźwigni ręcznego hamulca, i rzuciła mu wyzywające spojrzenie. Proszę bardzo, udowodnij mi, że to wszystko prawda, zdawały się mówić jej oczy.

Weszli do szopy. Cały czas rozglądał się, czekał, że ktoś ich zaatakuje, ale bez problemów wystukał kod i drzwi otworzyły się bezszelestnie. Minęła go. Jej twarz przypominała lodowatą maskę.

W pokoju obserwacyjnym rozglądała się uważnie. Jej uwagi nie uszły łóżko polowe z kocem, jego torba podróżna i porozrzucane ciuchy. Przeniosła wzrok na monitory i przyglądała się im, każdemu po kolei. W tej chwili na wszystkich widniała ona z dwoma zbirami. Jeden z nich zakrywał jej usta ręką.

– Ty draniu. Milczał.

Wcisnął odpowiedni guzik i monitory ożyły. Na jednym pojawiła się pusta w tej chwili sypialnia. Komputer nadal czekał na stoliku.

– Jak to działa? – W jej głosie był lodowaty spokój.

Pokazał jej. Usiadła wygodnie i naciskała kolejne przyciski. Obrazy migąły coraz szybciej. Zatrzymała taśmę i patrzyła, jak demoluje sypialnię. Zastygła w bezruchu, zacisnęła usta.

– Margo...

Znowu cofnęła nagranie i znowu je zatrzymała. Tym razem obserwowała, jak się rozbiera. Na wszystkich monitorach widniała jej naga postać.

Jake pochylił się nad nią i wyłączył sprzęt. Monitory pociemniały.

– Wynoś się – wycedziła spokojnie, ciągle wpatrzona w ścianę monitorów.

– Chciałem cię chronić – powiedział, choć sam nie był pewien, czy to prawda.

– Akurat. Wynoś się. I to już.

Odwrócił jej fotel, pochylił się nad nią, zasłonił sobą cały widok.

– Uratowałem ci życie. Okaż mi odrobinę wdzięczności. – Kopnęła go, ale zablokował ruch i zmusił ją, by wstała. – Jeszcze jeden taki numer, a...

– Jesteśmy kwita. – Wstręt w jej głosie był niemal namacalny. Oddałby dużo, by go nie słyszeć.

– Nie do końca. Brewster znalazł w twoim gabinecie pistolet. Dziewięć milimetrów. No, wiesz, ten, którego, jak się zaklinałaś, nie masz. – Przyglądał jej się uważnie, szukał najmniejszych śladów kłamstwa albo prawdy, ale

widział jedynie śmiertelną bladość. Nie zwracał na to uwagi. Mówił dalej: – Stawiam dziesięć do jednego, że to z tej broni strzelano do Franka. Brewster chce cię widzieć, kochanie. Pewnie ma już nakaz aresztowania.

– A ty mu powiesz, gdzie jestem?

– Może. Jeszcze nie zdecydowałem.

Nagle zza pleców wyciągnęła nóż – skąd go wzięła, do cholery? –i zanim się zorientował, przyłożyła mu ostrze do szyi. – No, to się zdecyduj, kochanie.

Właściwie nie zauważył jej ruchu. Czuł na sobie jej twarde, bezlitosne spojrzenie. Nóż naciskał na skórę. Podniósł ręce. Kazała mu podejść do ściany.

– Na ziemię, i to już! – Powoli osunął się na podłogę. Ze sterty jego ubrań wzięła skórzany pasek i skrepowała mu ręce, zanim przywiązała je do słupa.

– Czas się zdecydować, Jake. Albo rybka – zaciągnęła pasek – albo pipka.

Obeszła go, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Jeszcze jedno. – Pochyliła się ostrożnie i przeszukała mu kieszenie. Była bardzo blisko, dotykała go, pieściła miękką skórą. Pachniała skórą – pewnie od rękojeści noża – i szamponem, i ten zapach cofał go w czasie o kilka godzin, do jej mieszkania i seksu.

– Zbliź się jeszcze trochę, a ugryzę – ostrzegł spokojnie. Zesztywniała na moment, ale po chwili podjęła poszukiwania. Szybko znalazła to, czego szukała.

– Nie obawiaj się, mam twoje zęby. – Podrzuciła odbiornik.

– Więc wracamy do telepatii – stwierdził.

Wstała i rzuciła nóż na ziemię. Teraz znajdował się tuż poza zasięgiem jego prawej stopy.

– Albo jestem po stronie dobra, albo nie. Ciekawe, ile czasu minie, zanim to rozpracujesz.

Margo zakładała, że ma maksimum godzinę, zanim Jake się wyswobodzi. Nie marnowała czasu. Pobiegła do samochodu i tam dopadły ją dreszcze tak silne, że nie mogła trafić kluczykiem do zamka, a gdy się jej udało, z trudem trafiła w stacyjkę. Pokonana opadła na kierownicę i zaciskała na niej dłonie, czekając, aż dreszcze ustąpią. Na próżno. Straciła ostatni punkt oparcia, dryfowała na krze, ostatnia ludzka istota na lodowym morzu.

Sama. Sama. To słowo nie dawało jej spokoju.

Stłumiła panikę, opanowała strach. Była idiotką, ufając Jake'owi. Samotność jest lepsza, prawda? Samotność to bezpieczeństwo.

Przekręciła kluczyk w stacyjce, ale zanim po raz ostatni wyjechała z tego przekłętego domu, wysiadła i cisnęła odbiornik pod koła. Przejechała po nim raz, cofnęła się i zmiażdżyła go ponownie. Odczuła ogromną satysfakcję.

Na ulicach nie było korków, więc szybciej niż zazwyczaj wróciła do Argyle Towers. Świadomość, że Jake tu z nią był, że czuła jego bliskość, fizycznie i duchowo, nie dawała jej spokoju, sprawiała ból, ale nie chciała o tym myśleć, zepchnęła więc ją na samo dno pamięci.

Energicznie wyrzuciła na stół zawartość małego sejfu imitującego książkę. Trzy paszporty i gotówka powędrowały do jej torebki. W szafie w sypialni znalazła walizkę, wrzuciła do niej trochę ubrań i stojąc w drzwiach, zadzwoniła do linii lotniczych. Jeszcze tylko kilka drobiazgów do załatwienia i jechała na lotnisko. O piątej leciała do Londynu.

Kiedy tylko zgaszono napis „Zapiąć pasy”, wstała i poszła do łazienki. Zamknęła się starannie, upięła włosy na czubku głowy i stanęła tyłem do lustra. W drodze na lotnisko kupiła małe lustro i teraz oglądała w nim swoje odbicie. Obmacywała sobie szyję, szukała zgrubienia, blizny, czegokolwiek, co zdradzi miejsce, w którym jest implant. Próbowiła już raz, w domu, ale za bardzo się spieszyła, zresztą naprawdę nie miała wtedy czasu i dała sobie spokój. Najważniejsze to wyjechać, zanim Jake się uwolni i podąży jej śladem. Sprawdziła już ręce i niczego nie znalazła. Teraz obmacywała sobie kark, powoli, metodycznie, aż rozboleły ją uniesione ręce. Kiedy w końcu odkryła minimalne zgrubienie, była zła potem. Nikło pod linią włosów, tak że w lustrze nie sposób go zobaczyć, ale wyczuła je pod palcami. Zrobiło jej się niedobrze. Ktoś rozciął jej skórę i umieścił nadajnik.

Rozpuściła włosy i opadły ciemną falą zasłaniając zdradziecki punkt. Było jej gorąco, miała mokre dłonie. Nie dysponowała niczym ostrym, żadnym nożem, żeby się tego pozbyć, choć rozpaczliwie tego pragnęła.

Zmoczyła papierowy ręcznik i przetarła twarz. Nie ma ciotki Frances, siostry Barbary, pewnie nie ma też rodziców, Toma i Ellen. I nie ma St. Louis.

Nie, chwileczkę. Znieruchomiała i uczepiła się jedynej rzeczy, w której prawdziwość nie wątpiła. St. Louis jest prawdziwe, książka, ten zbiór baśni, pochodzi z biblioteki publicznej miasta St. Louis. To fakt.

Ale w jej głowie już szeptał sceptyczny głos. Może podrzucili jej tę książkę i jest równie nieprawdziwa jak dom? Nie może ufać nikomu i niczemu.

Poczuła falę paniki. Zamknęła oczy i po raz tysięczny usiłowała odnaleźć coś we wspomnieniach, coś konkretnego, jedną myśl, która stanowiłaby więź z jej prawdziwą przeszłością. Jedyne, co usłyszała, to głuchy odgłos upadającego ciała. I krew. Znowu krzyk dziecka. Gwałtownie uniosła powieki. Zaciśnęła dłonie na małej umywalce i ukryła te wspomnienia za masywnymi drzwiami. Energicznym ruchem otworzyła drzwi Ubikacji i wróciła na swoje miejsce. Skoro jej rodzina nie istnieje, skąd wspomnienia? A skoro wspomnienia o rodzinie są fałszywe, może i w tych innych, tych, o których nawet nie chce myśleć, też nie ma odrobiny prawdy?

Uczepiła się tej myśli jak tonący brzytwy. Zobaczyła pierwszy promyk nadziei. Dottie MacKay zazwyczaj spała jak kamień. Nawet po tym, jak znalazła ciało Franka Tempie'a w kałuży krwi, zasypiała bez problemów.

„To oznaka czystego sumienia”, mawiał jej świętej pamięci mąż i chyba miał rację. Kłopoty dnia nigdy nie zakłócały jej nocnego odpoczynku.

Ale od śmierci Franka dni nie były już tak miłe. Przełożeni wysłali ją na zwolnienie lekarskie, jakby była chorowitą staruszką i jeszcze się nie

przyzwyczała do beczynności. Drażniła ją i kiedy córka zostawiła z Dottie wnuka, odreagowała na chłopcu. Dwulatek przeraził się tak bardzo, że dopiero wyprawa do sklepu z zabawkami przywróciła mu dobry humor.

– Odpocznij – namawiała ją córka, nie po raz pierwszy zresztą. – Przejdź na emeryturę. Dałaś z siebie wystarczająco dużo. Czas zająć się sobą.

Tylko że Dottie nie umiała zajmować się sobą. Nie miała pojęcia, jak się do tego zabrać.

Wczoraj pozwolili jej wrócić do biura. Co prawda miała tylko wszystko popakować, ale przynajmniej było coś do roboty. Wystroiła się w granatowy kostium, który kupiła w Hecht na wielkanocnej wyprzedaży, i przypięła złotą broszkę, prezent od Franka na ostatnie urodziny.

– Ptaszek dla ptaszka – zażartował, bo lubił się z nią przekomarzać, gdy nuciała pod nosem.

Wszystkie agencje, od Bezpieczeństwa Narodowego po CIA i NSA, przysłały swoich ludzi. Buldogi o kamiennych twarzach stały bez ruchu, gdy segregowała akta Franka, pakowała je i starannie podpisywała pudła.

Gdyby to od niej zależało, rozkoszowałaby się tą pracą, wspominała wszystkie lata spędzone z Frankiem, ale mężczyźni dali jej jasno do zrozumienia, że ma się z tym uporać w jeden dzień. Gdy skończyła, wszystko wynieśli. Jeden taszczył, dwaj pilnowali. Patrzyła, jak znikają za rogiem, a wraz z nimi odchodzi spora część jej życia zawodowego.

Nie myślała o tym. Może i nie jest gotowa na nową przygodę, ale nic na to nie poradzi.

Kiedy zabrali ostatnie pudło, spakowała swoje rzeczy: przycisk do papieru, który dostała od niego wieki temu, świąteczną fotografię córki, zięcia i wnuka. Wróciła do domu, upiekła pieczeń, połowę zjadła, resztę zamroziła. Tego wieczoru położyła się spać jak zwykle przekonana, że obudzi się rano wypoczęta i beztraska.

Tak więc gdy uniosła powieki i zobaczyła mrok, sapnęła ze zdziwieniem. Po chwili przypomniała sobie, co ją obudziło.

Nazwisko.

Margo poleciała z Londynu do Szwajcarii, a stamtąd, trzy dni później, do Hiszpanii. Gdy lądowała w Madrycie, mały nadajnik, do niedawna tkwiący w jej karku, zmienił się w kupkę popiołu, jak inne odpady medyczne w klinice Hirslanden.

Uspokojona myślą, że Jake już jej nie odnajdzie za pomocą GPS, zarezerwowała lot do Sewilli.

Wylądowała późnym popołudniem. Hotelik Maria Luisa stał w cieniu, przy Plaža Santa Maria la Blanca w dzielnicy Santa Cruz.

Daleko mu do połączanego przepychu Marriottów w Rosslyn czy Pentagon City. Utrzymany w stylu mauretańskim, kusił złoto-błękitnymi kafelkami na ścianach. Poręcz z kutego żelaza otaczała krużganek nad patio.

Hotelik był uroczo staroświecki, ale nie tak anonimowy, jak by tego chciała. Jednak jego nazwę znalazła na skrawku papieru w sejfie, więc zdecydowała się zatrzymać właśnie tutaj. Może jest miłośniczką historii i lubi styl mauretański? A może to pierwszy lepszy hotel, który wpadł jej w oczy? Niewykluczone także, że zatrzymywała się tu już przedtem. Jeśli tak, nie miała o tym pojęcia, i ta myśl doprowadzała ją do szału.

Zameldowała się, zdrzemnęła i obudziła koło dziesiątej wieczorem.

Za oknem zapadł zmrok, kocie łby placu nikły w ciemności.

Włożyła wąskie czarne spodnie, szarą bluzkę i luźną czarną marynarkę. Kiedy się pakowała, nie zwracała uwagi na to, co zabiera, i teraz po raz pierwszy widziała te ubrania. Były jedwabście miękkie i pozwalały na dużą swobodę ruchów. Instynktownie wiedziała, że właśnie dlatego znalazły się w jej garderobie.

Spięła włosy na karku. Zasłaniały małą bliznę, niemal niewidoczną, i zbiegła do recepcji. Recepcjonista musiał spojrzeć na mapę, ale w końcu znalazł Calle Gitana i wezwał jej taksówkę. Uliczka znajdowała się w dzielnicy Triana, po drugiej stronie Gwadalkiwiru. Kierowca skręcił na most. Patrzyła na kamienne kolumny przy moście, próbowała dostrzec lustro wody. Czy to tę rzekę widywała we wspomnieniach? Czy to tę mroczną toń zapamiętała w objęciach nocy?

Taksówkarz zabawiał ją opowieściami dla turystów. Nie mogła się skupić, prawie go nie słyszała. Trafiały do niej tylko urywki: Triana to tradycyjna dzielnica cygańska, artystyczne serce miasta, stary port rybacki...

Dzielnica ożywała teraz, po dwudziestej drugiej. Wzdłuż rzeki spacerowały grupki ludzi, w barach i restauracjach pojawiali się coraz liczniejsi klienci. Taksówka wdzierała się coraz głębiej w starą dzielnicę, aż uliczki stały się zbyt wąskie, by samochód mógł w nie wjechać. Zapłaciła za kurs i ruszyła na piechotę.

Uliczki były coraz węższe, coraz bardziej kręte, latarnie uliczne stały w coraz większych odstępach. O ile dzielnica, w której mieszkała, pochodziła z czasów kocich łbów, te uliczki miały normalne chodniki, wzdłuż których wyrastały małe bielone domki. Na niektórych wzrok przyciągały wzory z kafelków. Za furkami z żelaza czekały małe ogródki pełne bujnej roślinności. Czasami z balkonu wylewała się wściekle różowa masa bugenwilli.

Okolica była biedna i zapomniana przez Boga. Drewniane okiennice wręcz błagały o malowanie. Sfatygowane drzwi nie zachęcały do wejścia. Minęła wiekowy, opuszczony klasztor, Hermanos de Cristo. Najwyraźniej w tej części Triany nikt jeszcze nie słyszał o rewitalizacji.

Taksówkarz tłumaczył jej mętnie, jak dojść do Calle Gitana, i choć szła zgodnie z jego wskazówkami, nie trafiła na placyk, o którym mówił.

Zmęczona oparła się o mur i zamknęła oczy. Krew dudniła jej w uszach. Gdzieś tu, w pobliżu, czekają odpowiedzi, których szuka. I które być może nie przypadną jej do gustu.

Ktoś szarpnął ją za rękę.

Chłopiec. Na oko dziesięciolatek. Chudy, ciemnowłosy, brudny.

– Bienvenidos, señorita. Que placer de verla nuevamente. – Dzień dobry pani.

Jak miło znowu panią widzieć.

Patrzyła na niego, tłumaczyła jego słowa, aż rozbrzmiewały echem w jej głowie. Znowu.

– Widziałeś mnie już? – zapytała po hiszpańsku płynnie, choć wcale się tego nie spodziewała.

Wzruszył ramionami. W jego oczach pojawił się błysk wyrachowania.

– Niewykluczone.

Uklękła przy nim, złapała za ramiona.

– A gdzie mnie widziałeś?

Nie zauważył jej napięcia. Wyciągnął rękę.

– Za dziesięć euro zapomnę. Jestem bardzo dobry w zapominaniu.

– Nie, nie, chcę, żebyś sobie przypomniiał. Zdziwił się wyraźnie.

– Naprawdę?

– Si. – Poszukała w plecaku, wyjęła banknot, podała mu. – Powiedz mi.

Pieniądze zniknęły w przepastnej kieszeni jego spodni. Pokręcił głową.

– Nie rozumiem.

– Skąd mnie znasz?

– Pani już tu była.

– Na Calle Gitana?

– Si, Si. Calle Gitana.

– Możesz mnie tam zaprowadzić?

– Nie pamięta pani, jak tam dojść?

– Nie. – Podała mu kolejny banknot. – Potrzebny mi przewodnik.

– Zaprowadzę panią nad rzekę, do najlepszej knajpy z pescado.

– Wolę Calle Gitana. Zmarszczył brwi, pokręcił głową.

– Chyba jednak nie chce pani tam iść.

– Dlaczego?

– Tam jest teraz okropnie.

– Okropnie? Jak to? – Pokazała mu kolejny banknot, ale cofnęła rękę, gdy po niego sięgał.

– No dobra – powiedział po angielsku i wzruszył ramionami. – Va-manos.

Poprowadził ją tą samą drogą, którą przyszła, skręcił w lewo tam, gdzie ona skręciła w prawo, co od razu zauważyła. Minęli mały placzyk, który wychudzony mężczyzna zamiatał energicznie, i skręcili w coś, co przypominało raczej przesmyk między dwoma budynkami niż uliczkę. A jednak na murze wisiała tabliczka z napisem „Calle Gitana”.

Oblizwała usta, nagle całkiem suche.

– Alli – wskazał chłopiec i zmusiła się, by za nim iść. Wprowadził ją w wąski zaułek. Im dalej szli, tym większe odczuwała napięcie. Niczego nie poznawała, ale jej ciało szykowało się na szok.

W końcu mały zatrzymał się na rogu czy raczej tam, gdzie kiedyś był róg.

Teraz był to stos osmalonych kamieni.

– Calle Gitana 44 – oznajmił.

To, co tu stało, zostało zrównane z ziemią. W powietrzu nadal unosił się swąd spalenizny.

Patrzyła na zgliszcza, przerażona i zagubiona.

Niezbyt przyjemny widok. Odwróciła się gwałtownie.

Z sąsiedniej bramy wynurzył się Jake. Oparł się o mur, schował rękę do kieszeni. Przyglądał jej się chłodnym wzrokiem.

Jej serce zabiło mocniej na jego widok, co oczywiście bardzo ją zirytowało.

Przypomniała sobie dzień w szpitalu w Zurychu, gdy usuwano jej czipa z szyi, i zmierzyła go chłodnym wzrokiem. Była idiotką, sądząc, że pozbędzie się go na dobre.

Przez ułamek sekundy tylko się sobie przyglądali. Potem się na niego rzuciła.

Tym razem był na to przygotowany. Zablokował jej atak, obrócił ją i zanim się zorientowała, stała twarzą do muru, z ręką za plecami.

– Nie przywitasz się najpierw? – zamruczał jej do ucha niskim, męskim głosem. Czowała za sobą jego silne, muskularne ciało.

Zacisnęła zęby. Przeszyło ją bolesne wspomnienie jego zdrady.

– Czy to znaczy, że podjąłeś decyzję?

Silną ręką przycisnął ją do muru, aż poczuła duszący zapach cegieł i drewna.

Chłopiec przyglądał im się ciekawie.

Drugą ręką Jake szorstko obmacał jej plecy, talię, piersi i uda. Kiedy nie znalazł broni, puścił ją.

– To znaczy, że dopóki nie mam dowodów, wierzę w twoją niewinność. Wiesz, trochę trwało, zanim cię odnalazłem. Musiałem się napracować.

Odkoczyła, potarła kark w miejscu, gdzie przed chwilą ją trzymał.

– A to dla ciebie coś nowego.

Posłał jej śmiertelnie poważne spojrzenie, które zdawało się mówić, że takie zarzuty są poniżej jej godności.

– Mam wrażenie, że nie cenisz mnie zbyt wysoko, poza sytuacją kiedy ratuję ci tyłek. Albo go posuwam.

Zamachnęła się, ale powstrzymał ją zanim jej dłoń zetknęła się z jego policzkiem.

– Nie radzę.

No dobrze. Odwróciła się tyłem do Jake'a i kucnęła przy chłopcu.

– Jak się nazywasz?

- Amalio – odpowiedział Jake. Spojrzała na niego.
- Od kiedy znasz hiszpański?
- Od szkoły średniej, i to kiepsko. Como se llama? Me llamo Juan. – Wyrecytował. – Wysłałem go, żeby cię odnalazł.
- Co? – Wstała.
- I do tego słono mu za to zapłaciłem.
- Zapłaciłeś mu? – Spojrzała ostro na chłopca. – Ja też.
- No widzisz? Choćby dlatego powinniśmy pracować razem – stwierdził. – Będzie oszczędniej.

Amalio pociągnął ją za koszulę. Spojrzała na niego. Znowu wyciągnął rękę dłonią do góry.

- Zaprowadziłem. Zapłacisz. Rzuciła mu obiecany banknot.
- Ty mały łobuzie!
- Uśmiechnął się i banknot znowu zniknął w kieszeni przepastnych spodni.
- Y los otros? – zapytał. – Oni też przyjadą? Margo zmrużyła oczy.
- Jacy inni?
- No, ci mężczyźni. Co dwaj porteños,
- Co on mówi? – zainteresował się Jake.
- Powiedział, że było ze mną dwóch porteños.
- Porteños!
- Mieszkaniec miasta portowego, zazwyczaj Buenos Aires.
- A ty podróżujesz z paszportem argentyńskim – zauważył. Nie zwracała sobie głowy pytaniem, skąd to wie. Amalio uśmiechnął się przebiegle.
- Niektórzy mówili Americanos. Como el – wskazał Jake'a. – Ale powiedziałem im, jak kazałaś, porteños.
- Przetłumaczyła wszystko Jake'owi.
- Zapytaj o ten dom ~ poprosił. Spojrzała na chłopca:
- Que paso aquí! Zatoczył rękami łuk.
- Hubo un incendio. Muy grande. – Pokręcił głową, w ciemnych oczach malowało się podniecenie. – La mujer y sus niños. Se salvaron? Choć noc była ciepła, przeszył ją dreszcz.
- Mówi... – Odetchnęła głęboko, broniąc się przed paniką. – Mówi, że był tu pożar. Wielki pożar. Pyta, czy kobieta i dzieci się uratowały.
- Wymieniła z Jakiem spojrzenia.
- Opowiedz mi o niej – poprosiła Amalia, choć bała się tego, co usłyszy. Wzruszył ramionami, rysując coś butem na ziemi.
- Nie widziałem jej, nie wychodziła. Po pożarze wszyscy byli smutni.
- Amalio! – Na końcu uliczki stanęła kobieta. Wzięła się pod boki. Chłopiec spojrzał na nich jeszcze raz i puścił się biegiem. Kobieta złapała go za kark, łypnęła groźnie i pociągnęła za sobą, stukając głośno zniszczonymi espadrylami.

– W końcu sami – mruknął Jake.

Margo bez słowa patrzyła na zgliszcza. Kobieta i dwoje dzieci. Na chwilę pozwoliła, by krzyk w jej głowie rozbrzmiał z pełną siłą. Nocną ciszę przeszył wysoki, przeraźliwy krzyk dziecka.

Jake położył jej rękę na ramieniu.

– Idziemy. – Pociągnął ją za sobą. – Muszę ci coś powiedzieć. Wyrwała się mu.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Skąd wiesz? Jeszcze niczego ci nie powiedziałem. – Wyprzedził ją.

Popatrzyła na niego i go wyminęła.

Pospieszył za nią.

– Proszę tylko o kawę. O piwo. O chwilę spokoju i płyn, w którym rozmyje się twoja wrogość.

– Żartujesz, tak? Wroga? Ja? Nie wyobrażam sobie bardziej wrogiego zachowania niż rozciąć komuś szyję i wsadzić w ranę nadajnik.

– No cóż, ja tego nie zrobiłem.

– Ale też mi o tym nie powiedziałaś.

– Nie chciałbym czepiać się szczegółów, ale właściwie, to owszem, ja ci o tym powiedziałem.

– Dopiero kiedy cię przyłapałam. Uśmiechnął się beztrudnie, jakby o nic nie dbał.

– A jakie to ma znaczenie? Teraz już wiesz. – Wziął ją pod rękę i nagle spoważniał. – Margo, masz zajadłych wrogów, a ja mogę być kolejnym.

Potrzebujesz pomocy.

– Nie ufam ci.

– Uratowałem ci życie, do cholery.

– Ile razy będziesz mi to wypominał? Zresztą jestem przekonana, że miałeś swoje powody.

– Owszem. Podoba mi się, jak kręcisz tyłkiem. Chciała mu się wyrwać, ale nie puścił jej dłoni.

– Szuka cię połowa policji w Virginii – warknął. – Oczywiście nie licząc ludzi z TCF i federalnych. Wiedziałem, dokąd pojechałaś, wiem, gdzie jesteś. To pomoc w przestępstwie i utrudnianie pracy organom sprawiedliwości.

Ryzykuję, Scottie, a proszę tylko o chwilę uwagi.

– Tak? A niby dlaczego taki z ciebie bohater? Bała się, że spłonie pod jego wzrokiem.

– Jak już powiedziałem, chcę się dowiedzieć, kto zabił Franka Tempie'a.

Puścił ją. Odepchnęła go.

– A jeśli to ja?

– Wtedy własnoręcznie zawlokę cię za kratki. Ale na razie, pracujemy razem.

Wyszli na główną ulicę, Betis. Nad Gwadalkiwirem ciągnęły się rzędy knajpek i barów. Jake zaciągnął ją do pierwszego z brzegu.

Było to niskie, ciemne pomieszczenie, chłodne i spokojne. Nie było tu baru, natomiast pod ścianami ciągnęły się rzędy wielkich beczek. Kelner podszedł do

jednej z nich i nalał do kieliszka czerwone wino. Tinto, zabrzmiało jej w głowie. Albo Jerez, sherry z Jerez de la Frontera.

Zadrzała na myśl o wiedzy, jaką posiada, nie zdając sobie z tego sprawy.

Pośrodku stały małe stoliczki, ale niemal nie było ich widać, tylu tłoczyło się gości. Większość stała z kieliszkami w rękach. Hałas niósł się echem, narastał. Jake przepychał się przez tłum, ciągnąc ją za sobą. Dotarli do kąta przy drzwiach. Wyblakły plakat zapraszał na czerwcowe walki byków, napis głosił: „Gran Corrida de Toros”.

– Wiem, że to ci się może nie podobać, Margo, ale masz tylko mnie.

– Nazywam się Margarita. Margarita Vargas. I wcale nie prosiłam cię o pomoc.

– No cóż, Margarito, co nie znaczy, że jej nie potrzebujesz. Oparła się o ścianę. Chłód cementu przenikał przez ubranie. Siniaki

zniknęły już z twarzy Jake'a, ale rana pod okiem została. Namacalny dowód tego, co dla niej zrobił. To i jeszcze ci dwaj w motelu... Gdyby nie on, nie żyłaby już. Boże, dlaczego nie uzna, że są kwita, i nie da sobie z nim spokoju?

– Przysięgasz, że nie wiesz, kto mi wszczepił nadajnik? Podniósł rękę.

– Przysięgam.

Przewróciła komicznie oczami.

– I myślisz, że w to uwierzę? Powiesz wszystko, co chcę usłyszeć.

Zamyślił się.

– Owszem. – Zacisnął dłoń na jej gardle, uwięził jej twarz. Był blisko, widziała jego gniew i wbrew sobie poczuła, jak ją przyciąga.

– Ale nie kłamie. – Patrzyły na nią poważne, szczerze oczy. Powinna palnąć sobie w łeb, ale mu uwierzyła.

Mimo wysiłków babki, by podtrzymać rodzinne tradycje katolickie, Amalio Baro wyznawał tylko jedną religię – pieniądze. Stał się gorliwym wyznawcą gdy jako pięciolatek ostrzegł grupę rakli – chłopaków nie-Cyganów, którzy spotykali się, by dzielić się łupami – pieniędzmi i kartami kredytowymi ukradzionymi turystom, że pasmas sana ich tropie.

Od tego czasu nauczył się, że warto pomagać temu, kto ma wypchany portfel. Za zarobione przez niego pieniądze rodzina mogła kupić mięso, smakołyki, kozę na Wielkanoc i słodkie polvorones na Boże Narodzenie. Biegał na posyłki dla Turków, a gdy pasmas rozprawili się z handlarzami narkotyków, pomagał policji. Nie był wybredny. Pracował dla każdego, o ile wyznawali tę samą co on religię euro.

Gdy mama Ada odciągnęła go od pary na Calle Gitana, czekał na okazję, żeby się wymknąć. Pozwolił, by na niego nakrzyczała i odesłała do jego pokoju, a potem wymknął się przez okno i zjechał po rynnie, jak wiele razy przedtem. Uśmiechał się przy tym i słyszał w wyobraźni, jak mama Ada powie o nim to, co zawsze: ten chłopak jest jak małpa, znika bez śladu.

Z dachu przeskoczył na sąsiedni budynek i jeszcze dalej, i błyskawicznie wrócił na Calle Gitana. Z góry widział dwójkę extranjeros, patrzył, jak wchodzą do Bodega Francisco.

Wiedział, gdzie są i pognął do klasztoru. Tam rzeźby demonów stanowiły swego rodzaju stopnie, po których mógł zejść na ziemię. Ledwie jego stopy dotknęły bruku, ruszył na poszukiwanie człowieka znanego jako El Paleta. Luca Petali urodził się w Trianie i tu dorastał. Nie zapomniał czasów sprzed 1978 roku, gdy Cyganów traktowano jak obywateli gorszych kategorii, na których można pluć.

115

Niski, drobny, nabity, wspinał się mozolnie po szczeblach kariery i z ulicy trafił do policji. Nie przestał walczyć. Nadal nazywano go El Paleta, murarz.

Przyłgnęło to do niego, bo było podobne do jego nazwiska i przypominało, czym trudnił się jego ojciec, Cygan. Luca to wykorzystał, sprawił, że nabrało nowego znaczenia. Osaczał i zamykał handlarzy narkotyków i złodziei, nawet słynnego Turka Osmana, który trafił za kratki i zostanie tam bardzo długo. Przez pół roku po aresztowaniu Osmana na ulicach panował spokój. I dopiero mniej więcej miesiąc temu zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Strzały jak w amerykańskim filmie. Pożar. Śmierć rodziny cudzoziemców. Dwa ciała spalone tak, że nie sposób je było rozpoznać. I żadnego wyjaśnienia.

Jego zwierzchnicy byli przekonani, że miało to związek z organizacją przestępczą Turka.

– Karaluch zawsze wróci – mruknął szef. Ale Luca był u Turka i dałby sobie rękę uciąć, gdy ten się zaklinał, że nic nie wie o pożarze przy Calle Gitana.

Luca nie wspominał więc o tym, co ukrył. I puścił informację na ulicę. Włóczył się po kafejkach, spelunkach, barach flamenco i czekał.

Gdy Amalio przybiegł zdyszany, powtarzając: „Paleta, El Paleta”.

Twarz Luca pozostała bez wyrazu i przypominała nieruchomą maskę, w głębi duszy jednak pozwolił sobie na lekki, triumfalny uśmiech.

Szmer głosów otaczał ją jak mgła, jak przeszłość, nachalny, ale niewyraźny. Ktoś ją potracił, zachwiała się, chcąc zachować miejsce przy drzwiach.

Spojrzała na Jake'a.

– A antykwariat? Moja siostra? Moje życie? Dlaczego pamiętam akurat to?

– Nie wiem.

– Ale wiedziałeś, że dom to mistyfikacja.

– Dom tak, ale ty? Frank niczego mi o tobie nie powiedział. – Ścisnął jej ramię, chcąc dodać otuchy. – Przykro mi.

Zesztywniała. Już przedtem czuła, że dryfuje bez celu, ale wtedy miała przynajmniej coś, co łączyło ją ze stałym łądem – nazwisko, rodziców, ciotkę, siostrę. Teraz nie miała już nic.

– A więc... – Uśmiechnęła się z trudem. – Zagramy w „Zgadnij, kim jestem?”

– Dobrze – zgodził się i opowiedział o telefonie od Dottie. O kłótni między Frankiem i Billem Connellym. Nawet przez zamknięte drzwi gabinetu słyszała, jak na siebie krzyczą. Bill otworzył je na oścież. Nawet to ich nie powstrzymało.

– I wtedy padło twoje nazwisko – zakończył Jake.

Przeszył ją dreszcz. Rozmawiali o niej. Mężczyźni, których sobie nie przypomina.

– Ten Bill Connelly to szef, czekaj...

– DCO. Ścisłe tajne operacje.

– Podobno znałam Franka. Może po prostu o to chodziło? Serce biło jej coraz szybciej. Może ktoś wie, kim jest. Czym jest.

– Więc... może pracujesz dla Connelly'ego. Może Hiszpania to twoja baza wypadowa.

Powróciła nadzieja, jaką poczuła, gdy leciała do Londynu. Może działa po właściwej stronie. Może...

– Więc dlaczego kłamał? – zdziwiła się.

– Chroni cię. DCO nie zdradza swoich agentów. Miło. Ba, nie tylko miło. Wspaniale.

Ale tę radość szybko stłumiła inna alternatywa. I to bardziej odpowiadająca faktom.

– Albo jestem celem. – Kiedy to powiedziała, ta wersja wydała się bardziej prawdopodobna. – Wrogiem. To tłumaczyłoby sytuację na tyłach motelu.

Jake powoli skinał głową.

– A Connelly skłamałby, żeby nie zdemaskować operacji.

Czuła, jak obie wersje walczą w niej o lepsze. A gdzie miejsce dla domu przy Calle Gitana? W jej głowie rozległy się wrzaski. Gdzie miejsce na krzyki ludzi uwięzionych w płonącym budynku?

Boże drogi, co ona zrobiła?

Tłum napierał, głośny i groźny. Nie mogła się skupić, nie mogła myśleć.

Wybuch śmiechu podzielał na nią jak eksplozja granatu. Podskoczyła.

Znowu ktoś ją potracił.

– Disculpe – mruknął mężczyzna i pokornie schylił głowę.

– No es nada – odparła grzecznie.

– To bardzo lubiany bar. – Był niski i śniady.

Kątem oka widziała, jak Jake obserwuje tę wymianę zdań. Sądząc po jego minie, nie miał pojęcia, o czym rozmawiają i nie wiedział, czy się odezwać i zdradzić, że nie jest Hiszpanem, czy zachować ten fakt dla siebie.

Ona także nie chciała zwracać na siebie uwagi.

– Si, hay muchos turistas. – Dużo turystów. Uśmiechnęła się grzecznie.

– Ale pani nie jest turystką?

Odpowiedź nasunęła się gładko, płynnie, jakby to była prawda.

– Podróżuję w interesach. Kupuję książki.

Opowiedziała mu, że kolekcjonuje stare książki i szuka siedemnastowiecznego wydania Don Kichota. Rozpromienił się... Chociaż może lepiej byłoby powiedzieć, że się ożywił, w ciemnych oczach błysnęło zainteresowanie.

Zaproponował jej drinka, ale widząc minę Jake'a, podziękowała i dała mu znak, by ruszył do drzwi.

Ale mężczyzna nie chciał jej przepuścić.

– Ah. No me di cuenta que estaba companada. – Nie zdawał sobie sprawy, że ma towarzysza. Spojrzał na Jake'a przepaszająco i wyciągnął rękę. Jake nie miał wyjścia.

– Hola – powiedział fałszywie i mało brakowało, a zmiądzzyłby mu dłoń w uścisku. Jesteście... Amerykanami? – Mężczyzna przeszedł na angielski. Mówił z równie silnym akcentem jak Jake po hiszpańsku.

Margo się zawahała. O sobie mogła skłamać, ale Jake nie zna hiszpańskiego.

– On jest.

– No tak – mruknął Hiszpan. – Tak mi się zdawało. Pan także kolekcjonuje książki?

– Pod warunkiem że akcje wysoko stoją. – Mężczyzna chyba nie zrozumiał. – Nic nie szkodzi – mruknął Jake. – Kiepski kawał. Miło mi. – Spojrzał na drzwi.

– Właśnie wychodziliśmy.

– Ah, si, si. Oczywiście. – Skłonił się lekko i odsunął. – Miłego wieczoru.

Jake wyprowadził Margo. Znaleźli się na ulicy. Był przyjemny ciepły wieczór.

Margo nagle ogarnęła fala znużenia.

– Domyślam się, że zatrzymałeś się w hotelu Maria Luisa?

– A gdzieżby indziej? Westchnęła.

Poklepał ją po plecach.

– Głowa do góry. Mamy sąsiednie pokoje.

Przejechali przez most i wraz z innymi spacerowiczami wrócili do Sewilli.

Tutejsze noce są inne. Po ulicach włóczą się nie tylko rozbawieni single.

Spacerują całe rodziny z małymi dziećmi. Przeszli przez park Alcazar, skryty w cieniu mauretańskiego pałacu z X wieku, siedziby władców Andaluzji.

Wszędzie błyszczą światła. Wszędzie kusyły ogródki piwne i freiturias, przed którymi ludzie ustawiali się w kolejce, żeby kupić smażoną rybę i domowe frytki.

Weszli do dzielnicy Santa Cruz od południowego wschodu i nagle otoczyły ich kamienne mury, a pod stopami poczuli kocie łby. Światło księżycy jakby pociemniało. Zostali sami.

Margo się spięła.

– Co to było?

Jake czule otoczył ją ramieniem szepnął do ucha:

– Ktoś nas śledzi.

Jej serce biło coraz szybciej.

– Daleko?

– Nie wiem.

– Widziałeś go?

– Nie na tyle wyraźnie, żebym zdołał go rozpoznać. – Stali na małym placu, Jake nadal ją obejmował. Na rogu uliczki znajdowała się galeria z ludową ceramiką. Zatrzymali się przy wystawie. Margo objęła Jake'a za szyję i przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Wyczytała z jego wzroku, że doskonale wie, co robi, zarówno zawodowo, jak i prywatnie.

– Pójdiesz naokoło – szepnęła, zanim ich usta się zetknęły. Jego wargi były ciepłe i wilgotne. Kiedy jej dotknął, przeszył ją dreszcz.

– Policz do dziesięciu – odpowiedział równie cicho i znowu ją pocałował, tym razem niepotrzebnie.

Zagubiła się w tym pocałunku, pragnęła Jake'a, chciała w niego uwierzyć, chciała się łudzić, że do kogoś należy. Obejmował ją mocno. Ugięły się pod nią nogi. Odepchnęła go z jękiem.

W ostatniej chwili musnął jej wargi językiem.

– Zapomniałaś głowy, gdyby nie była przymocowana! – zawołał głośno.

– Wiem, ale to moja ulubiona kurtka – odpowiedziała równie głośno. Pocałował ją jeszcze raz. Jego wzrok mówił, że udaje i że wcale tego nie robi.

– Tam się spotkamy.

Skręcił w lewo, zaszedł śledzącego z boku. Placyk był pusty i ciemny. Kroki Jake'a niosły się coraz cichszym echem. Margo ochłonęła po pocałunku, policzyła do dziesięciu.

Odwróciła się gwałtownie i pobiegła tą samą drogą, którą przyszli. Jake zbliżał się z drugiej strony.

Mężczyzna był w pułapce. Nie zdążył uciec. Margo powaliła go na trawnik na skraju parku.

Facet z baru.

Jake podbiegł i we dwójkę postawili go na nogi. Jake potrząsnął nim brutalnie.

– Kim jesteś?

– Puście – syknął facet. – Puście! – Zaklął. W barze był miłym nieznajomym, teraz emanował władzą – Hombres! – zawołał i dwie sekundy później otoczyło ich trzech umundurowanych funkcjonariuszy. – Skuć ich – polecił.

– Kim jesteś, do cholery?

– Zdaje się, że poznaliśmy się w barze. Luca Petali. Inspektor Luca Pętali, Policía Nacional,

Komisariat mieścił się w osiemnastowiecznym budynku, który czasy świetności miał już za sobą.

– Ej, Gitano! – zawołał ktoś do Petaliego, gdy prowadził więźniów. – Teraz aresztujesz turystów? – Margo wychwyciła nutę pogardy w głosie.

– Ja przynajmniej kogoś aresztuję – odciął się Petali.

Odesłał Jake'a do celi, a Margo posadził na krześle za biurkiem. Przykuł jej rękę do specjalnego haka.

Sam usiadł po przeciwnej stronie i kazał jej czekać. Dokoła nich co-misaria wrzało nocnym życiem. Białe ściany pożółkły ze starości, okna zarosły brudem, wieki zaniedbania zniszczyły marmurową posadzkę.

Margo poczuła na sobie wzrok policjanta. Podniosła głowę.

– Przyszedł pan po nas do tego baru. Dlaczego? – zapytała.

Już w parku odebrał jej paszport. Teraz przeglądał go od niechcenia.

– Ma pani argentyński paszport. Dlaczego nie zażądała pani, żebyśmy się skontaktowali z ambasadą?

– Najpierw chcę się dowiedzieć, dlaczego nas aresztowano.

– No cóż, señorita... – Zajrzał do paszportu. – Cóż, señorita Vargas, napadliście na oficera policji. To poważny zarzut.

– Śledził nas pan.

– Jestem stróżem prawa. Obserwowanie podejrzanych osób mieści się w zakresie moich obowiązków. Zwłaszcza podejrzanych cudzoziemców.

– To nieporozumienie, chyba sam pan to widzi. Spojrzał na nią badawczo.

– Kim pani jest?

Miała nadzieję, że wygląda na zmieszaną.

– Ma pan przecież mój paszport. Nie dał się nabrać.

– Kim pani jest? – powtórzył powoli i wyraźnie, a jego słowa odbijały się echem w jej głowie jak kiepski żart. Od razu przeszła do puenty:

– Nie wiem. Spoważniał.

– A była pani kiedyś w hiszpańskim więzieniu? Nie traktujemy lekko napadu na policjanta.

Wyczuła groźbę.

– Chce mnie pan zastraszyć?

– Wie pani co? Myślę, że wcale nie interesują panią stare książki. Chyba że spalone na wiór. – Przeszywał ją ciemnym, płonącym wzrokiem i od razu wiedziała, że Amalio ich sypnął. – A handlarze narkotyków budzą w nas jeszcze mniejszą sympatię.

To ją zaskoczyło.

– Handlarze narkotyków?

Przeanalizowała szybko tę wersję. Czy to możliwe, że brała udział w transakcji, która spaliła na panewce? Czy ktoś wydał ich policji? Ten, kto zaatakował Jake'a, mówił coś o zemście. Czyżby ona zdradziła?

A może to ją zdradzono? Czyżby przy Calle Gitana doszło do strzelaniny, która wymknęła się spod kontroli?

Może była członkiem zespołu speców od narkotyków i do wybuchu doszło, kiedy próbowali wyprodukować jakąś zabójczą substancję? Metamfetamina, czysta heroina, kokaina na miejscowy rynek? Maroko jest blisko, a czytała gdzieś, że z Maroka trafia do Europy większość haszyszu...

Ale skoro chodzi o narkotyki, gdzie miejsce dla kobiety i dzieci? Czyżby to rodzina handlarza?

– Widziano panią na Calle Gitana – ciągnął Petali. – Świadek twierdzi, że nie była tam pani dzisiaj po raz pierwszy. Zjawiała się pani kilka miesięcy temu.

– I co z tego? – Przed oczami migają jej strzępy obrazów. Usłyszała krzyki. Jej serce biło jak szalone. Zacisnęła ręce na krawędzi krzesła, jakby się bała, że nie zdoła usiedzieć spokojnie. Boże drogi, co się stało? I jaka w tym jej rola?

Petali przechadzał się po pokoju, a potem pochylił się nad nią i mówił cicho. Miała wrażenie, że nie tylko do niej.

– Powie mi pani, co tam się wydarzyło. I to prawdę, a nie to mierda, które słyszałem, a może uda mi się to zgubić. – Wskazał dokumenty na biurku.

Oblizwała usta. Jak ma mu powiedzieć prawdę, skoro sama jej nie zna?

– Mówił pan coś o narkotykach. Czy wydarzenia na Calle Gitana mają z nimi coś wspólnego?

– Pani mi powie.

O Boże. Chciało jej się płakać, ale się opanowała. Tak samo jak on chce poznać prawdę.

Nie, to kłamstwo. Nie chce poznać prawdy, chce wrócić od domu i zapomnieć o Calle Gitana i o tym, co się tam wydarzyło.

Zacisnęła pięści, aż paznokcie wbiły się w skórę. Ma coś w głowie, jakieś makabryczne wspomnienie, i nie może o nim zapomnieć. Może jeśli będzie współpracowała z Petalim, jeśli wspólnie...

Głęboko zaczerpnęła tchu. Podjęła decyzję.

– Powiem panu wszystko, co wiem. Wątpię, żeby pan mi uwierzył, ale i tak powiem, co wiem. Ale pan musi zwolnić mojego przyjaciela.

– Najpierw chcę coś dostać. Zamyśliła się. Za co uwolni Jake'a?

– Kilka dni temu czterej mężczyźni, z wyglądu mieszkańcy Bliskiego Wschodu, szukali mnie w Waszyngtonie. Zamiast mnie znaleźli Jake'a.

Petali podniósł głowę.

– Turcy?

– Proszę zwolnić Jake'a, a powiem więcej.

Szybki ruch głową i polecenie po hiszpańsku. Petali otworzył szufladę, wyjął cienką teczkę, rozpiął jej kajdanki i zaprowadził do pokoju przesłuchań. Kilka minut później wszedł Jake.

Był zmęczony, ale na jego twarzy nie dostrzegła nowych sińców.

– W porządku? – zapytała. Skinął głową.

– A ty?

– Też.

– Dostyc tego! – Petali pchnął krzesło w stronę Jake'a. – Sientense.

– Drugie podsunął Margo. – No więc? Kim pani jest?

Odetchnęła głęboko.

– Nie wiem. I to jest prawda. ~ Opowiedziała mu wszystko. Z każdym słowem nieruchomiał coraz bardziej. Kiedy skończyła, w pomieszczeniu zapanowała cisza.

– To... – Petali zdawał się szukać odpowiednich słów po angielsku – asombroso – stwierdził, jakby tylko w ojczystym języku mógł się w pełni wyrazić.

– Nie kłamię.

– Jestem Cyganem. Romem. Mamy takie powiedzenie: bywają kłamstwa

bardziej wiarygodne od prawdy. – Uśmiechnął się. – Ale nie w tym przypadku.

– Proszę posłuchać, ja też początkowo jej nie wierzyłem – zaczął Jake. – Ale faceci z łańcuchem byli prawdziwi. I ci dwaj, którzy chcieli odstrzelić jej głowę.

– Ci z łańcuchem, z Bliskiego Wschodu. Słyszał ich pan?

– Mówili chyba po arabsku.

– Nie po turecku?

Jake pokręcił głową. Petali się zamyślił. A potem, jakby nagle podjął decyzję, otworzył teczkę z aktami i podał coś Margo,

Był to na wpół spalony argentyński paszport na nazwisko Ricardo Rossini. Okładka spłonęła, ale ze zdjęcia zostało dość, by zobaczyła mężczyznę o kwadratowej szczęce.

– Zna go pani? Pokręciła głową.

– Ciekawe. – Zabrał paszport, zanim Jake rzucił na niego okiem.

– To pani rodak. – Uderzył się w czoło, jakby o czymś zapomniał. – No tak, ale Argentyna to wielki kraj, prawda? – Wydał usta, pochylił się.

– Pani rząd go nie zna. Ale pani, señorita Vargas, czy kimkolwiek pani jest, owszem. Bo idę o zakład, że on zna panią.

Margo uniosła brwi, zaskoczona.

– Niby dlaczego miałby mnie znać?

– Wdziała kiedyś pani ofiarę poparzeń? Zrobiło jej się zimno.

– Poparzeń?

Petali przejechał palcem po policzku, skupiony, zamyślony, wyrachowany.

– Ciekawe, co powie señor Rossini, kiedy mu powiem, że wróciła kobieta, która go zostawiła w płomieniach na Calle Gitana.

Serce Margo waliło jak oszalone, dłonie pokryły się potem.

– Twierdzi, że go porzuciłam?

– No cóż, panno... Vargas, oparzenia trudno się goją i do tej pory niczego nie powiedział, tak przynajmniej twierdzą zakonnice. Ale dawno go nie widziałem. Może nastąpił przełom.

Jego słowa, ich implikacje – że jest tu ktoś, kto ją zna i wie, co zrobiła – dźwięczały w jej głowie, eksplodowały. Złapała Petalego za rękę.

– Musi mnie pan do niego zaprowadzić. Spojrzał na jej palce na swoim przegubie.

– Muszę? – Podniósł na nią lodowate spojrzenie. – Pod warunkiem że najpierw usłyszę prawdę.

Nie usatysfakcjonowany tym, co mu powiedziała, Petali odesłał Margo i Jake'a do cel w różnych częściach posterunku. Odprowadziło ich dwóch policjantów. Mieli klucze do cel.

Petali skuł Margo, ale nogi miała wolne. Posłusznie weszła do celi, ale zanim strażnik zdążył ją zamknąć, zerwała się z miejsca, podciągnęła na kracie i kopnęła go w pierś. Zaskoczyła go. Upadł i zemdłał.

Nie zastanawiała się, jakim cudem tego dokonała. Zabrała mu kluczyki, rozpięła kajdanki i rozglądała się czujnie, czy nikt jej nie widzi.

Cisza.

Zabrała policjantowi broń, wsunęła za pasek dzinsów i wyszła. Rozejrzała się posterunku – lustra, ale brak kamer. Zabezpieczenia na comi-saria nie nadążały za nowymi czasami.

Nie miała pojęcia, gdzie jest Jake, ale podejrzewała, że cele przejściowe są blisko siebie. Jednym okiem obserwowała korytarz, drugim zerknęła w lustro. Puściła się biegiem. Kątem oka dostrzegła, że nadchodzi dwóch mężczyzn. Skręciła do pustego gabinetu. Kroki zatrzymały się pod drzwiami.

Jej serce stanęło.

Mężczyźni rozmawiali. Jednym z nich był Luca Petali. Drugi... nie znała tego głosu. Tłumaczyła odruchowo z hiszpańskiego.

– Kopiesz sobie grób – mówił nieznajomy.

– Pół roku temu wyczyściłem tamtą dzielnicę – odrzekł Petali. – Osman i jego Turcy siedzą..

Pot spływał jej po plecach. Miała wrażenie, że jej oddech słychać na całym posterunku, a co dopiero za drzwiami.

– Zawsze znajdują się następcy – zauważył nieznajomy. – Nieważne, co ukrywasz, nieważne, co robisz, kiedy znikasz, nieważne, jaką sprawę rozwiązesz, zawsze będziesz tylko brudnym Cyganem. Rób, co ci każą, i nie ryzykuj.

– Powiedz szefowi, że musiałem wyjść.

– Nie rób tego, Luca.

– Powiedz mu.

Jeden z mężczyzn odszedł. Drugi pozostał jeszcze chwilę, zaklął i także się oddalił.

Zamknęła oczy z ulgą i odczekała chwilę, żeby się opanować. A zatem Petali coś ukrywa. Czy teraz właśnie tam pojechał?

Wyrzała ostrożnie. Korytarz był pusty. Ruszyła biegiem z dłonią na rękojeści pistoletu, ale zatrzymała się na widok znaku jaulas – cele – i skręciła. Za biurkiem nie było nikogo. Przeszła bez problemów.

Cele były pełne więźniów i na jej widok mężczyźni zaczęli krzyczeć i gwizdać. Nie zwracała na to uwagi, szukała Jake'a. Był w ostatniej celi.

Wystarczyło mu jedno spojrzenie na nią.

– Jeden strażnik, nałogowy palacz. Co pięć minut wychodził na papierosa.

Wróci lada chwila. – Wskazał głową w lewo. – Ściana. Załom.

Od razu wiedziała, o co chodzi. Idealna kryjówka. Poszło jak z płatka. Strażnik wrócił, Jake go zagadał, Margo obezwładniła. Znalazła klucze, otworzyła celę i cisnęła pęk facetom w sąsiedniej. Z krzykiem mocowali się z drzwiami. Margo i Jake już znikali na końcu korytarza.

– Petali ukrywa coś przed przełożonymi – zaczęła. Opowiedziała Jake'owi, co usłyszała.

Widzieli już, gdzie jest najbliższe wyjście, i wypadli na zewnątrz, zanim zawył alarm.

Po przeciwnej stronie ulicy Petali wsiadał właśnie do samochodu. W pobliżu nie było taksówek, ale Jake znalazł otwarty wóz. Uruchomił go błyskawicznie. Wydawało się, że stracili kilka godzin. W rzeczywistości Petali wyprzedzał ich o jedną przecznicę. Wyjechali z miasta i po pół godzinie dotarli do wioski na skraju gaju oliwnego. Na jej obrzeżach znajdował się budynek, ukryty za kamiennym murem i wysoką bramą. Petali wjechał. Jake ruszył za nim i zatrzymał się kilka stóp za bramą.

Centro de Rehabilitacion de Nuestra Senora de la Sagrada Corazon. – Jake przeczytał napis na łuku. – Pani Najświętszego Serca. A początek?

– Centrum rehabilitacji – odparła Margo. Rozglądała się uważnie po spokojnym krajobrazie. – Chyba poznaliśmy tajemnicę Petaliego.

Jake zaparkował i czekał w samochodzie. Historyjka, którą wymyślili, nie przeszłaby, gdyby Margo zjawiała się w towarzystwie osoby nie znającej hiszpańskiego. Sama weszła do budynku.

Ledwie przekroczyła jego próg, stało się jasne, że dawniej nie był to szpital. Może rezydencja bogaczy. Centralną część holu stanowiły ogromne kręcone schody. Odbijały się w marmurowych posadzkach, zaglądały do wysoko sklepionych okien. Podniosła wzrok. Dyżurka pielęgniarek mieściła się na drugim piętrze.

Było już po siódmej, ale w Hiszpanii, gdzie nikt nie siada do kolacji przed dziesiątą, to wczesna godzina. Mimo tego w szpitalu panował spokój, na korytarzu kręciło się niewiele osób, w recepcji siedziała tylko jedna pielęgniarka.

Trochę trwało, zanim Margo zdołała ją przekonać, że jej szef z Policía National, Luca Petali, zostawił ważne dokumenty w pokoju pacjenta i że musi je odebrać. Zdobyła numer pokoju, ale ponieważ godziny odwiedzin już minęły, a pacjenta bardzo zmęczyła wizyta señoora Petali, pielęgniarka nie chciała jej wpuścić. Posłała tam sanitariusza, a gdy się okazało, że żadnych dokumentów w pokoju nie ma, Margo odegrała zakłopotaną gapę.

– Jestem pewna, że kazał mi tu po nie przyjechać.

– Pomylił się – ucięła pielęgniarka.

Margo oddaliła się posłusznie, ale zamiast do drzwi wyjściowych, skręciła w boczny korytarz. Przystudiowała plan korytarza i doszła do wniosku, że pokój pacjenta, o którego jej chodzi, znajduje się po drugiej stronie wielkiego holu. Już szła w tamtą stronę, ale zanim dotarła do celu, zatrzymała ją inna pielęgniarka i musiała zawrócić.

– Jeśli pokój jest na parterze, dostaniemy się od zewnątrz – stwierdził Jake, gdy mu wszystko powiedziała.

Wysiedli z samochodu i obeszlą gmach dokoła.

– Tutaj. – Margo wskazała południowo-wschodni kraniec. I okno. Zajrzała do środka.

Na łóżku leżała obandażowana postać podłączona do kroplówki. Margo nie była w stanie stwierdzić, czy to mężczyzną czy kobietą.

Ogarnęło ją dziwne uczucie. Postać w bandażach wydawała się kwintesencją wszystkiego, czego doświadczyła od pamiętnego przebudzenia. Prawda ukryta pod tyłoma warstwami, że już niczego nie widać.

Wiedziała jedno: na Calle Gitana stało się coś strasznego, a człowiek na łóżku wie, co to było.

Wrócili do miasta i znaleźli sklep z artykułami żelaznymi kilka przecznic od głównego placu. Za ladą stał właściciel. I przygarbiony staruszek, i sklep wyglądali, jakby ich żywcem wyjęto z powieści Dickensa: na półkach widniały dziwaczne narzędzia, gwoździe i młotki, wszystko przykryte warstwą kurzu. Znaleźli jednak to, co było im potrzebne – diament do cięcia szkła i przyssawkę. Wstąpili do małego baru, w którym pieczono na rożnie całe kurczaki. Wisiały jeden nad drugim i tłuszcz z górnych ptaków kapał na te umieszczone niżej. Sprzedawca rozciął im kurczaka i zapakował. Na ich kolację składał się jeszcze bochenek chleba.

Zjedli, siedząc na ławce na placu. Jake połamał chleb. Chrupiąca skórka i lepki miąższ budził wiele wspomnień. Niektóre chyba malowały się na jego twarzy, bo Margo zapytała:

– Co?

Oderwał kolejny kawałek chleba i wsunął do ust,

– Co: „co”?

– Masz dziwną minę.

Oderwała kawałek piersi kurczaka, popatrzyła na mięso, odłożyła i sięgnęła po kolejny. Nie zjadła ani kęsa. Odkąd w szpitalu zobaczyła postać na łóżku, nie mogła się uspokoić. Jake przestać odrywać kawałki kurczaka i powiedział:

– Bez zębów się nie da.

– Dziwne.

– Nie dziwne. Cypryjskie. Czy raczej greckie. Tak nasz kucharz mówił do mojej mamy.

– Kucharz... – Uniosła ciemną brew. – Lokaja też mieliście? Nie wyglądasz mi na chłopaka, który miał lokaja.

Umoczył chleb w sosie z kurczaka.

– Mój ojciec był oficerem CIA. Pracował w Bejrucie. Było tam zbyt niebezpiecznie, więc zamieszkaliśmy na Cyprze. Moja mama wiecznie narzekała na ich chleb, że jest bardzo twardy. Demetriusz, kucharz, w kółko powtarzał, że trzeba mieć zęby, żeby gryźć. – Jake wbił zęby w udko kurczaka.

– Życie nie jest łatwe. Trzeba je atakować wszystkim, co się ma. Trzeba je gryźć.

Spojrzał na Margo. Widać, że bała się wiedzy o tym, co się wydarzyło w zgliszczach tamtego domu. A jednak brnęła dalej zdecydowana poznać prawdę. Nie bała się gryźć.

- A ona?
 - Moja mama? – Westchnął. – Nie, dla niej najważniejsza była łatwość. Chciała, żeby wszystko było miękkie i lekkostrawne. Biała bułka. Po śmierci ojca zabrała mnie do swojego rodzinnego miasteczka. Urocza miejscina. Dewey, w Indianie.
 - Niezbyt podobna do Cypru.
 - Delikatnie mówiąc. Nie mogłem się doczekać, kiedy się stamtąd wyrwę.
 - Więc zabrałeś się do tego – zatoczyła łuk ręką – z uczciwych pobudek.
 - Mam to w genach.
 - A twój ojciec... zginął?
 - Zamach na ambasadę, Bejrut, 1986 – odparł zwięźle. Przyjęła to w milczeniu.
 - Stąd znajomość z Frankiem? Skinął głową.
 - Nie chcesz o tym mówić?
- Wzruszył ramionami zły, że przejrzała go na wylot.
- Nie ma o czym. Nie wiemy, kto to zrobił. Nie mamy pewności. Zbyt dużo niewiadomych, by kogoś osądzić i skazać.
 - A tobie zależy na tym, by kogoś ukarać, prawda, Jake? Spojrzał na nią.
 - Winnych? Tak.
- Margo oderwała kawałek chleba.
- Fajnie musi być mieć co wspominać. Nawet jeśli nie jest to zbyt przyjemne.

Wrócili do samochodu i czekali, aż wzejdzie księżyc, chwilami przysypiając. Kiedy zapadła ciemność, wrócili pod szpital, zaparkowali w bezpiecznej odległości, przemknęli się przez bramę i pokonali długi podjazd. Było ciemno i cicho, gmach rysował się ponurą bryłą na tle nieba. Przywarli do ściany i zakradli się pod właściwe okno. Margo zręcznie wycięła dziurę w szybie, wsunęła rękę i otworzyła staroświecki zamek. Pchnęła lekko – okno otworzyło się na tyle, że zdołali się przez nie wśliznąć. Znieruchomieli, nasłuchiwali, oczekując odgłosu kroków, ale ciszę zakłócało jedynie monotonne pikanie elektronicznych urządzeń monitorujących pracę serca.

Margo podkrađła się do łóżka, szła ostrożnie, żeby nie zahaczyć o stojak kroplówki. Pokój wypełniał zapach ropy, maści i środków dezynfekcyjnych. Twarz pacjenta nikła pod bandażami, widoczne były jedynie oczy i usta. Przyjrzała im się uważnie i jej serce zaczęło bić tak szybko, że bała się, iż jej wyskoczy z piersi. To mężczyzna, tak, ale nie przypominała go sobie. Pochyliła się i nagle otworzył oczy. Przyglądali się sobie przez, jak jej się wydawało, całe wieki. Jego dłoń, także częściowo owinięta bandażem, pomknęła do jej ręki. Margo podskoczyła.

Otworzył usta, z których wydobyło się jedno ochryple słowo:

– Scott.

Jej serce przestało bić. Nie wiedziała, co powiedzieć. Jake stanął obok.

– Kim jesteś?– zapytał cicho.

Oczy mężczyzny, przepelnione bólem, wędrowały od jednego do drugiego. Powoli opuścił powieki. Przez moment wydawało się, że go stracili, że pokonał go sen i morfina, i przez ten moment Margo miała nadzieję, że tak się stało. A potem, z, jak się wydawało, ogromnym wysiłkiem, mężczyzna znowu otworzył oczy.

Oblizwał zaschnięte usta. Przemówił.

– Richard Carns – wychrypiał. Margo jego nazwisko nic nie mówiło, ale Jake był wyraźnie zaskoczony.

– Dick Carns? – Odsunął się o krok, spojrzał na Margo. – Znałem Dicka Carnsa. Kiedyś z nim pracowałem.

– Na Bałkanach – szepnął mężczyzna na łóżku.

Jake gwałtownie zaczerpnął powietrza i odwrócił się na pięcie. Pochylił się nad chorym.

– Wieść niesie, że Dick Carns zszedł do podziemia i pracuje u Billa Connelly'ego w DCO.

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko patrzył Jake'owi w oczy. Margo również milczała. Dziwny mroczny świat, o którym Jake napomknął od samego początku, nagle stanął przed nią otworem.

– Boże drogi – szepnął Jake. – Od dawna tu jesteś? Delikatny ruch głową i jęk.

– Nie mam pojęcia.

– Ktoś się z tobą kontaktował?

– Lokalna policja.

– A Amerykanie?

– Wy... jesteście pierwsi. – Miał łzy w oczach i zaraz opuścił powieki, jakby się ich wstydził. Margo zrobiło się go żal. Jake'owi chyba też.

– Już dobrze – powiedział szybko. – Wyciągnemy cię stąd. Ale musimy wiedzieć, co się stało. Skąd znasz Margo?

Carns wahał się, zagubiony, a Margo ogarnęła kolejna fala współczucia i zrozumienia. Myślał, że przyszedł go uratować, ale jeśli tak, dlaczego nie wiedzą, co się stało? Spojrzał na nią pytająco. Nagle obudził się w niej instynkt posłuszeństwa. Nie przypominała sobie tego człowieka, bała się tego, co powie, ale spokojnie skinęła głową.

– W porządku, Dick. Powiedz, ile możesz.

Zaczął mówić, cicho, ochryple, z wysiłkiem, jak starzec. Ale z tego, co mówił, powoli wyłaniał się spójny obraz.

Wylądowali w bazie morskiej w Rota, na wybrzeżu hiszpańskim. Byli we trójkę: Dick Carns, Aldo Rodriguez i Margo, która dowodziła akcją. Margo i Dick popłynęli do Maroka statkiem turystycznym, znaleźli obiekty i poczekali, aż zapadnie zmrok. Wcześniej była mowa o trzech strażnikach – było dwóch. Dzięki temu poszło łatwiej, niż przypuszczali. Bezgłośnie zlikwidowali obu. Weszli do domu i uśpili kobietę i dwoje dzieci.

Przewieźli ich przez Gibraltarcutrem rybackim owiniętych brezentem. Aldo, który najlepiej z nich mówił po hiszpańsku, czekał w porcie

El Puerto de Santa Maria przebrany za andaluzyjskiego rybaka. Wrzucili ciała na pakę ciężarówkijak worki śledzi.

Kilka godzin później, w bezksiężycową noc, przejechali most prowadzący do Triany. Jechali, póki było to możliwe w wąskich uliczkach. Potem przerwucili ciała na taczki. Kobieta była równie drobna i lekka jak jej dwaj synowie. Zakładnicy odzyskali przytomność dopiero następnego dnia, przy Calle Gitana, w pułapce.

Plan zadziałał idealnie. Żadnych świadków, " żadnych opóźnień.

Tylko że Ruben Cahill, mimo ogromnego stresu i wysokiej stawki, nadal nie chciał współpracować.

Cahill, były marine, który został najemnikiem, miał na sumieniu wiele zamachów bombowych, porwań i zabójstw w Europie i na Bliskim Wschodzie oraz kontakty z organizacjami terrorystycznymi na trzech kontynentach.

Aresztowanie go okazało się pyrrusowym zwycięstwem. Do tej pory nie powiedział niczego ważnego. Porwanie jego żony i synów miało wymusić na nim skłonność do współpracy. A ponieważ operację przeprowadziło DCO, nikt nie udowodni, że w ogóle miała miejsce.

Margo i jej ludzie zainstalowali kamery i zaczęła się walka o duszę Cahilla. Ale minęły dwa dni, a on milczał.

Mimo błagań ciemnowłosej żony o marokańskich korzeniach. Mimo płaczu synów.

Góra pragnęła sukcesu i nadszedł nowy rozkaz: stopniowo wyeliminować zakładników, zaczynając od starszego chłopca.

Agenci odbyli zaimprovizowane zebranie. Nie walczą z dziećmi. Ale rozkaz to rozkaz. Spojrzeli na Margo, która dowodziła akcją, i obiecała, że zdejmie z nich odpowiedzialność, i zrobi, co będzie trzeba.

Posłała Aldo po chłopca. Zaciągnęli go przed obiektyw kamery i Margo własnoręcznie przyłożyła mu pistolet do skroni.

Kobieta wrzeszczała. Dziewięciolatek wył. Dwunastolatek płakał, wstrząsany spazmami, z lufą przy skroni.

Margo krzyczała do obiektywu:

– Zrobię to, przysięgam, ty draniu!

Powietrze wypełnił kwaśny zapach uryny. Chłopiec zsiusiał się w majtki.

Padł strzał. Chłopiec upadł.

Kolejne strzały. Nagle rozpętała się strzelanina. Trzeci strażnik ich odnalazł i sprowadził wsparcie.

Aldo zginął niemal od razu, dostał w głowę. Żona Cahilla rzuciła się do ucieczki, ale kule ją zatrzymały. Dick oberwał w nogę i klatkę piersiową. Doczołgał się do kąta. Ktoś do niego strzelił i trafił w bombom, butle z

propanem pod stołem w jadalni. Ogrzewali nim pomieszczenie. Butla wybuchła, wszędzie wykwitły płomienie. Ostatnie, co Dick zapamiętał, to ciało dziewięcioletka przeszywane serią strzałów.

Dick Carns leżał na szpitalnym łóżku i próbował oblizać spierzchnięte wargi. Ocknął się straszliwie poparzony. Dopiero kilka dni temu zdołał przemówić, ale niczego nie zdradził lokalnej policji, choć odwiedzają go codziennie.

Teraz z jękiem opadł na posłanie.

Margo siedziała nieruchomo. W środku cała drżała, ale udało jej się zachować spokój, bo rozpaczliwie czepiała się jeszcze jednej nadziei. Dick zamknął oczy. Pochyliła się nad nim.

– Dick – szepnęła. – Jedno pytanie.

Przez chwilę znowu myślała, że go straciła. Oddychał z trudem, jego płuca strawił ogień. Zdawała sobie sprawę, że powinna dać mu spokój, że rozmowa go męczy. Jednak musiała wiedzieć.

– Dick?

Podniósł powieki. Jęknął.

– Chłopiec. Dwunastolatek. Kto do niego strzelił? Na początku? Podczas opowieści o wydarzeniach przy Calle Gitana było wiele chwil ciszy, ale żadna nie ciągnęła się jak ta. W końcu Dick otworzył usta. Zaczerpnął powietrza do wypalonych płuc.

– Ty – powiedział. – To byłeś ty.

Jake widział, jak słowa Dicka Carnsa trafiają Margo w samo serce. Skurczyła się, jakby uchodziło z niej powietrze. Milczała, patrzyła tylko, jak Dick zasypia. Ogarnęło go współczucie. Co on zrobiłby na jej miejscu? Zignorował rozkaz? Zlekceważył? Obszedł? Dla niego najważniejsze było złapanie przestępcy. Gdyby Cahill zaczął mówić, można by ocalić setki ludzkich istnień. Do czego byłby gotów się posunąć, by to osiągnąć?

Usłyszeli odgłos kroków i Jake nie miał już czasu na moralne dylematy. Pobiegł do drzwi i wyjrzał na korytarz. Nadchodziła pielęgniarka z lekarstwami.

Wrócił do Margo, kompletnie nieruchomej.

– Czas na nas – rzucił.

Nie poruszyła się, nie zareagowała.

– Margo. – Potrząsnął nią. – Idziemy. – Ani drgnęła. Szarpnął mocniej. – Nadchodzi pielęgniarka. Musimy uciekać! I to już!

Pociągnął ją do okna, wypchnął na zewnątrz i wyskoczył w ślad za nią akurat w chwili, gdy drzwi się otworzyły. Margo jak nieprzytomna szła za nim. Nie zdążyli zamknąć okna, ale liczył, że pielęgniarka nie zwróci na to uwagi. Słyszał, jak kobieta podśpiewuje, krzątając się po pokoju. Odgłosy ucichły po kilku minutach. Zajrzał do pokoju. Pusto.

– Idziemy – ruszył. Margo nie ruszyła się z miejsca. Zawrócił po nią – Chodź. Patrzyła na niego, czy raczej przez niego, w przestrzeń.

– Daj mi chwilę.

– Później.

Rozpacz w jej głosie ścisnęła go za serce, ale nie mieli teraz na to czasu.

– Później.

– Teraz!

– Może ty chcesz, żeby cię złapali, ale mnie nie bardzo bawi myśl o zasmakowaniu gościnności señora Petaliego. – Złapał ją za ramię – wyrwała mu się. Pociągnął mocniej, pchnął.

– Idziemy!

Rzuciła się na niego z pięściami. Jake rozejrzał się, upewnił, że w pobliżu nikogo nie ma, i powiedział półgłosem:

– Chcesz, żebym zrobił ci krzywdę? – Patrzył jej prosto w oczy. Były ciemne jak noc. – Tak, właśnie tego chcesz. Kara dla dzieciobójczyni? Myślisz, że od tego ci ulży?

Odetchnęła głęboko, ale coś w niej pękło i wiedział, że już nie będzie stawiała oporu. Czuł się okropnie, że posypał solą jej rany, ale podziałało. Złapał ją za ramię tak mocno, że będzie miała siniaki, ale przynajmniej miał pewność, że mu nie ucieknie, i ruszyli w stronę samochodu. Wsiedli i odjechali w noc.

Margo siedziała koło Jake'a. W jej głowie ciągle rozbrzmiewał krzyk. Teraz już wiedziała, czyj. Chłopca. Chłopca, którego zabiła.

Wszystkie kawałki układanki trafiły na swoje miejsce. Woda, mężczyźni, ciężki ładunek.

Ludzie. Na rybackim kutrze, pod osłoną nocy. Boże, co ona zrobiła.

Nagle poczuła mdłości. Kazała Jake'owi zatrzymać samochód. Wystarczyło mu jedno spojrzenie i bez dalszych pytań zjechał na pobocze. Wyskoczyła z auta jak z procy i wyrzuciła z siebie całą nienawiść do tego, kim była.

Jake podtrzymywał jej włosy. Kojąca dłoń na rozpalonym karku przynosiła ulgę, ale przecież niezasłużoną. Kiedy skończyła wymiotować, oparła się o samochód, wytarła usta, ale i tak czuła ten zapach.

Jake głaskał ją po włosach.

– Lepiej? – zapytał miękko.

Roześmiałyby się, gdyby mogła. Już nigdy nie poczuje się lepiej.

– Słuchaj, wrócimy do hotelu. – Nie przestawał jej głaskać. – Zamówię butelkę szkockiej, może dwie. Upijemy się, dobrze? Tylko we dwoje. A potem będziemy się kochali bez zobowiązań i zobaczysz, że poczujesz się lepiej.

Pozwoliła, by zaprowadził ją do samochodu, jakby była chora. Jego dobroć ją drażniła i powiedziałyby mu to, gdyby miała dość siły, ale całą jej energię pochłaniało gapienie się w mrok. Poza miastem było mało świateł, ciemność kusila. Chciała się z nią połączyć, roztopić, zniknąć.

W miasteczku Jake zostawił gdzieś samochód – nie pytała gdzie. Pomógł jej wysiąść, poprowadził. Wiedziała, że idzie, że się porusza, ale niczego nie czuła. Słyszała tylko krzyk w głowie.

Potknęła się. Nierówny chodnik. Kamienie. Idzie po kamieniach. To bez sensu, ale prawda.

Kątem oka dostrzegła błysk stali, zanim mózg zdążył to zarejestrować.

Mężczyzna. W zaułku.

Wysoki, chudy, z wąsami.

Ten, który kazał skatować Jake'a w domu ciotki Frances. Nie, nie ciotki Frances, tak jej się tylko zdawało. Obserwowali ją. Jake ją obserwował. Cały czas.

Ten mężczyzna także. Co tu robi? Co ma w rękę? Pistolet?

Jake krzyknął. W jej głowie ten dźwięk zabrzmiał jak wycie syreny. Dziecko. Martwe dziecko.

W zaułkach Juderii, starej żydowskiej dzielnicy, Luca Petali szedł bez słowa, nie spuszczać z oka mężczyzny, który czał się w mrocznej alejce niedaleko hotelu Maria Luisa.

Petali lubił tę dzielnicę. Wciśnięta pod łokieć Alkazaru, pałacu arabskich władców Andaluzji. Wąskie uliczki wiły się kocimi łbami, turyści ciekawie zerkali za bramy z kutego żelaza, zwabieni kształtami i kolorami. Żydów nie było tu od dawna. Ich brak przypominał mu o losie jego narodu, o tym, co stałoby się z hiszpańskimi Cyganami, gdyby narkotyki i dyskryminacja jednak wygrały. Czasami przychodził tu, jakby rzucał nieme wyzwanie wszystkim gaje, którzy nim gardzą, żywy dowód na to, że Romowie nie dadzą się zniszczyć.

Ale dzisiaj nie zmagał się ze zmorami przeszłości. Dzisiaj walczył o przyszłość. Słyszał o zamieszeniu na posterunku i ucieczce dwójki zatrzymanych, w tym Argentynki, która jego zdaniem wiedziała coś o wydarzeniach przy Calle Gitana, i jej amerykańskiego towarzysza. Wersje były sprzeczne, ale nie zdziwiłby się, gdyby się okazało, że ta dwójka miała z tym wszystkim dużo wspólnego.

Zjawia się, był tego pewien. A tymczasem doszły do niego słuchy, że na mieście pojawili się ludzie Osmana.

Oparł się o ścianę, nie odrywając oczu od śledzonego mężczyzny: wysoki, chudy jak szkielec, z wielkimi czarnymi wąsami. Żuł niezapalonego papierosa. Czekał. Ale na co?

Na kontakt? Spotkanie? Znak?

A Petali czekał razem z nim.

Nie znał go. Ale ten człowiek był u Osmana w więzieniu. A dwa dni później zjawiał się tutaj. To nie zbieg okoliczności.

Kroki na kamiennej uliczce. Petali znieruchomiał. Wąsacz sięgnął pod koszulę i wyjął pistolet. Zaskoczenie nie przeszkodziło Petali zrobić tego samego.

Od wschodu zbliżały się dwie osoby.

Wąsacz wycelował.

– Uwaga!

Jake pchnął Margo i dokoła nich huknęły strzały. Rozejrzał się – napastnik leży na ziemi, a Margo żyje. Jak to możliwe?

Rozejrzał się na wszystkie strony z bronią strażnika w rękę. Kto to... Nie on strzelał, nie zdążył. Więc kto?

Na uliczkę wychodzili ludzie, zewsząd dobiegały stłumione jęki i szepty. Z mroku wynurzył się Luca Petali.

– Do środka. – Złapał Margo za ramię, szarpnął i popchnął. – Szybko. Musimy stąd zniknąć.

Wciągnął ją i Jake'a do hotelu i zamknął drzwi gapiom przed nosem. Jake stracił oddech i usiłował wziąć się w garść. Margo poruszała się jak zombie. W ciągu niecałych dwóch tygodni dwa razy uniknęła egzekucji. Jakim cudem jeszcze trzyma się na nogach?

Petali powiedział coś do recepcjonisty, zadzwonił na posterunek –i oczywiście cały czas mówił tak szybko, że Jake niczego nie zrozumiał. Wise tymczasem przysunął Margo krzesło. Trzęsa się, ale nie usiadła, tylko zacisnęła dłonie na oparciu.

Jake powoli układał w głowie przebieg wydarzeń: Wąsacz trafił za Margo do Hiszpanii. Petali go zastrzelił. Boże, gdyby nie odepchnął jej w ostatniej chwili...

Policjant odłożył słuchawkę i skupił się na nich.

– Dzięki, że pan go sprzątnął – zaczął Jake.

– Nie chcę podziękowań. A jeśli zamierzacie wyjechać stąd żywi, powiecie mi, kto to był i dlaczego strzelał do señority Vargas.

Jake już otwierał usta, ale Petali go uprzedził:

– Taka jest moja cena, señor: prawda. Albo zaraz przekażę was hiszpańskim władzom. – Umilkł na chwilę. – Szybko, mamy mało czasu. Lada chwila będzie tu policja.

Margo wyglądała, jakby nagle ocknęła się z długiego snu. Może głos Petaliego wytrącił ją z letargu, a może sprawiło jej przyjemność, że znowu omal nie zginęła. W każdym razie jej oczy zasnuły się mgłą i zaczęła mówić. Szkoda tylko, że Jake nie rozumiał ani słowa.

– Co mu powiedziałaś?

Margo nie zwracała na niego uwagi, tylko mówiła coś po hiszpańsku.

– Po angielsku, Margo, on też mówi po angielsku.

Patrzyła Petaliemu w oczy. W końcu policjant spojrzał na Jake'a.

– Proszę wyjść.

– Co?

– Jest pan wolny. Jake spojrzał na Margo.

– A ona?

– Ona zostaje.

– W takim razie ja też.

– Nie – odrzekła Margo. – Odejdź, Jake, póki możesz.

Nie podobało mu się, że mu rozkazuje. I do tego pozbywa się go, ot, tak.

– Poszłaś z nim na układ?

- Petali zapewni ci ochronę w drodze na lotnisko. Jedź.
- Pieprz się, Scottie.
- Albo to, albo więzienie. Siedząc w hiszpańskim pudle, nie dowiesz się, czy zabiłam Franka.
- Niby o co mnie oskarżają? Że ktoś do mnie strzelał? Nie wiedziałem, że to przestępstwo.
- Tym się proszę nie przejmować – wtrącił się Petali. – Z chęcią coś na pana znajdę.

Jake zmarszczył brwi i wrócił wzrokiem do Margo.

- Nie zrobisz tego. To, co się stało... to nie była twoja wina. Roześmiała się, o ile grymas na jej twarzy i dziwaczny dźwięk wydobywający się z jej gardła można nazwać śmiechem.
- Nie moja wina? Dowodziłam akcją.
- Miałaś rozkaz.
- Rozkaz? – Kolejne parsknięcie śmiechem. – Cały czas słyszę krzyk tego dzieciaka. Wiesz, co to za uczucie, Jake, słyszeć w głowie martwe dziecko?
- Wypełnianie rozkazów to nie...
- Skąd wiesz, że nie miałam rozkazu, by zabić Franka? – Mówiła cicho, w jej niebieskich oczach malowała się rozpacz. Nie podobało mu się ani jedno, ani drugie.
- Bzdura.
- Czyżby?
- Tak.

Uśmiechnęła się smutno i na chwilę jej piękne usta złagodniały.

- A więc w końcu zdecydowałaś.

Czyżby? Prawda uderzyła go z potężną siłą, jak w filmach, gdy kamera zbliża się i cała reszta niknie. Nie chodzi o to, że uwierzył, że nie ona zabiła Franka, choć miał taką nadzieję. Rzecz w tym, że to już nie było ważne.

I tak będzie przy niej. I tak będzie o nią walczył.

Przez całe dorosłe życie zależało mu tylko na jednym – żeby złoczyńca poniósł karę. A teraz chciał jedynie, żeby morderczyni – o ile to ona – zdołała uciec. I to jak najdalej.

Pękły wszystkie więzy łączące go z rzeczywistością i czuł, że spada. Przez chwilę nie mógł złapać tchu.

A potem odzyskał równowagę, skupił się na Margo, na jej szczupłym ciele i przerażonej twarzy.

Pociągnął ją w kąt, z dala od czujnego wzroku Petaliego.

- Możemy zniknąć. Uciec.

Słyszała desperację w jego głosie i widziała wstyd w oczach. Bała się zrozumieć, co to może oznaczać.

- Co ty opowiadasz?

- Wiesz, co mam na myśli. Jej żołądek fiknął salto.

- Uciec? Mielibyśmy uciec? – Nagle zrozumiała. – O Boże. Myślisz, że to ja.
- Tego nie powiedziałem.
- Miałam rację. Podjąłeś decyzję. Myślisz, że to ja zabiłam Franka.
- Nieprawda.
- Kłamiesz. Podniósł bezradnie ręce.
- No dobrze, dobrze! – Ukrył twarz w dłoniach. Wyglądał, jakby nie spał od wielu miesięcy. – Chcesz znać prawdę? Nie wiem. Mogę w ciebie uwierzyć. Wybieram to. Ale są dowody i jeśli wrócisz, trafisz za kratki.
- Wydawało mi się, że tego chcesz.
- Nie aż tak bardzo.

Odwróciła wzrok, bo nagle poczuła łyzy pod powiekami.

- Wielkie dzięki. Ukradkiem zerknął na Petaliego.
- Więc jak? Spadamy stąd? Ogarnął ją smutek.
- Czyli co? Walimy naszego kolegę w głowę i się zmywamy?
- Mniej więcej.
- Zaskoczyłeś mnie.
- Daruj sobie...
- Nie.
- Co „nie”? Nie, darujesz sobie, czy nie...
- Nie. – Starannie dobierała słowa, chciała, żeby zabrzmiały delikatnie. Chciała mu to dokładnie wytłumaczyć. – Sam mówiłeś, że będziesz miał kłopoty, bo mi pomagasz. Wracaj. Nikt się nie dowie, że tu byłeś. A ja wrócę i stawię wszystkiemu czoło. Trzymaj się od tego z daleka.
- Nie chcę.

Westchnęła.

- I kto tu nie słucha rozkazów?
- Janie...
- Myślisz, że nie wiem, co mi proponujesz? I ile to cię będzie kosztowało? – Mówiła szybko, nerwowo, z pasją. – Jake, ty zbierasz śmieci, a nie rozrzucasz je po świecie.
- Nie jesteś śmie...
- To, co proponujesz, jest sprzeczne ze wszystkim, w co wierzysz. I dla kogo? Dla mnie?
- Powiedziałem, że w ciebie wierzę.
- Znowu miała łyzy w oczach, ale opanowała się i pokręciła głową.
- Jestem ci wdzięczna, nie wiesz nawet, jak bardzo. Ale nie pociągnę cię za sobą na dno.
- Nikt nie...
- Słuchaj, mam mówić jaśniej? Jeśli mi pomożesz, sam się pograżysz. A ja takiej ceny nie zapłacę.
- Tu nie chodzi o ciebie!
- Masz rację – przyznała smutno. – Tu chodzi o Franka i te dzieci.

– Boże. Szczególnie o dzieci. I dobrze o tym wiesz.

Patrzyła w jego upartą twarz. Uważa, że rzuca się lwom na pożarcie, ale ona wiedziała, że tylko tak może się uratować. Po tym, co zrobiła... Boże, w ogóle nie może o tym myśleć. A jeśli odeszłaby wolna, czysta... Byłoby to równie nieprzyzwoite jak to, co zrobiła.

– Proszę cię. – Położyła mu rękę na ramieniu. – Idź już. Rozległo się pukanie do drzwi.

– Dość tego – stwierdził Petali. – Nie mamy czasu. – Za nim stał mężczyzna w mundurze. Petali wskazał Jake'a. – Zabierze pana na lotnisko. – Powiedział coś szybko po hiszpańsku i funkcjonariusz przykuł Jake'a do siebie kajdankami.

– Zdejmę je panu w samolocie – wyjaśnił.

Margo wolałaby, żeby obeszło się bez tego, ale chciała mieć pewność, że Jake nie skorzysta z pierwszej okazji, żeby uciec.

– Przepraszam – szepnęła.

Jake zacisnął usta w wąską gniewną kreskę, gdy na nią patrzył.

– Ależ z ciebie męczennica, co?

Patrzyła mu w oczy. Wyglądał, jakby chciał ją udusić. Dobrze, że nie zrobi tego jedną ręką.

Policjant go wyprowadził i Margo odetchnęła z ulgą. Nieważne, co sądzi Jake, ulżyło jej. Istnieje droga ucieczki. Ale pójdzie nią sama.

Trzy dni później Jake posłużył się odznaką, żeby dostać się na lotnisko Reagana, i patrzył przez okno, jak policjanci prowadzą skutą Margo do samochodu.

Chciał, by ogarnął go gniew, chciał dać upust wściekłości, bo przecież to ona zabiła Franka. Ale martwił się tylko, czy dawno ją skuli. Czy kajdanki otarły jej skórę do krwi?

Zostanie oskarżona o zabicie Franka Temple'a. Zdaniem Brewstera wyjazd z kraju tylko potwierdzał jej winę. Nie wspominając o tym, że mogła uciec – nieważne, że sama oddała się w ręce policji – a to oznacza, że nie będzie można wpłacić za nią kaucji. To wszystko potrwa dzień dwa, w zależności od natłoku spraw.

Jake zatrudnił dla niej prawnika, prawdziwego, ale pod warunkiem że on także będzie uczestniczyć w obronie. Dzięki temu będzie mógł ją odwiedzać.

Zrobił to już następnego dnia. Spotkali się w ciasnym, dusznym pomieszczeniu. Policjant czuwał za drzwiami.

Margo szła niezręcznie w więziennym ubraniu. Miała na sobie ciemnoniebieskie drelichy z numerem wypisanym na plecach. Kolor podkreślał barwę jej oczu, znużonych i zapadniętych. Kiedy zobaczyła, kto siedzi po przeciwnej stronie stołu, pojawiły się w nich czujność i nieufność.

– Co ty tu robisz, Jake?

Strażnik stanowczo pchnął ją na krzesło.

– Najpierw proszę usiąść, dopiero potem można rozmawiać.

- Nic o tobie nie mówiłam – zaczęła, ledwie dotknęła siedzenia. Strażnik przykuł ją do stołu i się wycofał. – Nie powinieneś tu przychodzić. Jake patrzył na poszarzałą twarz okoloną ciemnymi włosami.
- Koszmarnie wyglądasz.
- Dzięki – mruknęła sucho.
- Źle spisz?
- Nerwowo pokręciła głową. Samopoczucie to nie jest teraz najważniejsza sprawa.
- Co tu robisz?
- Mógłbym zapytać cię o to samo – odparł. Uśmiechnęła się.
- Chcę, żeby sprawiedliwości stało się zadość.
- Banał.
- Co jest? Nie wierzysz w materiał dowodowy?
- Nie. Nie do końca. Westchnęła.
- Bo nie chcesz. Ale dowody są. Wzruszył ramionami. Miała rację.
- Powiedzmy, że instynkt mi to podpowiada.
- Jeszcze kilka dni temu instynkt podpowiadał ci coś zupełnie innego.
- Prawdziwy facet przyznaje się do błędu.
- Jasne. Gdzie to wyczytałeś?
- W Biblii. Albo u Szekspira. Takie cytaty są zawsze albo z tego, albo z tego. Margo zamknęła oczy, jakby zapadła się w sobie. Nie miała już siły, zmęczenie brało górę. Od kilku dni spacerowała w kółko po ciasnej celi i myślała tylko o jednym. Kto zrobiłby coś takiego? Dlaczego dawniej jej to nie przerażało? Pytania krążyły, nie dawały spokoju. A Jake przynosił kolejne.
- Daruj sobie, Jake. Proszę. Nie słuchał jej.
- Był u ciebie Connelly? Pracujesz dla niego, powinien ruszyć swój urzędniczy tyłek i coś zrobić.
- Rozmawialiśmy już o tym – przypomniała znużona. Męczyło ją mówienie.
- Rozmawialiśmy? Kiedy?
- W Hiszpanii. W Hotelu. Z Petalim.
- Nie przypominam sobie. Sama zdecydowałaś i...
- Muszę tak postąpić.
- Poddać się?
- Ten zarzut wzbudził iskrę gniewu.
- To nie jest poddanie się – warknęła. – Tylko akceptacja. Pogodzenie się z odpowiedzialnością. Moją.
- Wstał sfrustrowany.
- Zbadali zdjęcie w domu Franka. To z tobą. Jest autentyczne.
- Widzisz? Wszystko się układa.
- To tylko oznacza, że się znaliście. Może to twój krewny? Wuj...
- Wspominał coś kiedykolwiek o siostrzenicy?
- Nie. Co nie znaczy, że jej nie miał.

Zamyśliła się. Nie chciała krewnych. Po raz pierwszy cieszyła się, że nic jej z nikim nie łączy. Tylko ona musi siebie znosić. Dzień za dniem.

– Słuchaj, Jake, doceniam twoje wysiłki, ale...

– Moja pomoc. Tak, rozumiem.

Wbiła wzrok w swoje skute ręce. Męczyło ją, że musi się tłumaczyć z tego, że dokonała takiego wyboru.

– Oboje wiemy, że ktoś musi za to zapłacić. Jeśli to cena za to, żebym już nie słyszała tego krzyku – dobrze.

Jake wstał.

– Jeśli chcesz, możesz się powiesić pod moimi oknami – powiedział zimno. – Ale i tak będę szukał zabójcy Franka. Bo to nie ty.

Prosto z więzienia Jake pojechał do Connelly'ego. Próbował umówić się z nim na spotkanie, ale Connelly był bardzo zajęty przez najbliższe trzy dni i nawet wpływy Melvy nie pomogły. Tak więc Jake wszedł do siedziby firmy, pojechał na dwunaste piętro i czekał niedaleko biura Connelly'ego w nadziei, że go złapie, gdy będzie szedł na kolejne spotkanie.

Zobaczył go tuż przed siódmą – w płaszczu, z teczką. Jake oderwał się od ściany i pospieszył za nim. Connelly był niski, drobny i szybki. Jake przyspieszył kroku.

– Przepraszam, czy możemy porozmawiać? – zaczął najbardziej łagodnym głosem, na jaki było go stać. Niektórzy zwierzchnicy, jak Frank, zdobywają respekt, nie zważając na hierarchię. Connelly był chyba inny. – Jake Wise. Tydzień temu rozmawialiśmy o Franku Temple'u.

Connelly zmierzył go wzrokiem.

– Synu, moja sekretarka umówi cię...

– Chodzi o Margo Scott. Connelly nawet nie mrugnął.

– Idę na ważne spotkanie.

– Odprowadzę pana.

Kolejne spojrzenie. Trwało zaledwie ułamek sekundy, a Jake miał wrażenie, że przejrzało go na wylot. Connelly spojrzał na zegarek i rozejrzał się.

– Pięć minut. – Wskazał Jake'owi kierunek i po chwili znaleźli się w sali konferencyjnej. – Słucham – zaczął.

– Zakładam, że zna pan sytuację? Została aresztowana.

– Dowiedziałem się wczoraj.

Wczoraj? I co zrobił, do cholery? Nie skontaktował się z Margo, to pewne.

– Jestem ciekaw, co pan zamierza.

– Co zamierzam?

– No, jak chce ją pan wyciągać?

Connelly odstawił aktówkę na krzesło, przełożył płaszcz przez oparcie.

– Nie wiedziałem, że TCF przydzieliło kogoś do tej sprawy.

Jake poruszył się niespokojnie. Connelly był znany z tego, że nieraz naruszał zasady, ale kto wie, czy zaryzykuje, gdy się okaże, że i on sam na tym ucierpi...

- Ja, no cóż... nie zostałem właściwie przydzielony. Nieoficjalnie. Jedna brew Connelly'ego uniosła się nad oprawkę okularów, ale nie kazał Jake'owi wyjść, a to już dobrze.
- Powiedzmy, że nie jestem bezstronny.
- Z powodu?
- Jake się zawahał, nie wiedząc, jak dużo może powiedzieć, nawet osobie na tak wysokim stanowisku. Ale właściwie nie miał wyboru, jeśli chciał pomóc Margo.
- Frank Tempie, sir. Chwila ciszy.
- Frank nie żyje.
- Tak jest. Ale przed śmiercią prosił, żebym zaopiekował się panią Scott. Mrugnięcie za szklami okularów.
- Prosił?
- Tak.
- Zmrużenie oczu.
- Żebyś się nią zaopiekował? Czy ją obserwował? Teraz najtrudniejsze.
- Ja... Sam nie wiem. Frank tego nie sprecyzował. Kazał mi ją obserwować dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale to pana agentka.
- Jeśli jest moją agentką, nie możesz o tym wiedzieć.
- Tak jest. Zerknął na zegarek.
- Muszę już iść. – Ruszył do drzwi, ale Jake zastąpił mu drogę.
- Ona potrzebuje pomocy.
- ~ Jeśli po to przyszedłeś, marnujesz czas, twój i mój. Nawet jeśli pracowała u mnie, czego wcale nie twierdzą, było to sześć tygodni temu. Teraz to Jake się zdziwił. – Jak to?
- Synu, wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Czasami się załamujemy. Pękamy. Jake pokręcił głową.
- Przykro mi, nadał nie rozumiem.
- Znałeś kiedyś renegata? Kogoś, kto zerwał więzi z agencją i poszedł własną drogą?
- To nie tak.
- O ile mi wiadomo, pani Scott ma kłopoty z pamięcią. Spojrzał Jake'owi prosto w oczy.
- Skoro Frank prosił cię, żebyś miał na nią oko, to nie dlatego że chciał ją chronić. Uwierz mi, synu, ta kobieta zagraża sobie samej i innym. Lepiej niech zostanie tam, gdzie jest. A teraz przepraszam, spieszę się. – Ominął Jake'a i podszedł do drzwi.
- Jego słowa docierały do Jake'a zza mgły gniewu.
- Jeśli coś jej się stało! – zawołał za odchodzącym. – Jeśli, jak pan to określił, pękła, zaczęło się to w Hiszpanii. Od pańskich rozkazów. Connelly odwrócił się powoli.
- Nie może jej pan zostawić – dodał Jake. Connelly spoważniał.
- Co wiesz o Hiszpanii?

- Wystarczająco dużo. Rozmawiałem z Carnsem.
 - Agent Carns nie żyje.
 - Co? – To nim wstrząsnęło. Nie zapomniał o szpitalu i złożonej obietnicy, ale kiedy usiłował zawiadomić odpowiednie władze, okazało się, że Margo go uprzedziła, umawiając się z Petalim. Myślał, że Carns już dochodzi do siebie w specjalistycznym ośrodku w Stanach. – Kiedy?
 - Dwa dni temu, podczas lotu.
 - Jezu. – Przeczesał włosy palcami.
 - Kiedy ostatnio z nim rozmawiałeś?
 - W zeszłym tygodniu.
 - Byłeś ze Scott w Hiszpanii?
 - Już mówiłem, miałem zadanie...
 - Nieoficjalne. Od zmarłego.
 - Tak, ale...
 - Muszę już iść, nie mogę pozwolić, żeby sekretarz obrony narodowej na mnie czekał. Wpadnij rano, pogadamy. – Poklepał Jake'a po plecach. – Zobaczymy, co da się zrobić dla pani Scott.
- Connelly dał Jake'owi promyk nadziei. Teraz pytanie, jak to wykorzystać.

Jednak o drugiej w nocy nadzieje Jake'a zaczęły się rozwiewać. Strzelec z Sewilli przeżył. Jake dzwonił do Petaliego, by dowiedzieć się, co zeznał, ale policjanta nie było. Jake nie spał, jadł batony, cucił się kawą i czekał, aż Petali oddzwoni.

I dlatego nie spał, kiedy dwaj mężczyźni wpadli do jego pokoju. Rozpoznał ich od razu: Okularnik i jego koleżka. Druga runda.

Jake zerwał się na równe nogi.

– Co za maniery – mruknął.

Okularnik ryknął. Jake uderzył go w twarz i mężczyzna padł jak długi.

Walka trwała kilka minut, które ciągnęły się jak długie godziny, ale kiedy było już po wszystkim, Okularnik leżał na podłodze z głową roztrzaskaną o drzwi, a koleżka w kałuży krwi z nożem w piersi.

Jake dyszał ciężko, stał z czoła pot i krew.

Okularnik chyba stracił przytomność, ale Jake na wszelki wypadek go związał i kiedy kończył, oddychał już w miarę normalnie. Wyszedł na zewnątrz.

Rozejrzał się po parkingu w poszukiwaniu trzeciego, ale nikogo nie dostrzegł.

Samochody tkwiły nieruchomo jak trupy.

Wsiadł do auta i wyjechał poza teren motelu. Nowe opony spisywały się doskonale, ale obolałe żebra utrudniały oddychanie. Zaklął pod nosem, zaparkował po drugiej stronie ulicy i sięgnął po komórkę. Nie podobało mu się to, co robił, ale stawka rośnie, a jemu trafiły się fatalne karty.

W telefonie rozległ się znużony głos.

– Brew ster.

– Cześć, Sammy, mam dla ciebie świeże ciała.

– Kto mówi?
– Jake Wise. Motel Econo Lodge, Arlington, pokój 12 A.
Począł na przyjazd Brewstera w samochodzie. Patrzył, jak zwałisty policjant wchodzi do pokoju, dał mu jeszcze kilka minut na ocenę sytuacji i zadzwonił ponownie.
– Jestem w pobliżu, Brewster. Spotkajmy się, a wszystko ci opowiem.
– Wygląda na niezłą walkę.
– Robiłem, co mogłem.
– Godne podziwu. Szkoda, że dzisiaj jest mały popyt na prawników na ringu bokserskim.

– No cóż, nie jestem prawnikiem.
– Tak, coś takiego chodziło mi po głowie.
– Słuchaj, powiem ci wszystko, ale tylko tobie.
– Wiesz, że nie mogę pójść na taki układ.
– Sammy, w grę wchodzi bezpieczeństwo narodowe. Uwierz mi, nie chciałbyś, żeby wszyscy o tym gadali. Zresztą sam ocenisz. Zajrzyj do biurka, zostawiłem tam broń. Mój nóż... No cóż, wiesz, gdzie jest. Nie jestem uzbrojony i potrzebuję twojej pomocy.

Samuel Brewster nie ryzykował. Był ostrożny i rozważny. Zawsze wszystko analizował. Żadnych szaleństw. A zaufanie Jake'owi Wise'owi było by szaleństwem.

Ale Brewstera zżerała ciekawość.

Margo Scott to ważna agentka, ale nie wiedział jeszcze, dla kogo pracowała, a ona niewiele mówiła. Ani nikt inny. Miał już dosyć tajemnic, klauzul tajności i odsyłania go z kwitkiem.

Ma na Scott mocne dowody. Może aż za mocne.

Dochodziła druga nad ranem, za kilka godzin zaczyna się jego zmiana, rano musi odwieźć synka do szkoły. Ma na głowie pięć innych spraw i chemie dałby sobie spokój z tym zamieszaniem. Strzał w dziesiątkę. Sprawa zamknięta.

Kolejny punkt dla naszych.

Rozejrzył się po pokoju. CSU wkrótce się zjawi. Związany facet zamruczał coś w obcym języku.

Allach? Coś o Allachu?

Sam westchnął ponuro. Ostatnie, czego mu trzeba, to kolejna sprawa z klauzulami utajnienia. W oddali zawyły syreny.

Począł, aż się zbliżą i poszedł na spotkanie z Wise'em.

Jake zabrał go spod motelu i ruszył. Brewster obejrzał się za siebie.

– No dobra, jestem. O co chodzi?

– Słyszałeś o Billu Conneilym?

– Tym, co ma stację benzynową w Brookland?

– Nie, tym, co dowodzi DCO. Komórką do zdań ściśle tajnych. Szefie Margo.

Jake wjechał na autostradę i skręcił w stronę Baltimore. Na szerokiej jezdni było niewiele samochodów, latarnie rozpraszały mrok, ale nie przenikały do wnętrza wozu. Właśnie o to Jake'owi chodziło.

Brewster milczał, zanim nie wjechali na autostradę, a potem zaczął mówić, jakby nagle poczuł się wolny.

– Chcesz powiedzieć, że Margo Scott to tajna morderczyni na usługach amerykańskiego rządu? Kiepskie referencje.

– Byłem dzisiaj u Connelly'ego. Uważa, że zdradziła. No, pękła.

– No cóż, nic dziwnego, zważywszy, co jej się zarzuca. Jake nie dawał za wygraną mimo sceptycyzmu policjanta.

– Kilka godzin po tym spotkaniu do mojego pokoju wpadło dwóch cudzoziemców.

– Tak, widziałem, jak potraktowałeś gości.

– Ci sami cudzoziemcy kilka tygodni temu szukali Margo. Brewster z zainteresowaniem podniósł głowę.

– Zakładam, że jej nie znaleźli.

– Pamiętasz moje zderzenie z drzwiami?

– To oni?

– Tak.

– Cóż, nigdy ci nie uwierzyłem – mruknął Brewster. – A więc chcesz powiedzieć, że ci... ci cudzoziemcy to ludzie Connelly'ego?

– Tak mi się wydaje.

Brewster wzruszył ramionami. Wyglądało na to, że słowa Jake'a go nie przekonują.

– Pobili cię już przedtem. Może chcieli dokończyć dzieło?

– Widzisz, właśnie w tym rzecz. Poprzednio nic ich nie obchodziłem. Szukali Margo. Dzisiaj przyszli po mnie.

– I to po twoim spotkaniu z tym Connellym.

– Zbieg okoliczności? Nie wierzę. Brewster pokręcił głową.

– Ja też nie bardzo. Ale dlaczego Connelly chciał cię załatwić? I Scott?

– Wysłał ją na trudną misję, a potem się wszystkiego wyparł. Powiedział, że działała z własnej woli. Ale rozmawiałem kims, kto z nią był i potwierdził, że mieli jasne rozkazy.

– Aten ktoś to...

– Nieważne. Nie żyje.

– Bardzo wygodne.

– Posłuchaj, muszę coś mieć na Connelly'ego. Nie mogę tego zrobić drogą służbową, bo to za gruba ryba. Muszę mieć coś innego.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– Chciałbym porwać Margo z więzienia.

Strażniczka przyszła po Margo tuż po śniadaniu, zanim ta zaczęła pracę przy sprzątanii ubikacji.

– Dzisiaj cię ocenią – powiedziała, sprawdziła kajdanki na rękach i łańcuch na nogach.

Margo podniosła wzrok. Na wielkiej piersi strażniczki widniała plakietka z nazwiskiem – „Crosscox”. Potężna kobieta, wyglądała na zapaśniczkę.

– Masz świra, nie? – Corsscox uśmiechała się szeroko. W jej twardych oczach błyszczało okrucieństwo, ale Margo już do tego przywykła.

– Pewnie tak. – Akurat. Szaleństwo to najprostsze wyjaśnienie. Bo jak inaczej mogłaby zabić dziecko? Wiedząc o sobie tyle, ile wiedziała, zdziwi się, jeśli nie uznają jej za niepoczytalną.

– No, to walną ci pieczętę na czole i po sprawie.

Prowadziła Margo długim korytarzem, idąc trochę za szybko, by Margo mogła nadążyć ze skutymi nogami. Przy każdym kroku łańcuchy dzwoniły jak oszalałe, przypominały jej, co zrobiła i czego nigdy nie naprawi.

Zatrzymały się, uzupełniły niezbędne dokumenty i wyszły na parking pełen czekających samochodów i strażników z bronią.

– Scott – oznajmiła Corsscox. – Na badanie psychiatryczne. Strażnik wskazał ostatnią furgonetkę.

Kazali jej wejść po rampie w otwartą paszczę wozu. Przykuli jej stopy do podłogi, a ręce do kółek w ścianie. Drzwi się zatrzasnęły i wóz ruszył.

Odchyliła głowę do tyłu, zamknęła oczy, pozwalając, by jej ciało kołysało się rytmicznie wraz z samochodem. Powinna być wdzięczna za tę przerwę w codziennej rutynie, ale tłumiała w sobie wszelkie uczucia. Po co czuć, skoro jedyne, co do ciebie dociera, to poczucie winy?

Dwadzieścia minut później wóz się zatrzymał. Zastanawiała się jak przez mgłę, do jakiego szpitala ją przywieźli. Może naszprycują ją narkotykami? Cudownie będzie odpłynąć w nieświadomość.

Drzwi się otworzyły i do furgonetki ktoś wszedł. Kierowca, domyśliła się, ale nie zawracała sobie głowy sprawdzaniem. Mężczyzna zdjął jej łańcuch z nóg. Kiepski pomysł. Jedno kopnięcie i facet straci przytomność.

Ale nawet nie drgnęła. Siedziała i czekała, aż rozkuje jej ręce.

On tymczasem przerwał ciszę.

– Podali ci coś?

Znieruchomiała. Ten głos. Przedarł się przez z takim trudem wznoszona ścianę obojętności. Jęknęła.

– Jake, co ty tu robisz?

– Wykonuję manewr Jennifer–Brittany. Otworzyła oczy. Stał nad nią z kluczami w ręku.

– No wiesz, Brittany i Jennifer chcą przenocować u swoich chłopaków, więc mówią rodzicom, że jedna nocuje u drugiej.

Margo przechyliła głowę i ściągnęła brwi.

– Słucham?

Posłał jej spojrzenie pełne anielskiej cierpliwości.

– W więzieniu myślą, że jedziesz do szpitala na badanie psychiatryczne. W szpitalu, że w areszcie zmienili decyzję. – Uśmiechnął się i pogroził jej żartobliwie palcem. – Niegrzeczna dziewczynka. – Zabrał się do otwierania kajdanków.

Cofnęła się na tyle, na ile to możliwe w jej sytuacji.

– Daruj sobie.

Nawet się nie zawahał. Nadal majstrował przy kajdankach.

– Chyba nie będziesz przysparzała mi kłopotów, co? – Pomógł jej wstać.

– Wydawało mi się, że wszystko sobie wyjaśniliśmy. Robię to, co muszę. Nie uciekam.

– A jednak tak, cholera.

Ostatnie, co zapamiętała, to jego pięść tuż przy twarzy.

Nie miała pojęcia, na jak długo straciła przytomność, ale ocknęła się w swoim łóżku, w domu ciotki Frances. Nie, nie w swoim łóżku. Nie, nie w domu ciotki Frances.

Przepaść w jej duszy się pogłębiła. Zamknęła oczy, nie chciała o tym myśleć.

Musi się stąd wydostać. Sama świadomość, że przebywa w tym domu, przyprawiała ją o dreszcze. Chciała usiąść, ale coś ją zatrzymało ją.

Kostka.

Przykuta do łóżka.

– Jake! – wrzasnęła gniewnie. Zjawił się natychmiast.

– Już jestem, skarbie.

Jęknęła. Bolała ją szczeka, a on uśmiechał się promiennie.

– Co ty wyprawiasz? – warknęła.

– Zapewniam ci to, czego tak pragniesz: sprawiedliwość. O nie.

– Rozkuj mnie. – Poruszyła nogą. Metalowa obręcz obcierała skórę. Pokręcił głową.

– Raczej nie.

– Do cholery, puść mnie!

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Bo Brewster dla ciebie zaryzykował. Że nie wspomnę o sobie, bo już i tak nieźle wziętem w tyłek.

Boże, czy on nigdy nie mówi jasno?

– O co ci chodzi?

Opowiedział o spotkaniu z Connellym, o tym, jak go zaatakowano w motelu, o umowie z Brewsterem.

– Wiesz co? To ty powinienes iść do psychiatry. Niby dlaczego Connelly miałby zabijać Franka?

– Jeszcze nie wiem. Mam nadzieję, że nam powie.

Patrzyła na niego jak na wariata. Nie, on nie jest jak wariat. On oszalał naprawdę.

– Żartujesz, prawda?

Pokręcił głową i podniósł palec na znak, że Margo ma milczeć. Wyjął telefon i wystukał numer.

– Tu Jake Wise. – Podał numer swojej legitymacji i zaczął mówić szybko, nerwowo: – Muszę natychmiast rozmawiać z dyrektorem Connellym. To bardzo pilne. Proszę mu powiedzieć, że chodzi o nasze poprzednie spotkanie.

Zrozumie.

Czekał, aż połączą go z Connellym, i Margo wykorzystała chwilę ciszy.

– Co ty do cholery...

Ale Jake znowu uniósł znacząco palec i odezwał się do telefonu:

– Tak, proszę pana, w związku z osobą, o której rozmawialiśmy. Jest na wolności. Uciekła. Nie, nie znam szczegółów. Policja jej szuka, ale... tak. Rozumiem. Lepiej będzie, jeśli sami ją znajdziemy. Zwłaszcza w świetle naszej ostatniej rozmowy, zważywszy że mogła... – spojrzał na nią z uśmiechem w oczach – stanowić zagrożenie. Mam kilka pomysłów, wiem, gdzie mogłaby się ukryć. Nie. Nikt inny. I jeszcze jedno... – Zniżył głos. – Ja też miałem kłopoty. Wczoraj wieczorem zaatakowano mnie w motelu. Nie wiem, czy to ma coś wspólnego z tą sprawą, ale staram się zniknąć z oczu. Wolałbym, żeby na razie, zostało to między nami. Tak, mam. Już piszę... To prywatny telefon? Zadzwoń, gdy tylko się czegoś dowiem.

Rozłączył się i spojrzał na nią triumfalnie

– Wiedziałem, że ten drań coś ukrywa.

– Prywatny numer?

– Nie zgodziłby się na coś takiego, gdyby miał czyste sumienie.

– Uruchomiłby drogi służbowe.

– Tak. Każdy je zna. Każdy ma swoje wejścia. A on jest szefem ważnego wydziału i...

Margo głośno wypuściła powietrze z płuc.

– I?

Jake uśmiechnął się szeroko.

– No, dobrze. Co teraz? Tak po prostu siedzimy tu i czekamy?

– Cóż, najpierw muszę cię złapać. A to zajmie kilka godzin.

Jake poczekał do zmroku, zanim ponownie skontaktował się z Connellym.

Uznał, że noc to lepsza pora na wyznania. No i potrzebował czasu, żeby wszystko przygotować i sprawdzić sprzęt w pokoju obserwacyjnym. Ustalili, że przekaże mu Margo o północy w domu przy Foxhall Road.

Dziesięć minut przed umówionym czasem detektor ruchu, który zainstalował w pokoju obserwacyjnym, zareagował.

Jake usłyszał to w bezprzewodowej słuchawce umieszczonej w uchu.

– Już jest – szepnął do ukrytego mikrofonu. Zgodnie z planem nerwowym krokiem przemierzał hol, żeby Connelly – który wkrótce zobaczy to, co dzieje się w domu na monitorach – pomyślał, że jest bardzo zdenerwowany.

– Miałeś rację. – Z sypialni na piętrze dobiegł ponury głos Margo. Opowiedział jej wcześniej o luce w nagraniu z nocy, kiedy zginął

Frank, luce, za której sprawą Margo mogła się wymknąć i dokonać zbrodni. Jake od początku zastanawiał się, czy przy taśmie nikt nie majstrował.

– Teraz mamy przynajmniej pewność, że Connelly wie o pokoju obserwacyjnym i zna rozkład domu.

Do rozmowy włączył się Brewster, jego metaliczny głos rozbrzmiał w uszach Jake'a, gdy odezwał się z wozu transmisyjnego po drugiej stronie ulicy.

– Zgasły światła przy drzwiach wejściowych i... – zawahał się. –W sypialni. Chwila satysfakcji. Tak jak się spodziewali, Connelly wyłączył kamery. To sygnał. Czas zacząć.

Jake wyjął słuchawkę z ucha i schował ją do kieszeni. Jeszcze raz wszystko sprawdził. Przytłumione światło nadawało pomieszczeniom aurę tajemnicy, drzwi, zgodnie z umową, były otwarte. Szybkie spojrzenie w kąt i upewnił się, że małe kamery internetowe, które tam zainstalował, działają i rejestrują wszystko – obraz trafia do Brewstera po drugiej stronie ulicy. Wyobraził sobie, jak Margo zdejmuje kajdanki i staje za drzwiami.

Boże, oby trzymała się planu. Przypomniała mu się kobieta, która działała po swoim. Osobiście sprawdził trasę, którą tamtego dnia miała jechać Danika, upewnił się, że jest bezpieczna. Pocałowała go w policzek i powiedziała, żeby się nie martwił, a potem i tak pojechała drogą, którą sama wcześniej wybrała, bo chciała sprawdzić, jak się miewa stary znajomy. Nigdy do niego nie dotarła. Zginęła, zanim Jake w ogóle usłyszał o zasadzce. Dotarcie do drani, którzy to zrobili, kosztowało go pół roku wysiłków i wymagało pomocy Franka. A Dani i tak to nie pomogło.

Nie pozwoli, by po raz kolejny zostały mu tylko zwłoki.

Zaschło mu w ustach. Stał przy schodach. Drzwi otworzyły się cicho i do domu wszedł Connelly. Miał na sobie beżowy płaszcz i pognieciony garnitur, który pamiętał lepsze czasy.

Powitał Jake'a krótkim skinieniem głową.

– Gdzie ona jest? – zapytał cicho. Oczy za brązowymi oprawkami okularów omiotły wewnątrz.

Jake nie mógł go nie podziwiać. Przed chwilą wyszedł z pokoju obserwacyjnego, więc wie, gdzie jest Margo, a zachowuje się, jakby dopiero co przyszedł. Jake zniżył głos i wskazał za siebie.

– Na górze.

– Zabezpieczona?

~ Przykułem ją do łóżka. Musiałem ją ogłuszyć. Ma pan rację, jest szalona.

Connelly zacisnął usta w wąską kreskę, minął Jake'a i ruszył na górę. Nie spieszył się, szedł zdecydowanym krokiem. Gdyby Jake nie znał prawdy, pomyślałby, że ten człowiek idzie na ścięcie. Taki mały i słaby, pokonany.

I doskonale wiedział, jak to wykorzystać. Ile razy wróg przegrał, bo go nie docenił? Connelly miał wielką przewagę taktyczną. Jake powtarzał sobie, że przed chwilą wyłączył cały sprzęt w pokoju obserwacyjnym. Nie jest pokonany. Jeszcze nie.

Z tą myślą ruszył za nim, ale Connelly go powstrzymał.

– Doceniam to, co pan zrobił, Wise, ale od tej chwili ja się wszystkim zajmę.

– Ale sir...

Connelly znowu zmierzył go surowym wzrokiem i czekał, aż Jake posłucha rozkazu, który wydał tak niepozorny człowiek. Jake się cofnął.

– Dziękuję. – Connelly posepnie skinął głową. A potem wyjął pistolet i strzelił do Jake'a. Z bliska. W pierś.

Jake osunął się na drzwi, szok i ból mącił mu myśli. Przez chwilę patrzył Connelly'emu w oczy. Wydawał się... zadowolony. A potem świat Jake'a ogarnęła ciemność.

Stojąca za drzwiami Margo wzdrygnęła się, gdy padł strzał. Przeszył ją lodowaty strach, mocno zacisnęła dłonie na rękojeści pistoletu. Czyżby ich plan spalił na panewce? Niepotrzebnie zgodziła się na szalony pomysł Jake'a.

Zapadła przerażająca cisza.

A potem schody znowu zatrzeszczały pod ciężarem człowieka. Zamknęła oczy i nasłuchiwała.

Kroki były coraz bliżej. Zatrzymały się. Drzwi otworzyły się powoli.

Wsunęła się przez nie ręka z pistoletem wymierzonym w posłanie. Seria strzałów wprawiła kształt na łóżku w histeryczny taniec.

Margo zrobiło się niedobrze. Zagryzła usta, żeby nie krzyknąć. Na łóżku, miała leżeć ona, a nie sterta koców i poduszek.

Kanonada ustała i Bill Connelly wszedł do pokoju, zbliżył się do łóżka i znalazł się w zasięgu wzroku Margo. Mimo opisu Jake'a nie spodziewała się, że będzie aż tak niepozorny. Gdyby nie widziała na własne oczy, jak pakuje w postać na łóżku serię strzałów, nie uwierzyłaby, że jest zdolny do czegoś takiego. Ale nie myślała o tym, nie marnowała czasu.

Przyłożyła lufę do jego pleców.

– Odlóż broń, Connelly. – Zatrzymał się w pół kroku. – Nie, nie odwracaj się.

Nie ruszaj się. – Zabrała mu pistolet.

– Miło cię widzieć, Margo – odezwał się.

– Ale nie żywą, co?

Margo wzięła kajdanki i przykuła Connelly'ego do łóżka, boleśnie wykręcając mu ręce do tyłu.

– Możemy o tym... porozmawiać – zaproponował spokojnie, jakby decydowali, kto zapłaci za drinka w barze.

– Zapewniam, że jeszcze sobie dzisiaj porozmawiamy.

Włączyła komputer i wystukała coś na klawiaturze. Connelly obserwował monitor z nieprzeniknionym wyrazem twarzy: oto strzela do agenta federalnego, bez powodu, z bliska.

Nagranie się urwało. W pokoju zapadła cisza.

– Czego chcesz? – zapytał w końcu Connelly.

– Nagrałam wszystko. Powiedz, kto zabił Franka Tempie, a nikt więcej tego nie zobaczy.

– Skąd pomysł, że wiem?
– Kto go zabił? Uśmiechnął się krzywo.
– Sądziłem, że ty.
– Więc dlaczego tego nie pamiętam?
– Przeszłaś załamanie nerwowe. Poczula ukłucie strachu. A jeśli to prawda? Otworzyła szufladę w biurku i wyjęła telefon komórkowy, który wcześniej tam schowała.
– W każdej chwili mogę zadzwonić do detektywa Brewstera. Znasz go? Prowadzi dochodzenie w sprawie zamordowania Franka Temple'a. Na pewno będzie zachwycony, mogąc do sprawy dorzucić ciebie i to, co się tutaj działo. – Wcisnęła klawisz.
– Poczekaj.
Spojrzała pytająco na Connelly'ego. Lekko skinął głową. Odłożyła komórkę.
– A więc... – Skrzyżowała ręce na piersi i posłała mu nieprzeniknione spojrzenie.
– Wiesz, kto zabił Franka?
– Tak.
Czekała. Minuty płynęły powoli, ale jednocześnie koniec jej męki był tuż–tuż. Kiedy się odezwał, powiedział tylko:
– Wiesz, jak długo dla mnie pracowałaś?
– Co to, do cholery, ma wspólnego z...
– Sześć lat – przerwał jej. — Chociaż przedtem byłaś u Franka. Pomyślała o zdjęciu. O swoich ramionach na szyi Franka Temple'a.
Wyprostowała się.
– Co masz na myśli: byłaś u Franka?
– Byłaś jego protegowaną. – W ostatnich słowach pojawił się cień goryczy. – Jego misją ratunkową.
– Od czego miałam go uratować?
– Od życia bez celu.
Patrzyła na niego pustym wzrokiem.
– To jego metoda – ciągnął Connelly obojętnie. – Wyszukiwał młodych ludzi na rozstaju dróg. Zdolnych, ale zagubionych. Niepokojnych. Bez korzeni, ewentualnie z resztkami ideałów. Ludzi, których czas w wojsku się kończył, na przykład.
– Takich jak... jak ja.
– Znalazł cię nie wiadomo gdzie, sprawił, że poczułaś się wyjątkowa, wyszkolił i doprowadził do tego, że byłaś taka, jak chciał.
– W wojskowych bazach danych mnie nie ma.
– To już nasza zasługa, gdy do nas przeszłaś. Zostałaś wyczyszczona, nie ma śladów po twoim dawnym życiu.
Patrzyła na niego z uwagą, ale nawet się nie zająknął, a to, co mówił, tworzyło spójną całość.

– Skoro byłam tak bardzo związana z Frankiem, dlaczego pracowałam dla ciebie?

Wzruszył ramionami.

– Potrzebowaliśmy specjalisty od broni. Widziałem niewiele osób, które lepiej niż ty posługują się nożem. I zawsze zabijasz. Frank zgodził się ciebie wypożyczyć.

„Specjalista od broni”. „Zawsze zabijasz”.

Margo czuła się pusta, jego słowa niosły się echem, potwierdzały to, co już wiedziała i czego się bała.

– Nie wróciłam do niego?

– Niektórym podoba się życie w masce. Dzięki temu mogą zachować dystans. Przerazenie narastało.

– Samotnicy. Socjopaci... – wyszeptała. „Bez korzeni”. Jego słowa wracały rykoszetem.

– Jak tam sobie chcesz. Nie jestem psychiatrą. Wiem tylko, że zostałam.

Ściągnęła brwi.

– Niby dlaczego miałabym ci uwierzyć?

– Nie obchodzi mnie, czy mi wierzysz.

Mówił spokojnym, pewnym głosem. Przerazał ją brak emocji w jego oczach ukrytych za szklami okularów.

– Co to ma wspólnego ze śmiercią Franka? – zapytała ostrzej.

– Zginął, bo cię chronił.

– Przed czym?

– Przed twoją głupotą.

Otwartość tych słów sprawiła, że na chwilę oboje umilkli. Wreszcie Connelly podjął przerwany wątek:

– Nie kłamałem, kiedy mówiłem, że się załamawsz. Fiasko w Hiszpanii było... trudne. Dwóch agentów nie żyje, zakładnicy martwi... Wróciłaś wstrząśnięta. Zagroziłaś, że wszystko upublicznisz. – Poruszył się, skrzywił, gdy zaboląły go skute ręce. – Nie mogłem do tego dopuścić.

– Upublicznię?

– Larry King, „Washington Post”... Zabieramy nasze tajemnice do grobu, a ty chciałaś je zdradzić. Media oszalałyby ze szczęścia.

Kliknięcie w głowie. Zobaczyła siebie, jak gorączkowo przegląda stosy gazet. O Boże, więc to dlatego? Nie szukała historii, sama chciała ją opowiedzieć.

Naciskała dalej ostrym, twardym głosem:

– Nie chciałeś, żeby świat się dowiedział, że kazałeś dokonać egzekucji dwunastolatka.

– Na wojnie nie ma niewinnych.

– Daruj sobie te bzdury. To był nielegalny rozkaz i dobrze o tym wiesz.

– Och, już to przerabiałem. Z tobą. Z Frankiem. Zaklinał się, że zmusi cię do milczenia, ale ja wierzę w fakty, a nie w obietnice. Skandal byłby tragiczny skutkach dla wydziału. Dla agencji, dla kraju.

– Dla ciebie.

– Och, tak, dla mnie też. I to bardzo. Musiałbym się pożegnać z nadziejami na awans, na stanowisko dyrektora, na karierę polityczną. Ta sprawa byłaby gorsza niż Abu Ghraib, bo tam byli dorośli, a tu...

– Dziecko.

~~ No właśnie. Uznałem, że moim obowiązkiem jest temu zapobiec.

– Zabijając Franka?

– Zabijając ciebie, moja droga.

Jego słowa zawisły w powietrzu między nimi. Znowu przypomniało jej się zdjęcie jej i Franka. Szczęście na jej twarzy, gdy go obejmowała. A więc nie kochanek, nie wujek. Przyjaciel. Ogarnął ją smutek.

– Więc dlaczego nie zostawiłeś Franka w spokoju? – zapytała gniewnie.

– Miał... do ciebie słabość. W naszym fachu uczucia tylko przeszkadzają. Frank nie był w stanie podjąć trudnej decyzji. Miał za sobą wiele lat pracy i ogromną zdolność perswazji. Mógłby mnie powstrzymać, a do tego nie mogłem dopuścić.

Bez namysłu uderzyła go w twarz.

– Ty draniu. Nawet nie drgnął.

Patrzyli na siebie. Margo dyszała ciężko. Connelly chyba w ogóle nie oddychał.

– A Suzanne?

Niemal niewidoczna zmiana w mimice.

– Suzanne?

– Nawet nie wiesz, o kim mówię, prawda?

– Więc mnie uświadom.

– Suzanne. Kobieta, którą znaleziono martwą w moim kantorku. To też ty?

– Umówiliśmy się, że powiem ci o Franku w zamian za zniszczenie dysku. Dostałaś, co chciałaś.

Uderzyła go znowu, mocniej, aż jego głowa poleciała mu do tyłu.

– Opowiedz mi o Suzanne.

Oczy Connelly'ego za szklami okularów były zimne, gadzie. Swędziały ją ręce. Najchętniej zacisnęłaby je na jego gardle i... Zmieniła temat.

– Co się stało z moją pamięcią? Milczał. Wycelowała w niego.

– Co z moją pamięcią, dupku? Tylko zimne spojrzenie.

Strzeliła mu w bark. Piękna, krwawa rana, która zabolę, ale nie zabije. Krzyknął z bólu, po raz pierwszy tracił nad sobą panowanie. Łypnął groźnie na Margo.

– Proszę, strzelaj. Na pewno sprawia ci to przyjemność. Przez całe życie mordujesz, ranisz, kaleczysz – zawodowo. Mała dziewczynka i jej zabawki. Te słowa miały ją zranić, wiedziała to. Ale i tak zabolęły. Cofnęła się zawstydzona. Opuściła pistolet. Mimo bólu uśmiechnął się lekko.

– A więc... to już załatwione. Wyżyłaś się, masz, czego chciałaś. Zniszcz płytke.

– Ja to zrobię. – Jake wszedł do pokoju i posłał Connelly'emu lodowate spojrzenie. – Z największą przyjemnością. – Margo podała mu wielkie nożyce,

a on przeciął nimi płytkę. – Proszę bardzo. – Rzucił kawałki w stronę Connelly'ego. – Sir.

Connelly ze stoickim spokojem przyjął uderzenie kawałków plastiku. Jake wsunął palec w dziurę w koszuli.

– Wie pan co? To bolało – poskarżył się.

– Szkoda, że nie bardziej – wycedził Connelly. Nie spodobało mu się, że go oszukano, ale kto to lubi?

Jake pogroził mu palcem.

– Nie jest pan miły.

Zdjął koszulę – miał pod nią kamizelkę kuloodporną. Ją także zdjął, podszedł do lustra i dotknął czerwonego punktu na skórze – śladu po kuli.

– Jezu Chryste – mruknął do Margo. – Odkąd cię poznałem, obrywam jak nigdy...

Zachnęła się.

– Masz szczęście, że nie strzelił ci w głowę.

Jake odwiózł Margo do aresztu następnego ranka. Metoda Jennifer–Brittany zadziałała bezbłędnie.

Jeśli chodzi o Connelly'ego, chcieli go trochę potrzymać, kiedy Margo wróci do aresztu, ale rana postrzałowa zmieniła sytuację. Brewster od razu zabrał go do więzienia.

Minęło kilka dni, zanim Margo została zwolniona. Choć wiedziała, że powinna czuć wdzięczność, nie mogła, była za bardzo zagubiona. Cały czas brzmiało jej w uszach to, co powiedział o niej Connelly.

Samotnica. Bez korzeni. Życie bez celu, dopóki Frank Tempie nie nauczył jej zabijać.

Mała dziewczynka i jej zabawki.

Przypomniała sobie sąsiadów, którzy jej nie znali. Barmana twierdzącego, że zawsze przychodzi sama. Niepokój, gdy Jake za bardzo się zbliżył.

Jej życie wypełniały maski. Ukrywanie się. Zacieranie śladów po tym, co zrobiła i kim była. Nikt jej nie znał, nawet ona sama.

Na tę myśl przeszywał ją dreszcz.

Koszmary dręczyły ją nadal. Podobnie jak krzyk dziecka.

Chłopiec. Zamordowała chłopca. Na rozkaz.

Nienawiść do samej siebie tak bardzo nie dawała jej spokoju, że nauczyła się niczego nie odczuwać – tylko w ten sposób mogła rano wstać z łóżka. A i tak

nie przychodziło jej to łatwo. Każdego ranka z trudem wyplątywała się z czarnej sieci. Wynurzała się ze snu, młócąc mrok słabymi pięściami, marząc, by pozostać w cieniu.

Gdy Jake oznajmił, że załatwił widzenie z Connellym, nie chciała iść.

– On coś ukrywa.

– Nic mnie to nie obchodzi. – Mieli akurat jeść śniadanie. Jake zjawił się z tuzinem jaj, zwłókł ją z łóżka i zaparzył kawę. Nie miała dość siły, by mu powiedzieć, że nie jest głodna. Machinalnie grzebała widelcem w talerzu.

~ Nie chciałabyś odzyskać pamięci?

– I dowiedzieć się jeszcze więcej na temat tej suki, którą się stałam?

– Margo... – Wyciągnął do niej rękę. Zerwała się błyskawicznie.

– Nie.

Odchylił się do tyłu i patrzył na nią spod zmrużonych powiek.

– Co „nie”? Nie dotykaj mnie? Nie pocieszaj?

– I jedno, i drugie.

– Uratowałem...

– Mój tyłek. Wiem. W kółko mi o tym przypominasz. Przeszył ją wzrokiem. Robiła co mogła, by nie patrzeć mu w oczy.

– TCF chce, żebym wrócił na Manhattan – powiedział w końcu.

– No to jedź.

Jego oczy nie dawały za wygraną. Poszła do kuchni, udawała, że parzy kawę, ale ręce jej drżały tak bardzo, że musiała odstawić filiżankę. Jake stanął za nią i delikatnie wziął za ramiona.

– Nie chcę.

Wyrwała mu się. Boże, czy on naprawdę jest wszędzie?

– Daj mi spokój. Nie musisz trzymać mnie za rękę.

– Może właśnie tego chcę?

I w tym rzecz, prawda? Był jedynym żywym człowiekiem, z którym coś ją łączyło, i chciała się do niego przyczepić jak rzep do psiego ogona.

Ale skąd pewność, że jej uczucia są prawdziwe? A nawet jeśli, jak ma się dowiedzieć, kim jest, kim chce być, skoro on zawsze będzie u jej boku, gotów złagodzić upadek?

No i najważniejsze, najsilniejsze przekonanie, że na niego nie zasłużyła, ani teraz, ani nigdy.

Odwróciła się więc gwałtownie, odepchnęła go i odeszła.

– Nie dociera do ciebie, co? Próbowałam zrobić to grzecznie, nie chciałam cię ranić, ale widzisz, Jake... – Odwróciła się energicznie i posłała mu mordercze spojrzenie – ja cię nie potrzebuję. Nie chcę. Z nami koniec.

W pierwszej chwili wydawał się zaskoczony, ale na jego twarz szybko powrócił poprzedni, chytry wyraz.

– Koniec? – Wskazał palcem najpierw ją, potem siebie. – Z nami?

– Czytasz mi z ust?

– Próbuję, chociaż wolałbym robić z nimi coś zupełnie innego. Boże, czy on kiedykolwiek bywa poważny? Z trudem zaczerpnęła tchu. Będzie trudniej, niż myślała. Była jednak pewna swego i wyrzuciła to z siebie:

– Ilekcioć cię widzę, myślę tylko o tym, jakie to wszystko jest popieprzone. Przypominasz mi o najgorszej częstce mnie samej. Najgorszej. Niedobrze mi się robi, gdy na ciebie patrzę.

– Niedobrze ci się robi, gdy na mnie patrzysz? – powtórzył miękko.

– Tak.

W zadumie kiwał głową.

– Nie sędzę, Scottie. Myślę, że niedobrze ci się robi na myśl o sobie.

– O, proszę. Masz najlepszy przykład. Żalonna popularna psychologia. Właśnie dlatego chcę, byś sobie poszedł. I to już. – Podeszła do drzwi wejściowych i otworzyła je gwałtownie.

Ale Jake zaniknął je i oparł się o framugę, jak to on, leniwie, zmysłowo, i patrzył – nie na nią w podłogę.

– Wiesz, przejrzałem akta Cahilla. – Zerknął na nią od niechcienia, jakby to, co mówi, nie miało znaczenia. Jakby ona nie była ważna. –Trudno o gorszego typa. To zdrajca i morderca.

Brakowało jej cierpliwości. Chciała, żeby to się skończyło. Tu i teraz.

– Cahill tak, ale nie jego żona. Ani dzieci.

– Czasami nie chodzi o to, co jest dobre, a co złe. Czasami trzeba wybrać mniejsze zło.

– Balansujesz na bardzo cienkiej linie.

– Zrobiłaś, co musiałaś.

– Teraz gadasz jak Connelly. Rozłożył ręce.

– Słuchaj, chcę ci tylko pomóc się z tym uporać.

– Nie chcę twojej pomocy! – krzyknęła.

Jej słowa poniosły się echem i chyba do niego dotarły. Wyprostował się i posłał jej kolejne dziwne, przeszywające spojrzenie, jakby widział ją na wylot, i powiedział:

– No to nie ma sensu dłużej tego ciągnąć. Skoro sama chcesz się w tym babrać... Ja już to znam.

Zamknął za sobą drzwi i zniknął.

Wieczorem zadzwonił – nie odebrała. Zadzwonił też rano – znowu nie odebrała. Zmusiła się, by skasować nagrane wiadomości bez odsłuchiwania.

Tydzień później zadzwonił po raz ostatni i z najwyższym trudem powstrzymała się od podniesienia słuchawki. Chciała skasować wiadomość, ale jej palce odmówiły posłuszeństwa. Słaba i głupia, pozwoliła sobie po raz ostatni posłuchać jego głosu. Dostał nową sprawę i na jakiś czas wyjeżdża z kraju. Nie powiedział, dokąd jedzie. Gdyby mogła, zapytałaby. W głębi duszy czuła się porzucona. Osierocona. Pękła ostatnia nić łącząca ją ze światem.

Dwa tygodnie później wynurzyła się z narkotycznej mgły, słysząc dzwonek telefonu. Jej ciało, powolne, ospałe, reagowało jak w zwolnionym tempie.

Ambien, najlepszy przyjaciel nieczystego sumienia.

Majstrowała przy zestawie głośno mówiącym i przy okazji spojrzała na zegarek – dochodzi druga po południu. Przetarła oczy, chcąc się trochę rozbudzić, i odebrała. Brewster. Nie odzywał się od kilku tygodni, nie spodziewała się go, i gdyby miała dość siły, okazałaby zdumienie.

– Coś nie tak?

– Nie – odparł. – A u ciebie? Ten prawnik nadal dobrze cię traktuje?

Znieruchomiała. Upewniła się, że ból nadal jest pod powierzchnią.

– Jake odszedł.

– Zostawił cię? Dlaczego?

Z rozpaczliwym uporem zacisnęła pięści, byle trzymać myśli i uczucia na wodzy.

– Wrócił do pracy.

– Zawsze wiedziałem, że z niego kawał sukinsyna.

Mimo postanowienia, że to wszystko jej nie obchodzi, nie mogła pozwolić, by Samowi takie słowa uszły na sucho.

– To nie fair.

– Dlaczego? Odepchnęłaś go, co?

– Nie stałam mu na drodze, jeśli to masz na myśli.

– Hm...

Ziewnęła ostentacyjnie. Minęło pół dnia, ale nie miała żadnych planów – poza kolejną tabletką i dalszym snem

– Dzwonisz w konkretnym celu czy tylko bawisz się w tatusia?

– Cóż, można powiedzieć, że mam pewien cel.

– No to wal.

Zawahał się. Ciekawe, czy szuka odpowiednich słów?

– Sam, umieram z ciekawości – ponagliła go.

– Connelly poszedł na ugodę – oznajmił wreszcie.

– Też mi nowina.

– Zgodził się na współpracę, pod warunkiem że kara śmierci zniknie z horyzontu. I gada jak najęty.

– Nie obchodzi mnie, co ten drań ma do powiedzenia. Brewster mówił dalej, jakby jej nie wierzył:

– To on podłożył ci do biura dziewiątkę, którą tam znaleźliśmy, tę, która pasowała do łusek u Temple'a. Twoja przyjaciółka, pani DeForrest, przyłapała go na myszkowaniu w kantorku. Dlatego ją załatwił.

Margo przeszył ból, nieoczekiwanie przebił się przez mgłę odrętwienia.

Suzanne. Nie żyje. Przez nią. Suzanne nigdy nie wierzyła, że ktoś mógłby zrobić jej krzywdę. Zawiniła jednym – zaprzyjaźniła się z Margo. Zacisnęła pięści na kocu i trzymała materiał w morderczym uścisku, póki jej oddech się nie uspokoił.

– W porządku?

Z trudem przełknęła ślinę.

– Tak.

– I jeszcze jedno – ciągnął Brewster. – Pamiętasz ten napis na wizytówce? Warner Park?

Zmusiła się, by pomyśleć. Zadziałało.

– To miejsce?

– Nie miejsce.

– Nie miejsce? Więc co?

– Nazwisko.

– Co?

– Jak się okazuje, to kumpel Temple'a z czasów zimnej wojny. Specjalista od manipulacji podprogowej i psychotropów.

Zrobiło jej się zimno.

– Jesteś tam jeszcze? – zapytał Brewster.

– Uhm – z trudem nawet to wydusiła z siebie. Dlaczego zawsze dostaje same złe nowiny?

– Słuchaj, rozmawiałem z nim. Nie potwierdza ani nie zaprzecza, że miał z tym coś wspólnego, ale mam przeczucie, że to jemu zawdzięczasz amnezję.

Cisza ciągnęła się jak czarna dziura, wchłaniała wszystko dokoła.

– Zakładam, że nie skaczesz z radości – mruknął Brewster. – Przykro mi, myślałem, że...

– Masz adres? – przerwała mu, nie wytrzyma współczucia. Nie teraz.

Umówiła się z Warnerem Parkiem tydzień później, w dawnym laboratorium farmaceutycznym. Przycupnęło w zapomnianym zakątku kompleksu biurowego, który powoli zapełniał się najemcami.

Wjechała na teren kompleksu i zatrzymała się wpatrzona w budynki przed nią. Czy już tu była? Co sobie wtedy myślała? Co czuła? Czy wiedziała, co z nią zrobić?

Próbowała wyobrazić sobie laboratorium. Probówki, mikroskopy? Kroplówki? Nosze? Wózki szpitalne? Czy na jej mózgu dokonywano operacji? Wszyto jej przecież nadajnik. Machinalnie podniosła rękę do karku i musnęła bliznę po nadajniku. Myślała i myślała, ale niczego nie mogła sobie przypomnieć.

Niczego, tylko dreszcze i pragnienie.

Gdzieś w oddali zawyła syrena. Po chwili minął ją rozpędzony wóz strażacki. Błyski wspomnień. Rozmazane ciała, swąd spalenizny. Krzyk dziecka narastał, splatał się z wyciem syreny. Cicho! Cicho! Zawróciła szybko i odjechała.

Minął kolejny tydzień, zanim znów zebrała się na odwagę. Tym razem dotarła aż do parkingu. Z bijącym sercem zaciskała dłonie na kierownicy, wpatrzona w drzwi wejściowe jak w bramy piekieł.

Czy naprawdę chce sobie przypomnieć? A jeśli jedyne jej wspomnienia to krew i krzyki?

Była pogrążona w myślach i nie zauważyła, jak ktoś obszedł jej samochód.

Drzwi się otworzyły.

Drgnęła. Wsiadł Jake.

Patrzyła na niego nieprzytomna ze strachu. Pomachał ręką przed jej oczami.

– Cześć.

Kiedy w końcu odzyskała głos, słowa nie chciały przejść jej przez gardło:

– Jak... Co ty... ?

– Tu robie? – Wzruszył ramionami. – Pomyślałem, że przyda ci się towarzystwo.

Jej oczy zaszyły mgłą, ale opanowała emocje. Przełknęła ślinę.

– Jak mnie...

– Jak cię znalazłem? – Przechylił głowę. Kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu. – Uwierzyłybyś w telepatię?

Pokręciła głową i tym samym pękły tamy, które z takim trudem wznosiła. Po jej policzku spłynęła łza. Jake dotknął jej.

– Kiedy poprzednio nie przyszedł, Park zadzwonił do Brewstera. A on do mnie.

– Myślałam... Mówiłeś, że wyjeżdżasz z kraju.

– Wyjechałem. – Dotykał jej policzka dłonią, otaczał miękkością, kusił. – Ale wróciłem.

– Ale ja powiedziałam...

– Tak, pamiętam, co powiedziałaś. Nie myślisz chyba, że dałem się nabrać na te bzdury, co?

I wtedy, nie wiedząc, jak to się stało, znalazła się w jego ramionach.

– Tak bardzo się boję. – Ukryła twarz na jego szyi. Tak jej dobrze w jego objęciach. Jest taki silny i opiekuńczy.

– Wiem. – Przytulił ją mocniej. – Wiem.

Warner Park okazał się starszym, siwym mężczyzną o niesfornej czuprynie. Był chudy jak szczapa, granatowy garnitur zwisał na nim smętnie. Miał na sobie białą koszulę i krawat, ale nie golił się od wielu dni, o czym świadczył siwy zarost na twarzy i szyi. Wyglądał, jakby nigdy nie był w stanie całkowicie się pozbierać, jakby jakaś jego część ciągle mu się wymykała. Ale na widok Margo rozpromienił się jak dziecko.

– No, wreszcie pani jest. – Z radości zacierał ręce. Miał europejski akcent, co w porównaniu z ekscentrycznym wyglądem sprawiało, że wyglądał jak sobowtór Einsteina.

– Pan Park? – Jake obejmował ją zaborczo. Wtuliła się w niego na widok mężczyzny, który lada chwila będzie majstrował przy jej umyśle.

– Nie pamięta pani? – zwrócił się do Margo. Pokręciła głową. Zaszło jej w ustach.

– Cudownie! Cudownie! – Uśmiechał się szeroko. – Widzicie, moja praca... Dotyczy dziedziny, która jest jeszcze w powijakach, i, cóż, przyznaję, budzi pewne kontrowersje. – Zachichotał. Czy jest normalny? Nie, nienormalna jest ona, jeśli pozwoli mu majstrować przy swoim umyśle.

On jednak zdawał się nie wyczuwać jej wątpliwości i paplał dalej:

– Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że to zadziała aż tak dobrze. Od początku uprzedzałem Franka. Ale Frank Tempie potrafi postawić na swoim.

No i zapewniał, że to tylko na krótko. Oczywiście – spoważniał – tak się nie stało. – Nagle ogarnął go smutek, ale już po chwili klasnął w dłonie i się uśmiechnął.

– Chodźcie, dzieci, mamy mnóstwo roboty.

Park wskazał im kanapę za stojakiem na kroplówki i stolikiem zastawionym lekarstwami.

Margo zbladła, ale w końcu odzyskała zdolność mówienia.

– Co... co pan dokładnie zrobi? Wyjaśnił:

– Będzie to kombinacja hipnozy, NLP i thiopentalu, lekarstwa funkcjonującego jako serum prawdy i ułatwiającego hipnozę. Te wszystkie elementy sprawią że będę mógł usunąć blokadę z pani pamięci. Będę pracował etapami. Uprzedzam, że blokada działa o wiele dłużej, niż powinna. Nie gwarantuję, że pani sobie wszystko przypomni. To proces stopniowy. Ale spróbujemy, co?

Kazał jej się położyć. Usiadła z wahaniem. Drżała. Jake zacisnął dłoń na jej ramieniu.

– Będę tuż obok – szepnął.

Skinęła głową ale nie mogła się ruszyć. Najgorsze, co się może zdarzyć? Że się ocknie jako warzywo? Wzdrygnęła się. Nie, najgorsze, jeśli się ocknie i będzie wszystko pamiętała.

Głęboko zaczerpnęła tchu, zamknęła oczy i położyła się na wznak. Z przerażenia zrobiło jej się słabo. Jake wziął ją za rękę. Zacisnęła palce na jego dłoni, gdy Park podwijał prawy rękaw jej bluzki.

Pamiętała. Przenikliwy zapach lekarstw w starym laboratorium. Ukłucie igły. Zimno, gdy lekarstwo wypełniało jej żyły. Dziwaczny pół-sen. Monotonny głos Parka, który kazał jej sobie przypomnieć.

Przypomnieć.

Reszta nikła za mgłą. Wiedziała, że Jake odwiózł ją do Argyle Towers, pamiętała mgliście, jak ją niesie, przypominała sobie uczucie bliskości. Obudziła się z bólem głowy, jak poprzednio. Ale tym razem sugestia podprogowa nie kazała jej iść pobiegać, w ogóle nie miała na nic ochoty, musiała tylko uporać się z bólem. Ale nie była sama. Tym razem miała Jake'a. I powoli wracały wspomnienia. Czasami zjawiały się nagle, atakowały ze wszystkich stron. Służba w wojsku, trening TCF – te wspomnienia wracały nie wiadomo jak i kiedy. Zdarzały się też dni puste, bez ani jednego obrazu z przeszłości. A z kolei dwa dni później zapach kawy sprawiał, że przypominała sobie kolejny szczegół.

Tak, właśnie przypominała sobie, w jaki sposób Frank zastawił na nią pułapkę przed pierwszym zabiegiem na jej pamięci.

Zaciągnął ją do swojego biura. Było już późno, dziewiąta, może dziesiąta wieczorem. Przypominała sobie, że zastanawiała się, co o tej porze robi w pracy.

Dał jej kawę i posadził za swoim słynnym okrągłym stolikiem.

– Musisz zniknąć na jakiś czas – mówił, zaciskając chude palce na filiżance. – Tydzień – sprecyzował. – Najwyżej dwa. Na tyle, żebyś zniknęła z pola widzenia, póki nie załatwię wszystkiego z Connellym.

– Nie rozumiesz – powiedziała wtedy zdenerwowana, gniewna. – Nie chcę, żebyś cokolwiek załatwiał. Chcę, żeby ten dupek dostał za swoje. Góra nie zareaguje, sam wiesz. Jedyne wyjście to wszystko ujawnić.

A potem senność. Co takiego Frank dodał jej do kawy? Teraz przynajmniej wiedziała, jakim cudem zwabił ją do Parka.

Pewnego dnia, gdy zapalała światło, pękła żarówka i to sprawiło, że przypomniała sobie błysk flesza i dzień, w którym zrobiono zdjęcie w domu Franka. Tamtego dnia skończyła szkolenie. Frank spotkał ją w firmie, na korytarzu, i zapytał, jak chce to uczcić. W ogóle o tym nie pomyślała.

Wzruszyła ramionami.

– Nijak.

Objął ją po ojcowsku.

– Tak nie można.

Zabrał ją na kolację. Poszli do drogiej restauracji i tam zawodowy fotograf pstryknął im zdjęcie. Nie wiedziała, co ją naszło, by czule obejmować Franka, jakby był jej ukochanym dziadkiem czy wujem.

– Lubiałś go – stwierdził Jake, gdy mu to powiedziała. Frank był dla obojga substytutem ojca. Margo nie wiedziała jeszcze, co do niego czuje. Był dla niej dobry i na myśl o nim ogarniało ją przyjemne ciepło.

Ale to Frank nauczył ją zabijać, to przez niego jest tym, kim jest. To była straszna myśl.

– Nie zastanawiałam się, co się stało z tamtym zdjęciem – mruknęła. – Zapomniałam o nim. Dziwne, że przez tyle lat stało na komodzie Franka. Jake ścisnął jej dłoń.

– No cóż – uśmiechnął się krzywo – w końcu był ciotką Frances. Przypomniała sobie wizję ciotki – rozmazane, niewyraźne wspomnienie: wysoka, chuda kobieta z wielkim nosem. Frank w spódnicy.

Tydzień po tym, jak Warner Park dokonał małego cudu, poszła do antykwariatu i zmusiła się, by wejść do kantorka, w którym zginęła Suzanne. Na podłodze nadal widniała jej krew. W kątach poniewierały się kolorowe paciorki. Margo podniosła je. Plastikowe, z wypustkami, dzięki którym można je łączyć.

Na jednym z nich widniała rdzawa plama. Margo oczami wyobraźni zobaczyła koraliki, jak zerwane z szyi Suzanne toczą się po podłodze. Zrobiło jej się niedobrze, ale nie ruszyła się z miejsca. Do końca życia zapamięta ten widok.

Później przeglądała książki na półkach, przesuwając opuszkami palców po starych grzbietach. Regały uginały się pod ciężarem książek, które ludzie sprzedawali albo oddawali za darmo. Frank kupił sklep wraz z zawartością – nie miała pojęcia kiedy. Wiedziała tylko, że wszystko było gotowe już przed laty, gdy zaczęła tu pracować.

Nadal dziwnie się czuła na myśl, że to wszystko tylko przykrywka. A jednocześnie antykwariat naprawdę należał do jej ciotki. Do Franka. Do agencji. Stanowił przykrywkę. Jej przykrywkę.

Poszukiwanie białych kruków było doskonałą przykrywką dla podróży po całym świecie.

Książki też nie były do końca prawdziwe – skarby na regale były owszem, autentyczne, ale nie na sprzedaż. Była to starannie skompletowana kolekcja książek dla dzieci. Jej książek. Jej własność. Nadal nie wiedziała, dlaczego akurat literatura dziecięca, ale dotykając ich, czuła ten sam spokój, jak w mieszkaniu, gdy sięgnęła po książkę z ilustracjami.

Reszta to lipa.

Ale nie tylko antykwariat okazał się fałszywy. Inne rzeczy także. Chociaż akurat St. Louis brzmiało autentycznie. „Zawsze trzeba trzymać się jak najbliżej prawdy”, mawiał Frank.

A prawda jest taka, że właściwie nie ma rodziny. Ojciec zginął kilka miesięcy przed jej narodzinami, był jedną z ostatnich ofiar wojny w Wietnamie, więc pamiętała jedynie mgliście mężczyznę na zdjęciu. Miał takie same oczy jak ona. Nie wiedziała, co się stało z tą fotografią. Chwilowo zniknęła w mrokach niepamięci.

Przypomniała sobie o niej któregoś dnia, gdy siedziała w barze i czekała, aż Jake wróci z TCF.

Kilka dni wcześniej wsunęła fotografię z książki z bajkami do portfela. Wyjęła ją, jak wiele razy wcześniej, i studiowała. Młoda, ładna, ktoś ważny, kogo powinna znać. Siostra? Kuzynka? Wzdrygnęła się. Ofiara?

Uparcie muskała ją palcem. I nagle tożsamość kobiety ze zdjęcia pojawiła się jak uwolniony balon, nadpłynęła z głębi pamięci, jakby zawsze tam była. Mama. Mama.

I wspomnienia runęły lawiną. Bibliotekarka. Matka była bibliotekarką i pracowała w bibliotece dla dzieci. Wieczorami czytała Margo na głos, a potem czytały razem. Opasłe tomy z dziwnymi ilustracjami.

Zapomniała o Jake'u, zapomniała o bożym świecie, pobiegła do Ar-gyle Towers. Wpadła do sypialni, porwała książkę z ilustracjami Rack-hama i zaczęła kartkować. Jezu, jest. Jezioro elfów. Tak, teraz sobie przypomina. Zwiewne istotki nad mrocznym jeziorem. I Śpiąca Królewna, posepna i niby martwa, przykryta czarnym całunem.

Nie ma tu wesołych duszków. Same mroczne wizje, groźne i boleśnie szczegółowe. Cały świat zawarty na jednej stronie. Rozmawiały z matką godzinami o tych ilustracjach.

Miała łzy w oczach. Odzyskała matkę. Dobry Boże, przypomniała sobie. Chodziły na spacer do parku, prawda? Coś o małpach w zoo? I jeszcze muzeum. Przypomniała sobie odgłos ich kroków w salach muzealnych. Jej matka, Laura. Nie Scott. Laura Vaughn.

Nazwisko zjawilo się nie wiadomo skąd i nagle Margo przypomniała sobie wszystko, także dzień, w którym jej mama umarła.

Margo miała wtedy dziesięć lat. Były w kuchni, mama robiła prażoną kukurydżę, bo czasami lubiły ją zajadać, oglądając seriale w telewizji. Tylko że tego wieczoru mama odsunęła się od mikrofalówki z torebką kukurydzy w dłoni z dziwną miną. Podniosła rękę do czoła, torebka kukurydzy upadła na podłogę, odbiła się raz, dwa, pękła, popcorn rozsypał się jak żółte piłeczki. Matka zachwiała się i upadła. Margo krzyczała, ale nie mogła jej obudzić. Nikt nie mógł.

Zamknęła oczy. Nic dziwnego, że nie znosi zapachu prażonej kukurydzy.

W jej głowie znowu zabrzmiał ten krzyk, tak dobrze znany, tak smutny.

Przycisnęła książkę do piersi. To nie chłopiec z Hiszpanii tak krzyczał. To nie on wydawał ten przeraźliwy, żalony dźwięk.

To ona. Od samego początku to była ona.

Wzdrygnęła się. Po jej twarzy płynęły łzy. Płakała nad sobą i utraconym dzieciństwem, i nad chłopcem, którego go pozbawiła.

Jak może z tym żyć? Jak może się pogodzić z tym, co zrobiła? W takim stanie, zapłakaną, nieszczęśliwą znalazł ją Jake.

– Jezu Chryste! – Objął ją mocno. – Nie słyszałaś telefonu? Odchodziłem od zmysłów. Bałem się, że coś...

Wstrząsały nią spazmy.

– Przypomniałam sobie.

– Co? Że masz grubego męża i dwoje dzieci gdzieś w Delaware? Jeśli tak, to i ja się rozplaczę. – Tulił ją do siebie, głaskał po włosach. Jak to dobrze mieć schronienie.

– Mama. Przypomniałam sobie mamę.

Odsunął się, ujął jej zapłakaną twarz w dłonie, patrzył na nią czule.

– To dobrze, skarbie. To bardzo dobrze.

Pod jego ciepłym dotykiem jakoś wzięła się w garść, opanowała łzy radości i winy. Wytarła oczy. Była opuchnięta od płaczu.

Opowiedziała mu wszystko urywanym głosem. Po śmierci matki wzięła ją do siebie siostra ojca z Des Moines.

– Lubiała koronki – przypomniała sobie. – Sukienki i skarpetki z koronkami.

Skończyła czwartą klasę w stanie Iowa, potem pojechała do kuzynki matki na Florydę. Tam wszyscy chodzili w dżinsach.

– Miała basen i dużo dzieci. Często jadaliśmy w McDonalddie.

– A więc masz jakichś kuzynów.

Kuzyni. Zrobiło jej się cieplej na sercu, ale zaraz stłumiła to uczucie. Poczowała mdłości na myśl, że kogoś poznaje i tłumaczy, kim jest.

– Długo tam mieszkałaś? Pokręciła głową.

– Nie wiem. Całe lato, część roku szkolnego... Potem była inna kuzynka, w New Jersey. To nie trwało długo, a potem... rodziny zastępcze.

Nauczyła się być taką, jaką chcieli, by była. Tak było łatwiej. I że nie warto się przywiązywać, bo nikt nie chce jej na długo. Wszędzie zabierała ze sobą książkę z bajkami, była jedynym stałym elementem w jej życiu. Zresztą książki i tak są bardziej godne zaufania niż ludzie. Książka cię nie zawiedzie.

Wszędzie, gdzie trafiała, była biblioteka albo księgarnia, a tam nowe, lepsze światy. Miała przyjaciół w zasięgu ręki. Nagie zrozumiała, dlaczego wysyłała książki do Domu Dziecka imienia Rolanda Carrolla.

W wieku osiemnastu lat trafiła do wojska – może chciała pójść w ślady ojca, może po prostu szukała przynależności. A potem znalazł ją Frank Tempie i nagle znowu miała rodzinę.

A teraz i on odszedł, podobnie jak jej rodzice. I wszystko się skończyło.

– Tylko jeśli sama tego chcesz – zaznaczył Jake. Siedzieli na skraju łóżka, trzymał ją za rękę, jak przez całe popołudnie, gdy wymiotowała z nerwów i odzyskiwała kolejne skrawki utraconego życia.

Czuła pod palcami jego siłę i nie po raz pierwszy zastanawiała się, czy aby nie za bardzo na nim polega.

– Mam wrażenie, że moje miejsce jest w więzieniu. Jake objął ją i przyciągnął do siebie.

– Margo, ktoś musi robić to co my. Sama o tym wiesz. Musimy wykonywać rozkazy.

Pokręciła głową.

– Nie mogę... Nie mogę się z tym pogodzić. I nie mieści mi się w głowie, jak kiedykolwiek mogłam.

A jednak musiał być taki czas, gdy robiła, co jej kazano, bez żadnych pytań. I to zaledwie kilka miesięcy temu.

– Nadal nie pamiętasz niczego z Hiszpanii? Pokręciła głową.

Szczerze mówiąc, nie chciała pamiętać. Oby te wspomnienia nigdy nie wróciły.

– Ale wiem, do czego służy ostatni klucz.

Wchodząc do domu, upuściła torebkę, więc teraz wstała, poszukała w niej i wyjęła pęk kluczy. Otwierały niemal wszystkie zamknięte drzwi w jej życiu: antykwariat, mieszkanie, sejf... ale został jeszcze jeden klucz.

Podniosła go.

– Co powiesz na przejażdżkę?

Zabrała Jake'a na starówkę, a tam zaparkowała przed domem przy Saint Asaph. Budynek wręcz błagał o malowanie. Koło drzwi wisiały cztery skrzynki pocztowe.

– Jesteśmy... – Jake się rozejrzył. – Wygląda mi to na dom wynajmowany przez studentów.

Zaparkowała, spojrzała na dom ponad jego ramieniem.

– Nie zastanawiało cię nigdy, dlaczego nie znaleźli nas w Argyle Tower?

– Nie – odparł z dumnym uśmiechem. – Byli od nas gorsi.

– Akurat. Connelly wiedział o domu ciotki Frances, kazał go obserwować. Więc dlaczego nie Argyle Towers?

Jake się zamyślił.

– Bo... – Zmrużył oczy. – Bo o nim nie wiedział – dokończył powoli.

– Brawa dla tego pana. – Margo wysiadła. Jake za nią. Schodki były w opłakanym stanie, z turkusowych drzwi obłaziła farba. Po smukłych, czystych liniach apartamentu Margo nie wiedziała, co o tym myśleć. Oznaczają kolejne życie. Kolejną maskę.

– Jak sobie przypomniałaś?

– Przeglądałam rysunki w książce z bajkami – odparła. – Jest tam... jest tam jezioro, tajemne jezioro, nad którym mieszkają elfy.

Jake sceptycznie uniósł brew.

– Elfy, powiadasz? Zaczerwieniła się.

– Nie drażnij się ze mną, tylko słuchaj. Rzecz w tym, że to jezioro tajemne.

Ukryte. Mało kto o nim wie. I nagle przypomniałam sobie o mojej tajemnicy.

Moim tajemnym miejscem.

Jake się rozejrzył.

– Tutaj?

– Nie, tu mieszkałam. Kryjówką było Argyle Towers. To tam szłam przed każdym zleceniem i po nim, żeby... – Zaczerpnęła głęboko tchu, jakby potrzebowała więcej tlenu, żeby zmierzyć się z przeszłością. – Żeby się przygotować, zabrać sprzęt... a po robocie, żeby się wyciszyć.

– Kryjówka. Skinęła głową.

– To wszystko nadal jest mętne, ale wiem, że nikomu o niej nie mówiłam.

– Nawet Frankowi? Pokręciła głową.

– Nie ma żadnych dowodów na moją obecność w Argyle Towers.

– I dlatego Connelly cię tam nie znalazł.

– Tak.

– A tutaj? – Jake spojrział na turkusowe drzwi.

Otworzyła je, skręciła w lewo i zatrzymała się przed mieszkaniem oznaczonym literą B.

– O tym wszyscy wiedzieli. – Wyjęła klucze, wsunęła jeden do zamka, ale drzwi otworzyły się i bez tego.

– A niech mnie – powiedział cicho Jake.

Wnętrze splądrowano. Rozcięte poduszki, szuflady na podłodze, potłuczone szkło...

Margo z bladym uśmiechem weszła do środka.

– Kiedy tylko sobie przypomniałam o tym mieszkaniu, wiedziałam, że będzie w takim stanie.

Poprawiła poduszkę na kanapie i usiadła wpatrzona w chaos dokoła. Jake podniósł z podłogi fotografię w ramce. Podał jej.

– Kto to?

Mimo pęknięć na szybce dokładnie widziała twarz na zdjęciu. Mężczyzna w mundurze uśmiechał się do niej ciemnoniebieskimi oczami, takimi samymi jak jej.

– Mój ojciec. – Potarła czoło. – Zastanawiałam się, gdzie się podziało to zdjęcie.

Patrzyła na fotografię i nie czuła niczego, nie licząc cienia nostalgii, jakby oglądała obiekt muzealny. Smutne, ale bardzo obojętne. W pierwszej chwili myślała, że to kolejny figiel pamięci, ale potem zdała sobie sprawę, że to jej prawdziwe uczucia. Zginął, zanim się urodziła. Nigdy go nie poznała.

Ostrożnie odstawiła zdjęcie na półkę. Był żołnierzem. Czy robił rzeczy, których się wstydził? Czy rozumiałby to, co ona zrobiła? Czy potrafiłby wytłumaczyć to żonie? Margo cieszyła się, że nigdy się tego nie dowie. Miała dość problemów z własnym rozczarowaniem, a gdyby doszli jeszcze oni...

Z drugiej strony, służyła krajowi, jak ojciec. Już samo to jest powodem do dumy. Dlaczego to jej nie wystarczy?

W miarę jak sprząтали, z bałaganu wyłaniały się kolejne zdjęcia. Rodzice razem. Matka z malutką Margo. Przed domkiem, na ławce w parku, na urodzinach. Głupiutkie zdjęcia, ale cenne i drogie, bo takie niewinne. I ważne, bo stanowiące podstawę utraconego życia.

Sprząтали przez cały dzień, a gdy mieszkanie z grubsza nadawało się do zamieszkania, Margo stwierdziła nagle z bolesną jasnością, że nie chce tu zostać.

Jake chyba to wyczuł. Cisnął śmiecie do jednej z toreb, które znaleźli pod zlewem, i wyprostował się.

– Co jest?

– To. – Rozejrzała się.

– Tak, wiem, przydałby się mop i...

– To kłamstwo, Jake. To mieszkanie to jedno wielkie kłamstwo. Jest takie...

– Normalne? Skinęła głową.

– Jakbym ja była normalna, zwyczajna. Antykwariuszka, która co rano wstaje do pracy, wraca wieczorem i idzie spać. – Spojrzała na swoje dłonie. Brudne. Do kciuka przyczepiła się pajęczyna. Pamięta na nich dużo gorszy brud. I nie po raz pierwszy zatęskniła za czasem, gdy niczego nie pamiętała.

– Ale my wiemy, że taka nie jestem. Prawda to Argyle Towers i mój arsenał, a to tutaj to tylko przykrywka, tak jak antykwariat.

Wstała gwałtownie.

Ile jeszcze tajemnic wyłoni się z jej pamięci i rozłoży ją na łopatki? I czy w końcu kiedyś dowie się, kim naprawdę jest?

– Chodźmy stąd. – Zabrała fotografie, kilka książek i wyszła na dwór.

– Chwileczkę. – Jake szedł za nią. – Niby dokąd się wybierasz?

– Nie wiem. – Otworzyła drzwi samochodu, cisnęła książki i zdjęcia na tylne siedzenie. – Może na Marsa. To niezłe miejsce jak na początek.

Wsiadła i zacisnęła dłonie na kierownicy. Bardzo chciała stąd odjechać.

Jake miał inny pomysł. Stał w drzwiach i opierał się o dach samochodu.

– Wsiadaj! – zawołała.

– Mogę cię tam zabrać – zaproponował. Miał dziwną zamyśloną minę. – Na Marsa. Mój dziadek miał farmę pod Dewey. Soja. Świnie. Ziemia poszła w dzierzawę, ale nadal mam dom. Panuje tam spokój. Najlepszy Mars, do jakiego dotrzesz bez statku kosmicznego.

Spojrzała mu w oczy i dostrzegła w nich obietnicę. Schronienie. Z dala od TCF, DCO, XYZ dawnego życia. Okazja, by zdecydować, co dalej. Jak chce żyć. Spakowała się więc w Argyle Towers. Zamknęła za sobą drzwi do mieszkania pełnego broni i noży, Jake wziął urlop, żeby odwiedzić ją do Indiany, zadzwonił do miasteczka, by posprzątać dom, i tak pod koniec tygodnia znalazła się na rodzinnej farmie Wise'ów.

Pola zdawały się ciągnąć się bez końca, ale tylko dlatego że niebo wisiało tak nisko. Margo stała na stopniach werandy na tyłach domu i patrzyła na bezkresną pustkę. Wiedziała, co to za uczucie nie mieć przeszłości. Czy to samo czuli przodkowie Jake'a, gdy zamieszkali tu, bez telefonów, samolotów, bez rzeczy i ludzi, których zostawili za sobą. Spokój równin przerażał. Widzieli to? A może pokochali go, jak ona? Preria powitała ją z otwartymi ramionami. W pustce nie było głosów, tylko błogosławiona cisza.

Gdzieś w oddali zbierało się na burzę. Spędziła tu kilka tygodni i nie padało ani razu, ale teraz gromadziły się burzowe chmury, groźnie i ciężkie od deszczu.

Weszła do domu. Na stole czekały sprawozdania od Jake'a. Były to kopie materiałów z dochodzenia w sprawie działalności DCO. Powoli zbierała się na odwagę, by przeczytać wszystko o hiszpańskiej kłęsce. Przeglądała kartkę po kartce. Nagle huknął grzmot, niebo rozjaśniła błyskawica. Samotny domek na prerii zadrżał w posadach. Schyliła głowę, chcąc się skupić na czytanych tekście, ale burza ponownie zaatakowała. Ściany drżały od podmuchów wiatru, pioruny rozjaśniały niebo, grzmoty mruczały gniewnie, przenikały mury, skórę, ciało, do krwi. Nagle coś drgnęło w jej głowie.

– Nie zrób mu krzywdy! – krzyknęła kobieta.

Kolejny błysk i Margo zobaczyła inną twarz. Zapłakaną, zasmarkaną twarz. Twarz małego chłopca.

– Nie rób mu krzywdy! – Rana Cahill miała silny cudzoziemski akcent.

Błagalnie złapała Margo za ramię.

Margo odepchnęła ją i odskoczyła od kamery wideo. Pociągnęła za sobą chłopca, ciągle z pistoletem w dłoni, i spojrzała na jego matkę.

– Każ mu upaść – powiedziała lodowato i bezdusznie, jak kat, choć w głębi serca modliła się gorąco. Posłuchaj mnie. Nie każ mi tego robić.

– Każ mu upaść, kiedy strzełę, bo inaczej go zabiję.

Gdzieś w tle Ruben Cahill, mąż i ojciec, krzyczał po drugiej stronie kamery. Wiedziała, kim jest, wiedziała, że ma krew na rękach, wiedziała, że trzeba go powstrzymać. I wiedziała, że to zależy od niej.

I za to go nienawidziła. Nie znosiła z gorącą zaciekłością. Ta nienawiść wypełniała ją całą – nie tylko za to, co zrobił, ale i za to, co ona będzie musiała zrobić – przez niego. Oddychała z trudem, mdłości niemal zwały ją z nóg. Jej

agenci czuli to samo, widziała to, wyczuwała w ich spojrzeniach. Chłopcy płakali i wołali matkę. Kobieta histeryzowała. Margo szarpnęła ją z całej siły. – Słuchaj! – Uderzyła Ranę w twarz, zarówno ze względu na męża przed monitorem, jak i po to, by zwrócić jej uwagę. Mają coraz mniej czasu. Jeśli się nie skupi, to i. Margo wołała nie myśleć, co wtedy. Nie chciała dopuścić do wybuchu w swojej głowie.

Ponownie szarpnęła zakładnika i Rana zaczerpnęła tchu, koncentrując się.

– Wystrzelę. – Margo mówiła cicho, wyraźnie. Te słowa były przeznaczone wyłącznie dla zakładniczki. – Rozumiesz? Strzelę do niego. – Kobieta znowu zanosła się szlochem. Margo szarpnęła ją mocniej. – Nie zrobię mu krzywdy, ale musi wyglądać, jakbym go zabiła. – Rana była zagubiona. Wodziła rozbieranym wzrokiem po pomieszczeniu. Margo niemal słyszała jej myśli: czy może zaufać tej amerykańskiej świni?

– Posłuchaj, jeśli nie będzie udawać, że nie żyje, będę musiała zabić go naprawdę, rozumiesz? – Zmieszanie ustąpiło światłu nadziei. Margo na to liczyła. – Masz mówić tylko do niego. Powiedz mu, co ma robić, a nikomu nie się nie stanie. – Matka skinęła głową. – Nie! – Margo szarpnęła ją mocniej. – Żadnych ruchów, gestów. Powiedz mu, i to już.

– Zaciągnęła ją do synka. Chłopiec się ślaniał. Podtrzymała go. Szybka wymiana słów po arabsku. Chłopiec rzucił się matce na szyję. Margo musiała ich siłą rozdzielić.

Stała przed kamerą i uniosła pistolet na wysokość jego skroni. Za jej plecami szlochała Rana. Młodszy braciszek wył. Starszy trząsł się pod lufą.

Margo zawołała do kamery:

– Zastrzelę go, draniu! Przysięgam, że to zrobię! Pomieszczenie wypełnił kwaśny zapach moczu. Chłopiec zsiakał się w spodnie.

Błyskawice rozjaśniały niebo nad farmą, grzmoty dudniły bezustannie. Serce Margo przestało bić.

A gdy podjęło przerwana pracę, w jej oczach zalśniły łzy. O Boże.

Nie pociągnęła za spust. Nie zastrzeliła chłopca.

Wszystko wracało jak w zwolnionym tempie: dziecko, które trzymała, dziecko, które tak bardzo chciała uratować, nagle osunęło się bezwładnie.

– Na ziemię! – wrzasnęła. – Strzały! Na ziemię!

Rzuciła się do drugiego malca, ale nie zdołała do niego dotrzeć, ogień był zbyt silny. Cams był pierwszy. Oberwał dwie kulki.

Nadchodzili z drugiego piętra, z dachu. Trzej mężczyźni z automatami.

Rozpoznała jednego z nich. Widziała go na monitorach w domu w Maroku.

Trzeci strażnik. Cholera jasna... Była nieostrożna, należało go odnaleźć.

Upewnić się.

Teraz nie ma czasu o tym myśleć. Dalej, dalej. Strzelała, zapewniała sobie osłonę. Widziała dwóch pozostałych napastników. Jednemu nie zdołała się przyjrzeć, drugi miał bujne czarne wąsy.

Rodriguez osunął się na ziemię.

– Aldo! – zawołała. Nie odpowiadał.

A potem zobaczyła, jak wążacz składa się do strzału i celuje nie w nią, tylko w...

– Nie! – Rzuciła się w stronę jego celu. Za późno. Rana Cahill wygięła się w łuk od impetu kul i runęła na stolik pośrodku pokoju.

Margo skuliła się za kanapą, jej umysł pracował gorączkowo. Zastrzelili matkę. Co tu się dzieje, do cholery?

Materiał na kanapie pękał, gdy przeszywał go grad kul. O Jezus, jest w pułapce. Za dziesięć minut i z kanapy, i z niej zostaną strzępy.

Zaczerpnęła głęboko tchu, wiedząc, że to być może jej ostatni oddech, i zerwała się na równe nogi, nie przestając strzelać.

Nagle pokój stanął w płomieniach. Poleciała do tyłu, ktoś wyrwał jej broń z ręki. Wypadła przez drzwi wejściowe. Dom płonął. Na ulicy tłoczyli się ludzie, krzyczeli głośno. Ktoś ją odciągnął. Kiedy się ocknęła, była w innym budynku, wśród sąsiadów.

Krzyczeli coś, ale niczego nie słyszała. Eksplozja – chwilowo straciła słuch. Kręciło jej się w głowie. Dotknęła czoła i spojrzała na swoją dłoń – cała we krwi. Miała krew za paznokciami i podarte ubranie.

Pierwsze, co do niej dotarło, gdy odzyskała słuch, to to, że wszyscy w domu zginęli. Ogarnęła ją rozpacz, ale nie chciała o tym myśleć. Musi uciekać, skontaktować się z Agencją.

Miała porozmawiać z policją, ale udało jej się wyniknąć niepostrzeżenie, zanim do niej dotarli. DCO ma kryjówkę na drugim krańcu miasta, koło Corte Ingles. Dotarła tam, znalazła ubrania i pieniądze. Skontaktowała się z Agencją, powiedziała, co się stało. Wszyscy zginęli, powtarzała i próbowała zrozumieć, co się tam wydarzyło. Wszyscy zginęli.

Tak przynajmniej myślała.

– On tam był – rzuciła do słuchawki tak szybko, że z trudem panowała nad słowami. – W domu przy Calle Gitana. Zabił żonę Camilla.

– Co? – Słyszała niedowierzanie w głosie Jake'a. Jej też trudno było uwierzyć.

– Widziałam to.

– Ten facet, który był na Foxhall Road? Ten, którego Petali zastrzelił w Sewilli?

– Pamiętam go, Jake. Pamiętam wszystko.

– No tak, ale skąd pewność, że przypomniałaś sobie wszystko, tak jak było?

– Do cholery, było właśnie tak.

– Ale Carns...

– Był w drugim końcu pomieszczenia. A tam rozpętało się piekło. Pomylił się. Mówię ci...

– Dobrze, już dobrze. – Chwila ciszy, jakby się zastanawiał, co jej powiedzieć.

— Słuchaj, trzymaj się. Jest dzisiaj jeszcze jeden lot. Pogadamy, kiedy przyjadę. Muszę ci coś pokazać.

Margo wzięła prysznic, włożyła dżinsy i czarną bluzkę, na której widok w oczach Jake'a zawsze pojawiał się ogień. Przed szopą stał wiekowy Chevrolet – jedyny działający pojazd na farmie. Zanim Jake wyjechał dwa tygodnie temu, upewnił się, że bak jest pełny, ale od jego wyjazdu nie siadała za kierownicą, nawet gdy skończyły jej się zapasy. Żywiła się głównie chlebem i masłem orzechowym. Teraz buszowała w kuchni w poszukiwaniu kluczyków.

Jazda do miasta zajęła jej kwadrans. Przejazd przez miasteczko o wiele mniej. Kilka przecznic we wszystkie strony, sklep spożywczy na rogu.

Był to mały sklep, ale było w nim wszystko, czego potrzebowała: wędlina, sałata, musztarda, chrupki, piwo, cola, jajka, bekon na śniadanie. Kawa. Jake lubi kawę. Spojrzała na swoje zakupy. Żadnych smakołyków.

No cóż, chcesz gotować? Gotuj. Chcesz zjeść w mieście? Jedz w mieście. Jak ona kiedyś. Uśmiechnęła się lekko. Codziennie się czegoś o sobie dowiaduje.

Dorzuciła jeszcze pasztetową i puszkę tuńczyka i zakończyła zakupy.

Zaczyna się zadawać – o ile oczywiście kupowanie puszki tuńczyka można uznać za wicie gniazdka – ale jeśli Jake ma ochotę na dobrą kolację, musi ją na nią zaprosić.

Odebrała go z lotniska. Kiedy wszedł do hali przylotów, musiała przyznać, że te dwa tygodnie mu posłużyły. Wyglądał świetnie. Ba, lepiej niż świetnie. Dżinsy nisko na biodrach, kurtka podkreślała muskularną sylwetkę. Skórzaną torbę zarzucił na ramię z lekkością i nonszalancją, która powodowało szybsze bicie jej serca. Na jej widok dokoła jego oczu pojawiły się drobniutkie zmarszczki.

– Coś takiego, panienko Margo. Specjalnie dla mnie?

– Pomyślałam, że tak będzie szybciej. Nie musisz szukać samochodu do wynajęcia.

– O kurczę, a ja myślałem, że to przez moją olśniewającą urodę. Zmierzyła go wzrokiem.

– Chciałbyś. Uśmiechnął się szeroko.

– I to bardzo. – Cisnął torbę na siedzenie. – Chodź tutaj. – Pozwoliła, by przyciągnął ją do siebie. – Tak długo na to czekałem. Za długo.

Jego usta kusiły. Rozchyliła swoje, spragniona jego smaku. O Boże, ależ on umie całować.

Kiedy odzyskała oddech, spojrzała w jego oczy i zobaczyła w nich ciepło. To samo ciepło zrodziło się w niej i poczuła, że się uśmiecha.

– Oto twoja dobra wróżka. Wypowiedz życzenie. Musnął jej policzek.

– Co powiesz na seks bez zobowiązań?

– Zobaczymy, co da się zrobić. – Wzięła go za rękę i przy drzwiach już niemal biegli. Jazda z lotniska trwała godzinę – Jake nie marnował ani chwili. Kiedy wyjeżdżała z parkingu, położył jej rękę na udzie. Kiedy skręcała na autostradę, głaskał ją po karku. Kiedy zmieniała pas, szczypał zębami jej ucho. Dwa razy mało brakowało, a straciłaby panowanie nad wozem. Kiedy w końcu znaleźli się przy zjeździe na farmę, przyspieszyła i błyskawicznie zaparkowała.

Wypadła z samochodu jak z procy i pobiegła do domu. Myślała, że oszaleje, serce chciało wyskoczyć jej z piersi. Chciała, żeby jej dotykał. Zatrzymali się w progu, niezdolni dłużej czekać. Miał ciepłe usta, jego palce mocowały się już z jej bluzką. Wpadli do sypialni, zostawiając za sobą szlak z ubrań.

Oparł ją o drzwi.

– Kochałaś się kiedyś na dworze?

– Nie przypominam sobie. – Uśmiechnęła się zdziwiona, że może żartować na ten temat.

Ujął w dłonie jej uśmiechniętą twarz.

– Boże, masz cudowny uśmiech. Pewnie dlatego, że masz cudowne usta. – Pocałował ją, aż straciła oddech i ugięły się pod nią kolana. – Jutro zabiorę cię na dwór, jeśli będzie wystarczająco ciepło.

– Nieważne, dokąd pójdziemy. – Bez tchu błędziła dłońmi po jego ciele, znanym jak nic innego w jej życiu.

Jego dłonie muskały jej biodra, wędrowały w górę, do piersi, ale ich nie dotykały.

– Zmienisz zdanie, kiedy poczujesz powietrze na skórze – powiedział i znowu ją pocałował.

Osunęli się na łóżko.

– Chcę poczuć tylko ciebie – szepnęła i pociągnęła go na siebie. – Na sobie. W sobie.

Jęknęła, gdy w nią wchodził. To cudowne uczucie dotykać go, mieć go w sobie, słyszeć, jak szepcze jej imię. Ta więź trzymała ją na ziemi, łączyła ich jak nic nigdy jej z nikim nie łączyło.

Brał ją całym sobą – ustami, dłońmi, całym ciałem. Raz za razem doprowadzał ją na skraj rozkoszy i zwracał, znaczył ją sobą. Brał ją i nie myślała o niczym innym. Zagubiła się w otchłani rozkoszy, a gdy w końcu posłał ją na szczyt, także zrobił to całym sobą – dłońmi, ustami, ciałem. Jake. Boże, Jake.

Eksplodowała z jego imieniem na ustach i czuła, jak otacza ją sobą, gdy ulega rozkoszy. Czuła bicie jego serca, czuła, jak ich dusze razem wzbijają się w niebo, wysoko, wysoko.

Leżała obok niego i rozkoszowała się dotykiem nocnego powietrza na skórze. W pokoju panował mrok.

Jedynie z korytarza wpadała odrobina światła. Na dworze grały cykady.

Przedtem ich nie słyszała, nie docierało do niej nic poza oszalałym pulsem pożądania, ale teraz słyszała je z oddali. Radosne, spokojne, żywe.

Piórko ze staromodnej poduszki laskotało ją w rękę. Podniosła je, musnęła nim usta opuchnięte od jego pocałunków. Cała była opuchnięta. To dobre uczucie.

– Właśnie to chciałaś mi pokazać? Wziął ją w ramiona.

– To i jeszcze... kilka innych rzeczy.

– Jakich? – Od razu pożałowała, że o to zapytała. – Nie, poczekaj, cofam pytanie.

Usiadł z westchnieniem.

– I tak wcześniej czy później będziemy musieli o tym porozmawiać.

– Jeszcze nie teraz. Wstał.

– Umieram z głodu. Samą miłością się nie pożywię.

– Tak? No, to mam nadzieję, że lubisz mielonkę.

Margo wzięła prysznic i się ubrała. Przepęłniała ją dziwne uczucie szczęścia, którego nigdy dotąd nie zaznała. Jakby imię Jake'a było drogowskazem w otaczających ją ciemnościach.

Siedział w kuchni, na stoliku ułożył pięć fotografii wyjętych z aktówki. Zdjęcia policyjne, z obserwacji, czarno-białe. Ten widok przyćmił trochę jej błogość, ale nie do końca. Jake nadal tu z nią jest. Nadal czuje na sobie jego dłonie, jego usta... Jakby wróciła do domu.

Zacisnęła dłonie na oparciu krzesła i pochyliła się nad nim i fotografiami. Facet z wąsami, trzeci strażnik i trzej pozostali z Foxhall Road.

– Nasim Kamal. – Wskazał wąsacza, którego po raz ostatni widzieli w Hiszpanii. – Dowódca oddziału, człowiek Cahilla w Czerwonym Kluczu, ugrupowaniu terrorystycznym. Reszta to zwykli najemnicy. Naszym zdaniem wysłano ich, żeby odbili rodzinę Cahilla, a jeśli to się okaże niemożliwe, żeby ich wyeliminowali.

Gwałtownie podniosła głowę.

– Wyeliminowali? Po co?

– Bo martwi nie będą stanowili karty przetargowej. Przeszył ją dreszcz.

– Ale przecież to sprawiłoby, że Cahill zacznie mówić. Gdyby jego ludzie...

– Gdyby... W tym rzecz. I gdyby w to uwierzył. Ale wszystko wyglądało na schrzanioną robotę DCO, prawda? Można nas o to obwinie. I dlatego szukają ciebie. Zemsta? Tak, za porwanie rodziny. Ale rzecz w tym, że ty jedna przeżyłaś. Ty jedna mogłaś powiedzieć całą prawdę.

Nagle wszystko stało się jasne.

– A to pięknie pasowało do planu Connelly'ego.

– Wykorzystał ich. Podał im miejsce i czas, wszystko, czego potrzebowali. Jeśli załatwią za niego brudną robotę...

– Tym lepiej. Jake skinał głową.

– O wiele lepiej. Tylko że ty nie dawałaś się zabić, więc wysłał za tobą innych.

– Tych z hotelu. Kolejne skinienie.

– A na wszelki wypadek, gdyby i to się nie udało, zrobił cię w zamordowanie Franka. Jak powiedziałem, niezbyt miły człowiek.

Zacisnęła dłonie na oparciu krzesła. W pierwszej chwili te informacje przytłoczyły ją jak stukilowy gład. Taka manipulacja, tyle trupów. Wszystko po to, żeby ją zniszczyć.

A teraz już po wszystkim.

Odetchnęła głośno, przeczesła włosy palcami.

Koniec. Polowanie na nią zakończone. Niewiarygodne, a jednak...

– Jeszcze jedno. – Jake położył przed nią teczkę. – Raport od Peta–liego. Po rozmowie z tobą zadzwoniłem do niego, twoja wersja wydawała mi się... no cóż, powiedzmy, że uznałem, że potrzebne będą dowody. I miałem przeczucie. Wzięła teczkę do ręki, otworzyła ją i zaczęła czytać. Od razu wyłapała najważniejsze informacje.

– Karabiny AK?

– I makarowy.

– Strzelano z nich i do kobiety, i do dzieci? – upewniła się, przeglądając raport.

– Ty albo twoi ludzie używacie rosyjskiej broni?

– Skądże.

– Więc nie ty ich zabiłaś, Margo.

I nagle ciężar zniknął, mało brakowało, a upadłaby z ulgi. Czowała się, jakby od dawna przeciągała linę, a przeciwnik teraz nagle puścił. Nadal czowała jego ciężar, nadal zaciskała dłonie na sznurze, ale to już tylko cień. Mroczny cień.

Co teraz? Dokąd pójdzie? Wolność przytłaczała ją, ogłuszała. Niczego nie widziała, nie słyszała. Potrzebowała świeżego powietrza. Przestrzeni.

Wybiegła na ganek, zostawiła Jake'a w kuchni. Świecił księżyc, zalewał prerię srebrzystym blaskiem. Pustka niosła ulgę. Nie analizowała i nie osądzała. Była.

A zatem teoretycznie nie ona zabiła matkę i dwóch chłopców. Ale gdyby ich nie porwali, Rana i jej synowie by żyli.

„Na wojnie nie ma niewinnych”, przypomniły jej się słowa Connelly'ego.

Tylko wybory.

Kiedyś potrafiła ich dokonywać, teraz już nie. Jeszcze nie.

– A więc... – Jake stanął za nią, położył dłonie na jej ramionach, ubrał jej myśli w słowa: – Co teraz?

Pokręciła głową.

– Nie wiem. Najpierw muszę przywyknąć do myśli, że jednak jestem dobra.

– Może nie próbuj załatwić tego jednej nocy, co? – Przyciągnął ją do siebie, objął i pocałował w kark. – Daj sobie czas. Oddychaj.

Skinęła głową.

– I jedz. Gdzie ta mielonka?

Roześmiała się. Jezu, Jake zawsze umie ją rozbawić.

– W samochodzie, z resztą zakupów.

– Dobra, już idę.

Stała jeszcze przez chwilę. Powietrze było chłodne i czyste. Pachniało ziemią, deszczem i nowym początkiem. Być może.

Wróciła do kuchni, postawiła na stole dwie butelki piwa, wyjęła talerze i sztućce. Jake nie wracał.

– Jake?

Cisza. Co on tam robi?

Z okna nad zlewem widziała podwórko. Odsunęła zasłonkę. Samochód stał, ciemny i milczący. Nie widziała Jake'a. Czyżby już wrócił? Ale jeśli tak, gdzie są zakupy?

Przeszła przez cały dom. Nie było go w staroświeckim saloniku ani w łazience. Zbiegła do piwnicy. – Jake? Nic.

Wróciła na górę, podeszła do okna i wyjrzała. Ta sama ciemność i bryła samochodu na podwórku.

Nagle przeszył ją dreszcz. Coś jest nie tak. Wyjrzała jeszcze raz. Cisza.

Niewiele widziała, bo na dworze nie było żadnego źródła światła, ale samochód stał, podobnie jak szopa...

Światło.

Powinno być światło.

Poczuła na plecach zimny dreszcz. Schyliła się odruchowo. To paranoja. Jest w Indianie, na miłość boską. Ale gdzie jest Jake? Dlaczego nie wraca?

Przesadza. Światło zgasło, bo żarówka się przepaliła, a Jake wszedł do szopy.

Niczego nie słyszała, żadnych strzałów, żadnej szamotaniny. Sama się nakręca.

To tyle. Jake jest w szopie.

Zakradła się do szuflady ze sztućcami i czując się jak idiotka, wyjęła nóż.

Na wszelki wypadek.

Wąski, cienki, z pięcioccalowym ostrzem. Do filetowania. Automatycznie oceniła wagę. Zmierzyła wzrokiem odległość do drzwi kuchennych, przemknęła się, zgasła światło.

Po ciemku uchyliła drzwi i wymknęła się na dwór.

Czekała skulona, rozglądała się, nasłuchiwała. Nic. Ani drżenia. Nawet wiatr ucichł.

Stąd lepiej widziała samochód. Bagażnik był otwarty.

Jake?

I znowu cisza.

Podbiegła do samochodu. Zakupy leżały w środku, tylko jedna torba poniewierała się na ziemi, rozbite jajka rozlały się niekształtnie. Jej serce biło coraz szybciej. Kto tu jest? Co się stało?

Rozejrzała się. Pusto. Jedyne możliwa kryjówka? Szopa. Czyżby Jake był w środku?

To jedyne logiczne wytłumaczenie. Odetchnęła głęboko, uspokoiła się i pobiegła. Zygzakiem dopadła do szopy. Przywarła plecami do ściany.

Dyszała ciężko. Zamknęła oczy, pot spływał jej między piersiami. Powoli zakradła się do drzwi. Nic. Nikt się nie odezwał.

Pchnęła. Drzwi się otworzyły. Policzyła do pięciu i wpadła do środka.

Zatrzymała się w pół kroku. Jej oczom ukazał się przerażający widok. Jake zwisał z belki pod sufitem.

Zrobiło jej się niedobrze. Nie mogła oddychać.

Głowa opadła mu na bok, na prawym barku czerwieniła się krew. Był związany, zakneblowano mu usta. Jedyne rozchwiane krzesło, na którym stał, dzieliło go od śmierci.

– Jake!

Rzuciła się do niego, ale krzesło pod nim się poruszyło. Zatrzymała

się.

– Nareszcie się spotykamy, agentko Scott.

Odwróciła się. Zza skrzyni wyszedł mężczyzna, szczupły i żyłasty. Miał potargane włosy, pogniecione ubranie, na twarzy kilkudniowy zarost. Wydawał się wyczerpany, jak po walce, ale oczy, głęboko osadzone w wąskiej twarzy, lśniły groźnie.

Widziała już tę twarz. Ostatnio na monitorze. Od niego wszystko się zaczęło. Ruben Cahill. Były marinę, dziś najemnik i terrorysta. Mózg odpowiedzialny za setki zamachów bombowych. Strateg Czerwonego Klucza i innych organizacji terrorystycznych.

Mąż i ojciec ofiar domu przy Calle Gitana.

Mściciel, który w końcu ją odnalazł.

W jednej ręce trzymał pistolet wycelowany w jej pierś. W drugiej koniec sznura, przywiązanego do krzesła pod nogami Jake'a. Jeden ruch i Jake zawiśnie.

– Nóż. – Wskazał jej jedyną broń. – Rzuć tutaj.

Margo wahała się przez ułamek sekundy. Pociągał za sznur. Jake się zachwiał. Uniósł powieki i zobaczył ją. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Dostrzegła w jego wzroku ból i chłodne wyrachowanie i to ją uspokoiło.

Cisnęła nóż na ziemię. Wylądował w połowie drogi między nią a Cahillem.

– Wypuść go – poprosiła. – To sprawa między nami. On nie jest ci potrzebny.

Uśmiechnął się. W mdłym świetle żarówki jego zęby wydawały się żółte i groźne.

– Ależ z nim jest o wiele zabawniej.

Przełknęła ślinę. Musi się opanować. Musi grać na czas. Musi coś wymyślić.

– Byłeś w więzieniu. Jak się wydostałeś?

– Mam przyjaciół, agentko Scott. Po tym, jak zamordowałam moją rodzinę...

– Nie zamordowałam ich. Puścił jej sprzeciw mimo uszu.

– Po tym, jak zamordowałam moją rodzinę, prawnik załatwił mi zmianę miejsca procesu. I miłe, normalne więzienie. A potem wystarczyło małe zamieszanie podczas transportu i inny ptaszek, który mi wyśpiewał, gdzie jesteś, i proszę bardzo, wreszcie się spotykamy.

Skoro Cahill uciekł, dlaczego Jake nic o tym nie wiedział?

– Tak bardzo pochłonęło was pieprzenie się, że mogłem się tu zjawić z całą amią, a niczego byście nie zauważyli...

Jego znaczące spojrzenie przyprawiało ją o mdłości.

– Widziałeś?

– Przez chwilę. – Wzruszył ramionami. – Cóż mogę powiedzieć? Dużo czasu minęło, odkąd... – Spoważniał. – Ale miałem inne rzeczy na głowie. – Wskazał krzesło na środku szopy.

– Spóźniłeś się – zauważyła. — Los twojej rodziny... Wszyscy już znają prawdę.

– Prawdę? – Roześmiał się. – Chyba nie myślisz, że uwierzę w te bzdury, które rozpowszechniacie?

– To nie my, Ruben. – Może jeśli będzie się do niego zwracała po imieniu, złagodnieje.

– Zamknij się! Nie waż się wypowiadać mojego imienia! – Pociągnął za sznur. Jake krzyknął. Krzesło się zachwiało.

– Dobrze, już, dobrze! – Chciała podejść do Jake'a, ale Cahill nie przestawał w nią celować.

– Nie jesteśmy przyjaciółmi, agentko Scott, jasne? Zatrzymała się w pół kroku, podniosła rękę.

– Przepraszam. Naprawdę mi przykro. Ale mówię prawdę. To nie my ich zamordowaliśmy. Zrobili to twoi ludzie.

– Cóż, wszyscy mamy swoje omamy. – Poluzował jednak sznur i Jake mógł teraz stać na krześle.

Zwilżyła usta językiem. Jeśli coś mu się stanie, jeśli umrze z jej powodu... Nie, nie może o tym myśleć. Nie może w ogóle o nim myśleć. Musi się uspokoić, zdać się na umiejętności. Są w niej, w ciele, w głowie. Musi im zaufać.

– Mogę to udowodnić. Mam raport balistyczny. Jest w domu, przyniosę...

– Raport? – Patrzy! na nią z niedowierzaniem. — Moja rodzina nie żyje, a ty chcesz mi pokazać raport? No, świetnie, zabawimy się. Agentka Scott ma raport.

– Zastrzelono ich z rosyjskiej broni, my nie używamy karabinów AK-47 i makarowów.

– Mam w dupie, czego używacie i co jest w twoim raporcie! – Trząsł się z wściekłości. – Nawet jeśli nie ty pociągnęłaś za spust, ty ich porwałaś. Ty ryzykowałaś ich życie. Ty ponosisz za to odpowiedzialność. – Podkreślał każde słowo ruchem dłoni z pistoletem. – Ty, agentko Scott.

Odetchnęła. Jak mogłaby z tym dyskutować? Przecież ma rację. Niech się więc zemści. Ale nie na Jake'u.

– Masz rację. – Szła w jego stronę z rękami w górze. ~ Więc mnie zastrzel. Ale wypuść Jake'a.

– Och, owszem, zastrzelę cię – zapewnił. – Ale najpierw będę patrzył, jak starasz się go uratować, kiedy rzezi i umiera.

Patrzył w jej oczy. W jego wzroku był mrok, okrucieństwo i chłód.

– Nie – szepnęła. – Proszę.

– Proszę? – Złagodniał. – Prosisz mnie?

– Tak.

Nagle w jego oczach błysnęły łzy.

– Czy moja żona też błagała o życie naszego syna? – Głos mu się załamał. O Boże. Starala się nie zwracać uwagi na rozpacz w jego głosie.

– Tak.

– A ty? Usłuchałaś jej?

– Chciałam, naprawdę. – Patrzyła mu prosto w oczy, widziała ogrom bólu i rozpacz i próbowała całą sobą przekonać go, że mówi prawdę. – Chciałam to wszystko tylko upozorować. Żyliby do dzisiaj, gdyby twoi ludzie dali mi...

– Czy to właśnie wmawiasz sobie w środku nocy, gdy budzi cię ich krzyk? – W miękim głosie było zabójcze ostrze, twarde jak szpikulec do lodu. – Teraz twoja kolej. – Wiedziała, co zrobi, jeszcze zanim szarpnął za sznur. Jake także. Chrząknął i sam wykopał krzesło spod nóg. Cahill odwrócił się zaskoczony. I dał Margo kilka bezcennych sekund. A ona, zamiast zrobić to, co każdy normalny człowiek, zamiast ratować Jake'a, odskoczyła od niego... w stronę Cahilla.

Wyciągnęła rękę. Schyliła się. Strzał huknął nad jej głową. Ale już zdążyła podnieść nóż. W mgnieniu oka cisnęła nim i patrzyła, jak ostrze zagłębia się w piersi Cahilla.

Zachwiał się. Wystrzelił, ale spudłował. Podbiegła, wytrąciła mu broń z ręki. Rzuciła się do Jake'a. Siniał z każdą sekundą. Postawiła krzesło, podsunęła mu pod nogi.

Cahill osunął się na kolana. Podbiegła do niego i wyrwała mu nóż z piersi. Przewrócił się z krzykiem. Wróciła do Jake'a i odcięła go. Osunął się na ziemię, jęcząc.

Tuliła go, głaskała po głowie.

– Boże drogi, Jake. Nic ci nie jest? Zakaszał. Wzdrygnął się.

– Boże – mruknął. – Ani chwili nudy.

Kilka godzin później zabrano ciało Cahilla. Zawiadomili policję i oddział TCF. Jake'owi zabandażowano ramię. Dopiero gdy wszyscy poszli, gdy ciszę zakłócały jedynie cykady i bicie kuchennego zegara, Margo się odprężyła. I dopiero wtedy zaatakowała ją migrena.

– Reakcja na adrenalinę – powiedziała i łyknęła aspirynę jak cukierka. – Przejdzie.

Jake uśmiechnął się smutno.

– Wszystko wraca, tak?

Skinęła głową. Przypomniały jej się inne walki, inne migreny. Napięcie było jej chlebem powszednim. Czy znów do tego przywyknie?

– Rozmawiałem z Nowym Jorkiem – zaczął Jake. – Furgonetka, którą przewożono Cahilla i czterech innych więźniów, spłonęła w wypadku. Mylnie zidentyfikowano inne zwłoki.

– Jasne, jeśli się dobrze zapłaci...

– To nie wszystko.

– Nie wiem, czy chcę to słyszeć.

– Connelly dostał przesznużowaną komórkę. Dzwoniono do niego z miejsca oddalonego o kilka kilometrów od miejsca wypadku. Prawdopodobnie w ten sposób Cahill cię odnalazł. Kara śmierci wraca do

gry. Zresztą i tak chcieli to zrobić. Podejrzewają, że Connelly miał coś" wspólnego ze śmiercią Carnsa, choć na razie nie mają dowodów. Teraz Connelly siedzi w izolatce. Zero kontaktów ze światem zewnętrznym. Spojrzała na Jake'a, na jego siłę, i wyobraziła sobie, że nie żyje.

Powróciły dreszcze. Złapała się krzesła, by je opanować.

Jake objął ją zdrowym ramieniem.

– Ej! Już w porządku, Connelly zniknął na dobre. Odepchnęła go od siebie.

– Co ty sobie, do cholery, myślałaś, wykopując krzesło?

– To samo co ty, kiedy stanęłaś na linii strzału.

– Mogłaś zginąć.

– A ty co? Jesteś kuloodporna?

Patrzyli na siebie. Widziała, jak Jake marszczy brwi, i miała to w nosie. Serce waliło jej jak oszalałe. Bolało ją całe ciało. Była zła.

– Chodź tutaj. – Jake wyciągał rękę. – No, chodź. Jestem ranny. Nie każ mi prosić.

Niechętnie podała mu rękę. Pociągnął ją na werandę. Oddychała nocnym powietrzem i pozwalała, by pustka ją ukołysała.

– Teraz o tym zapomnimy, dobrze? Świetnie się bawiliśmy, mieliśmy fajne wakacje, z atrakcjami, ale to już przeszłość. Czas wracać do pracy.

– O czym ty mówisz?

– Byłaś wspaniała. – Mówił powoli, starannie dobierał słowa. – Ten numer z nożem... – Pokazał jej ruch. — Musisz mnie tego nauczyć.

– Nie sądzę.

~ Margo, świetnie walczysz. Masz talent i wiedzę. Potrzebujemy takich ludzi.

– Skończyłam z tym.

– Jesteś pewna? – Posłał jej swoje ulubione spojrzenie, przenikliwe, głębokie. – Nadal jesteś na liście płac DCO.

Pokręciła głową. Do końca życia nie zapomni łez w oczach Cahilla, gdy pytał o żonę.

– Chcę żyć spokojnie.

– Mam znajomości w TCF, mogłabyś...

– Nie. – Patrzyła, jak jastrząb przecina nocne niebo pięknym okrutnym lotem drapieżnika. – Dzięki, ale nie.

Objął ją, przyciągnął do siebie.

– Mogłabyś siedzieć w domu. Wychowywać dzieci. Znieruchomiła i spojrzała na niego.

– Twoje dzieci?

Znowu ta kpina w oczach.

– Cóż, umiemy je robić. Twoje oczy, moje włosy. Zresztą, jeśli chcesz, wszystko twoje. Zrobimy małego casanowę.

Przed oczami stanął jej obraz: ona z wózkiem, w parku Waterfront, Jake śmieje się, idąc obok niej.

Nie może. Na razie to zbyt odległe.

- Nie jestem chyba typem domatorki – westchnęła. Odgarnął jej włosy na plecy.
- A jakim typem jesteś? –zapytał. Zaskoczyło ją to pytanie.
- Nie wiem – odpowiedziała w końcu. Księżyc wychynał zza chmur i zalał pola srebrzystym światłem. Odpowiedzi czaiły się gdzieś na horyzoncie. –
Potrzebuję czasu, żeby się dowiedzieć. Żeby poznać siebie. Żeby poznać ciebie. Żebyś się przekonać, czy nam się uda... w czasie pokoju.
- Obrysował jej usta palcem.
- Czyli chcesz zacząć od nowa?
- Jak normalni ludzie. Przechylił lekko głowę.
- Nigdy nie przepadałem za normalnością. Gdybym ją lubił, nie byłbym tym, kim jestem.
- To prawda. I pewnie dotyczy także mnie.
- Więc dajmy sobie spokój z normalnością i bądźmy sobą. Powoli skinęła głową.
- Dobrze.
- Ale skoro mamy zacząć od nowa, musimy się sobie przedstawić.
- Odsunął się od niej i wyciągał rękę. – Cześć, jestem Jake Wise. Właściwie Jacob, ale Jake dla bliskich.
- Podala mu rękę.
- Margaret. – Po raz pierwszy wypowiedziała swoje pełne imię.
- Margaret Ellen Vaughn.
- Miło cię poznać, Margaret. – Uśmiechnął się i w tym uśmiechu były zmysłowość, ciepło i mnóstwo możliwości. Jak mogłaby mu się oprzeć?
- Odpowiedziała tym samym.
- Mnie także miło siebie poznać.

Podziękowania

Dziękuję Marcii Epelbaum za pomoc przy hiszpańskim i Stevenowi Akeyowi za objaśnienie topografii Waszyngtonu i jego okolic.
Bardzo dziękuję Pameli Aheam za wspaniałą pomysł na zakończenie.
I Larry 'emy za to, że pozwolił się zaciągnąć do Waszyngtonu, jestem Ci bardzo wdzięczna, Przyjacielu.